

NAGRODA IM. EDGARA ALLANA POE
ZA NAJLEPSZY KRYMINAŁ

OSTATNI POLICJANT

BEN H. WINTERS


QURARO

RECENZJE PRASOWE

„Akcja tej książki jest sprawna i zaskakująca [...] Ben H. Winters okazał się pisarzem z dobrym okiem do szczegółów”.

- *Slate*

„Ben H. Winters czyni czarny kryminał jeszcze mroczniejszym. W swoim *Ostatnim policjancie* wysyła zniechęconego detektywa na dochodzenie w sprawie podejrzanego samobójstwa – podczas gdy asteroida zmierza w stronę Ziemi”.

- *Wired*

„Wspaniała książka. Nie spałam do siódmej rano, ponieważ nie mogłam jej odłożyć. Pełna frapujących zwrotów akcji, postaci, które dają się lubić, i smutnego piękna, powieść ta jest prawdziwym klejnotem. Jako że to pierwsza część trylogii, już się nie mogę doczekać części drugiej”.

- *Audrey Curtis, San Francisco Book Review*

„Chętnie przeczytam dalsze części, pewien, że oczarują mnie nie mniej niż pierwsza część”.

- *Mark Frauenfelder, Boing, Boing*

„Od dość dawna nie muszę się tłumaczyć z fascynacji literaturą science fiction, lecz ilekroć to robię, przywołuję książki takie jak *Ostatni policjant*. Pozycja ta pochyla się nad człowieczymi emocjami i relacjami w okolicznościach, które w normalnej literaturze byłyby niemożliwe lub co gorsza, metaforyczne. Ta powieść zadaje istotne pytania na temat naszej cywilizacji, naszego społeczeństwa, rozpacz i nadziei. Nie przedstawia jednak łatwych odpowiedzi”.

- Michael Ann Dobbs, io9

„Porządny kryminał z ciekawą fabułą, wyrazistymi bohaterami i rewelacyjnymi dialogami [...] w którym nadciągająca katastrofa nie jest tylko sztafażem, stanowi ona istotną część układanki, nad którą pracuje Henry Palace. Ta zapadająca w pamięć historia to zaledwie pierwsza odsłona planowanej trylogii.

- *Booklist*

„Ten zmuszający do myślenia kryminał powinien trafić do każdego miłośnika gatunku dopuszczającego niecodzienne tło dla opowiadanej historii, jak również do tych czytelników, którzy szukają świeżego spojrzenia na powieść katastroficzną”.

- *Literary Journal*

„Obiecujący początek nowej trylogii. W wypadku Wintersa wrażenie robi raczej szczegół niż sama ponura, mocna akcja”.

- *Kirkus Review*

„Ben H. Winters snuje interesującą opowieść, tworząc przy tym wyjątkowe postacie, które muszą sobie radzić w zmieniającej się rzeczywistości [...] Ten świetnie napisany kryminał przysporzy autorowi czytelników, którzy nie będą mogli się doczekać na część drugą”.

- *The New York Journal of Books*

„Nieprzeciętna książka: genialna, zaskakująca i paradoksalnie podnosząca na duchu”.

- *Mystery Scene Magazine*

„Emocjonująca [...] nie warto czekać na film!”.

- *E! Online*

BEN H. WINTERS

OSTATNI POLICJANT

CZWÓRKA
POLSKIE RADIO



lubimyczytać.pl

BOOKLIPS.PL IIII



K.K. Kawiarenka
Kryminalna.pl

OkienMK.com


QURARO

SPIS TREŚCI

Miasto wisielców

Niepomijalne prawdopodobieństwa

Pobożne życzenia

Niedługo to się zmieni

Epilog

Ostatni policjant

Ben H. Winters

Tłumaczenie: Robert J. Szmidt

Original title: *The Last Policeman*

Copyright © 2012 by Ben H. Winters

Illustrations by Eugene Smith

All rights reserved.

First published in English by Quirk Books, Philadelphia, Pennsylvania.

This Book was negotiated through Livia Stoia, Livia Stoia Agency.

© Copyright for the Polish translation by Robert J. Szmidt, 2017

© Copyright for this edition by Wydawnictwo RM, 2017

All rights reserved.

Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25

rm@rm.com.pl

www.rm.com.pl

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana, w jakiegokolwiek formie i w jakiegokolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny) włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmę lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy. Wszystkie nazwy handlowe i towarów występujące w niniejszej publikacji są znakami towarowymi zastrzeżonymi lub nazwami zastrzeżonymi odpowiednich firm odnośnych właścicieli. Wydawnictwo RM dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić najwyższą jakość tej książki, jednakże nikomu nie udziela żadnej rękojmi ani gwarancji. Wydawnictwo RM nie jest w żadnym przypadku odpowiedzialne za jakąkolwiek szkodę będącą następstwem korzystania z informacji zawartych w niniejszej publikacji, nawet jeśli Wydawnictwo RM zostało zawiadomione o możliwości wystąpienia szkód.

Redaktor prowadzący: Agnieszka Trzebska-Cwalina

Redakcja: Urszula Gardner

Korekta: Bożena Sęk

Nadzór graficzny: Grażyna Jędrzejec

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Edytor wersji elektronicznej: Tomasz Zajbt

Opracowanie wersji elektronicznej: Marcin Fabijański

ISBN 978-83-7773-613-5

ISBN 978-83-7773-861-0 (ePub)

ISBN 978-83-7773-862-7 (mobi)

W razie trudności z zakupem tej książki prosimy o kontakt z wydawnictwem: rm@rm.com.pl

*Dla Andrew Wintersa
z tych Wintersów z Concord*

*Nawet dla Voltaire'a,
najbardziej racjonalnego wśród racjonalistów,
czysto racjonalne samobójstwo
było czymś osobliwym i trochę groteskowym,
tak jak kometa czy dwugłowa owca.*

*Alvarez Bóg Bestia: studium samobójstwa
(przeł. Łukasz Sommer)*

*Nadjeżdża powolny,
powolny pociąg,
już jest za zakrętem.*

Bob Dylan Slow Train

CZĘŚĆ PIERWSZA

Miasto wisielców

Wtorek, 20 marca

Rektascensja 19 02 54,5

Deklinacja -34 11 39

Elongacja 78,0

Delta 3,195 j.a.

1.

Spoglądam na agenta ubezpieczeniowego, a on gapi się na mnie. Para szarych oczu ukrytych za okularami w staromodnej szylkretowej oprawie powoduje, że nagle doznaję olśnienia: cholera, to wszystko prawda, a ja nadal nie wiem, czy jestem na nią gotowy. Oj, chyba nie.

Mrużę powieki, biorę się w garść i pochylam się, by przyrzec się mężczyźnie bliżej. Oczy i okulary, wątła szczeka i łysi-na, na szyi zaciśnięta pętla zrobiona z cienkiego czarnego paska.

Tak, to prawda. A może nie? Sam już nie wiem.

Nabieram powietrza do płuc, skupiam się jeszcze bardziej, by wyrzucić z głowy wszystkie myśli nie dotyczące zwłok. Wypieram niemożliwie brudne podłogi i rockandrollowy kawałek sączący się z tanich głośników w suficie.

Ten smród mnie dobija, wszechobecny i naprawdę obrzydliwy odór, jakby ktoś wylał przypalony olej z frytkownicy w samym środku obory. Jest jeszcze kilka zawodów na tym świecie, które ludzie nadal wykonują z lepszym lub gorszym skutkiem, niemniej posada nocnej sprzątaczkii w całodobowych barach szybkiej obsługi z pewnością do nich nie należy. Z tego też powodu agent ubezpieczeniowy leżał sobie kilka długich godzin pomiędzy sedesem a depresyjnie szarą ścianką kabiny, zanim posterunkowy Michelson wparował przypadkiem do tej właśnie toalety, by odcedzić kartofelki.

Michelson zgłosił to zdarzenie jako klasyczne 10-54S, co wydaje się zrozumiałe, ponieważ mnie też właśnie na to wygląda. Jedno, czego nauczyłem się ostatnimi czasy – czego wszyscy się nauczyliśmy – to że samobójcy wybierający śmierć przez

powieszenie rzadko kiedy wykorzystują belki stropowe albo haki na żyrandole. Jeśli podchodzą do rzeczy poważnie, a dzisiaj nikt nie traktuje tych spraw lekko, najczęściej używają gałek przy drzwiach bądź wieszaków na odzież lub też, jak zrobił to mój agent ubezpieczeniowy, podwieszają się pod wszelkie poziome elementy - w tym wypadku jest to poręcz w kabynie dla niepełnosprawnych. Potem wystarczy osunąć się na ziemię i pozwolić, by grawitacja zrobiła swoje, zaciskając pętlę na szyi i odcinając dostęp tlenu.

Pochyłam się bardziej, a ponieważ wciąż kucam, muszę przesunąć jedną nogę, by utrzymać równowagę. Chcę znaleźć odpowiednią pozycję, pozwalającą mi na komfortowe dzielenie przestrzeni z agentem ubezpieczeniowym i zarazem na uniknięcie upadku, przez który zostawiłbym odciski palców na miejscu zdarzenia. To mój dziewiąty samobójca w ciągu trzech i pół miesiąca, czyli od chwili, gdy zostałem detektywem. Wciąż jednak nie przywykłem do tego, co śmierć przez uduszenie robi z twarzą człowieka; ten tutaj też ma oczy wybałuszone jakby z przerażenia i pokryte czerwoną pajęczyną naczyń krwionośnych, język wywalony na bok, wargi nabrzmięte, zasinięte w kącikach.

Opuszczam powieki, przecieram je kłykciami i znów spoglądam, próbując wyobrazić sobie, jak mój agent ubezpieczeniowy mógł wyglądać za życia. Od razu da się zauważyć, że nie był za przystojny. Cerę miał ziemistą, a twarz lekko nieproporcjonalną: zbyt mała żuchwa, zbyt wielki nochal, oczy za grubymi szkłami małe jak koraliki.

Wygląda na to, że człowiek ten zabił się, wykorzystując długi czarny pasek. Jeden koniec przywiązał do poręczy, a na drugim zrobił coś w rodzaju pętli, która teraz wrzyna się brutalnie w jego jabłko Adama.

- Cześć, młody. Kim jest twój nowy przyjaciel?

- Peter Anthony Zell - odpowiadam zniżonym głosem, zerkając przez ramię na Dotsetha, który dosłownie przed momentem otworzył drzwi do kabiny i szczyrzy się do mnie z góry, znad jaskrawego kraciastego szala i kubka parującej kawy z McDonalda.

- Biały mężczyzna. Trzydzieści osiem lat. Pracował w ubezpieczeniach.

- Niech zgadnę - rzuca Dotseth. - Został pożarty przez reki-
na. A nie, zaraz, to przecież samobójstwo. Mamy do czynienia z samobójstwem?

- Wszystko na to wskazuje.

- Zaszokowałaś mnie! Totalnie! - Denny Dotseth jest zastępcą prokuratora generalnego, jego ogarem o srebrnej grzywie i szerokim, zawsze radosnym obliczu. - Jezu, tak mi przykro, Hank. Chcesz może kawy?

- Nie, dziękuję panu.

Składałem Dotsethowi raport o tym, czego się dowiedziałem, przeglądając zawartość znalezionej w tylnej kieszeni ofiary czarnego portfela ze sztucznej skóry. Zell pracował w firmie o nazwie Merrimack Life and Fire, której biura mieszczą się w Water West Building przy Eagle Square. W portfelu nosił plik skasowanych biletów do kina - wszystkie datowane na ostatnie trzy miesiące - które mówiły wiele o jego pragnieniu przeżycia istic męskiej przygody: wznowienie *Władcy Pierścieni*, dwie ekranizacje cyklu science fiction *Distant Pale Glimmers* i jakiś *DC kontra Marvel* z IMAX-a w Hooksett. Żadnych śladów rodziny, ani jednego zdjęcia. Osiemdziesiąt pięć dolarów w dziesiątkach i piątkach. No i prawo jazdy z tu-tejszym adresem: 14 Matthew Street Extension, Concord.

- No tak. Znam tę okolicę. Same ładne domki. Rolly Lewis tam mieszka.

- Dostał w pieprz.

- Rolly?

- Nie, ofiara. Proszę spojrzeć. - Wracam wzrokiem do opuchniętej twarzy agenta ubezpieczeniowego i wskazuję na żółknące sińce w górnej części policzka. - Ktoś go walnął, raz, ale za to mocno.

- Taaa, jasne. Na pewno.

Dotseth ziewa, po czym upija łyk kawy. Prawo New Hampshire od dawna wymaga, by za każdym razem gdy znajdujemy trupa, na miejsce wezwano także kogoś z biura prokuratora generalnego. Dzięki temu, gdyby okazało się, że chodzi o zabójstwo, prokuratura miałaby wgląd w sprawę od samego początku. W połowie stycznia przepis ten został jednak uchylony, sąd stanowy uznał bowiem, że może być nadmiernie uciążliwy, zwłaszcza jeśli zważyć na obecne okoliczności - ludzie pokroju Dotsetha musieli jeździć po całym stanie, by stać nam za plecami na każdym miejscu zbrodni, nawet jeśli nie doszło tam do żadnego przestępstwa. Teraz tylko od nas, dochodzeniowców, zależy, czy wezwiemy prokuratora do 10-54S. Ja zazwyczaj robię to przy każdej okazji.

- Co tam jeszcze słyhać, młody człowieku? - zagaja Dotseth.
- Nadal młócisz w racquetballa?

- Nie grywam w racquetballa, proszę pana - odpowiadam bezwiednie, skupiając uwagę na martwej ofierze.

- Nie? To z kim cię pomyliłem?

Stukam opuszką palca wskazującego po brodzie. Zell był niski, mierzył nie więcej niż metr siedemdziesiąt, i miał przysadzistą sylwetkę z oponką wokół pasa. Cholera, gnębi mnie ta sprawa, ponieważ coś mi nie pasuje w wyglądzie tego ciała, coś jest nie tak z tym domniemanym samobójstwem, ale nadal nie wiem co.

- Nie ma komórki - mruczę.

- Co?

- Znalazłem portfel, klucze, ale telefonu nie było.

Dotseth wzrusza ramionami.

- Pewnie go wyrzucił. Beth tak zrobiła. Zasięg mieliśmy co-raz częściej w kratkę, uznała więc, że równie dobrze obejdzie się bez tego ustrojstwa.

Kiwam głową, mamrocząc pod nosem: „Tak, tak”, ale wciąż spoglądam na Zella.

- Nie zostawił też listu.

- Co?

- Nie ma kartki z listem pożegnalnym.

- Naprawdę? - rzuca Dotseth, wzruszając ramionami jeszcze raz. - Pewnie któryś z kumpli ją znajdzie. Może nawet szef. - Uśmiecha się, siorbiąc kawę. - Oni zawsze zostawiają listy. Choć właściwie, zważywszy na okoliczności, nie muszą już tego robić, zgadza się?

- Owszem, proszę pana - odpowiadam, gładząc palcami wąsa. - Trafił pan w sedno.

Tydzień temu w Katmandu tysiąc pielgrzymów z całej Azji Południowo-Wschodniej rzuciło się prosto w ogień, a otaczający ich rozśpiewani mnisi chwilę później poszli w ich ślady i wmaszerowali prosto w szalejące płomienie stosu pogrzebowego. W Europie Środkowej zapanowała moda na poradniki DVD: *Jak poprawnie obciążyć kieszenie kamieniami, Jak poprawnie zmieszać koktajl barbituranów we własnym zlewie*. Na Środkowym Zachodzie USA - w Kansas City, St. Louis, Des Moines - panuje moda na użycie broni palnej, zdecydowana większość tamtejszych samobójców wybiera palnięcie ze śrutówki prosto w łeb.

U nas, w Concord, ludzie z jakiegoś powodu wybierają śmierć przez powieszenie. Znajdujemy wisielców w garderobach, szopach, niewykończonych piwnicach. W piątek tydzień temu pewien właściciel sklepu meblowego postanowił odejść w iście hollywoodzkim stylu, przywiązał więc pasek od szlafroka do rynny, ta jednak pękła pod jego ciężarem, przez co spadł na

własny taras. Wszedł z tej próby żywy, za to z połamanymi rękami i nogami.

- Tak czy inaczej to kolejna ludzka tragedia - podsumowuje lekkim tonem Dotseth. - Każdy przypadek jest na swój sposób tragiczny.

Zerka ukradkiem na zegarek - jest już gotowy do odejścia. Ja jednak nadal kucam nad zwłokami, nadal uważnie się przyglądam martwemu agentowi ubezpieczeniowemu. Peter Zell na ostatni dzień życia wybrał znoszony brązowy garnitur i jasnoniebieską koszulę. Skarpety miał zbliżonego do siebie koloru, choć nie do końca. Obie brązowe, z tym że jedna odrobinę ciemniejsza. Mocno rozciągnięte zsunęły mu się aż na kostki. Pasek okalający jego kark, czyli narzędzie zbrodni, jak by powiedziała doktor Fenton, jest za to prawdziwym majstersztykiem. Lśniaca czernią skóra i litery B&R wytrawione na złotej sprzączce.

- Halo? - rzuca Dotseth, więc spoglądam na niego, mrużąc powieki. - Masz coś jeszcze do dodania?

- Nie, proszę pana. To wszystko.

- Rozumiem. Miło było, jak zawsze zresztą, młodzieńcze.

- Chociaż...

- Tak?

Wstaję i odwracam się do niego.

- Powiedzmy, że zamierzam kogoś zamordować.

Cisza. Dotseth czeka rozbawiony, do przesady cierpliwy.

- Powiedzmy.

- Do tego mieszkam w okolicy, w której co rusz popełniane jest samobójstwo. Dzień w dzień. Toż Concord to istne zagłębie wisielców.

- Okay.

- Czy nie byłoby rozsądne, gdybym upozorował samobójstwo mojej ofiary?

- Byłoby.

- Czyli zgadza się pan ze mną?
- Generalnie tak. Ale to tutaj? - Dotseth wskazuje paluchem na ciało, nie przestając się uśmiechać. - To było samobójstwo.
Mruga do mnie znacząco, popycha drzwi toalety i zostawia mnie sam na sam z Peterem Zellem.

* * *

- To co robimy, Rewir? Czekamy na trupiarkę czy sami rozwalamy piniatę?

Mierzę posterunkowego Michelsona poważnym, pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Nie cierpię taniego pozerstwa, na które się sili, nie cierpię „trupiarok”, „piniat” i całej reszty, o czym on doskonale wie i celowo drażni mnie nimi teraz. Sterczy przed drzwiami toalety, teoretycznie strzegąc miejsca zbrodni, a tak naprawdę zażerając się owiniętym w żółty celofan McMuffinem z jajkiem. Kilka kropel bladego sosu właśnie skapnęło mu na bluzę munduru.

- Daj spokój, Michelson. Zginął człowiek.

- Wybacz, Rewir.

Za tym przewiskiem także nie przepadam, o czym Ritchie również dobrze wie.

- Ktoś z biura doktor Fenton powinien się tutaj pojawić w ciągu godziny - informuję, a on kiwa głową, zasłaniając usta pięścią, by stłumić beknienie.

- Zamierzasz przekazać tę sprawę doktor Fenton? - Zwija w kulkę papier po kanapce i ciska go do kosza. - Sądziłem, że ona już nie robi w samobójstwach.

- Zgadza się, niemniej detektyw ma ostatnie słowo - odpowiadam. - A w tym wypadku autopsja wydaje się konieczna.

- Serio?

- Tak.

On naprawdę ma to gdzieś. Natomiast Trisha McConnell robi, co do niej należy. Stoi teraz w drugim końcu restauracji;

niska zażywna kobieta z czarnym kucykiem, który wystaje z dziurnie spod jej służbowej czapki. W kąciku z dystrybutorami napoi przesłuchuje grupkę nastolatków. Rażno spisuje ich zeznania w trzymanym w rękę notesie. Wykonuje zawczasu potencjalne rozkazy przełożonych. Lubię posterunkową McConnell.

- Chyba wiesz, że centrala wymaga, abyśmy jak najprędzej zamknęli ten teatrzyk? - zagaduje Michelson chyba tylko po to, by podtrzymać wymianę zdań i jeszcze bardziej mnie wkurzyć.

- Wiem.

- Stabilność lokalnej społeczności i jej ciągłość, te sprawy.

- Tak.

- No i właściciel tej nory dostaje szału, że odcięliśmy klientom dostęp do toalet.

Podążam za spojrzeniem Michelsona i widzę za ladą mężczyzną o poczerwieniałej twarzy, właściciela tego McDonalda, który świdruje nas groźnym wzrokiem, co wygląda dość zabawnie w połączeniu z jaskrawożółtą koszulką i kamizelką barwy ketchupu. Każda minuta obecności policji to uszczerbek na zysku, mówi jego mina; gdyby nie bał się, że go aresztujemy za utrudnianie dochodzenia, pewnie miałbym go cały czas na karku.

Obok menedżera stoi tyczkowaty szczeniak; wystająca spod daszka czapki kasjerskiej długa grzywka piłkarza śmiga w powietrzu za każdym razem, gdy chłopak przenosi wzrok z rozwścieczonego szefa na parę policjantów i z powrotem, jakby nie wiedział, kto bardziej zasługuje na jego pogardę.

- Jakoś to przeżyje - zapewniam Michelsona. - W zeszłym roku zamknęlibyśmy nie tylko ten kibel, ale i resztę budy, i to na sześć do dwunastu godzin.

Posterunkowy wzrusza ramionami.

- Nowe czasy.

Krzywię się i odwracam plecami do właściciela restauracji. Niech się buja. To nie jest nawet prawdziwy McDonald. Nie ma już prawdziwych McDonaldów. Firma upadła w sierpniu ubiegłego roku, po tym jak w ciągu zaledwie trzech tygodni paniki giełdowej ceny jej akcji spadły o całe dziewięćdziesiąt cztery procent. Pozostały tylko krzykliwe szyldy nad setkami tysięcy opuszczonych lokali. Część z nich, jak ten, w którym teraz stoimy w centrum Concord, została szybko przekształcona w pirackie restauracje: będące własnością i zarządzane przez lokalnych cwaniaczków, takich jak nasz przyjaciel zza lady, którzy wykorzystali okazję, by sprzedawać to samo niezdrowe żarcie, nie kłopotząc się opłatami za franczyzę.

Nie ma już też prawdziwych sklepów 7-Eleven, nie mówiąc o kawiarniach Dunkin' Donuts. Mamy za to jeszcze restaurację Panera, chociaż małżeństwo, do którego należy ta sieć, doznało duchowego oświecenia i zatrudniło w swoich lokalach współwyznawców, więc nie warto tam teraz zaglądać, o ile nie ma się ochoty na wysłuchiwanie Dobrej Nowiny.

Przywołuję McConnell, by dowiedziała się, podobnie jak Michelson, że będziemy prowadzić dochodzenie w sprawie zagadkowej śmierci Zella. Staram się przy tym ignorować sarkastyczne uniesienie brwi Ritchiego. Na szczęście McConnell przyjmuje moje słowa sztywnym potaknięciem, po czym sięga po notes i odwraca kartkę. Wydaję funkcjonariuszom zabezpieczającym miejsce zbrodni kolejne rozkazy: ona najpierw skończy zbierać zeznania, a następnie pojedzie poinformować rodzinę ofiary; on ma stać w tych drzwiach, dopóki nie pojawi się ktoś z biura doktor Fenton i nie zabierze zwłok.

- Nie ma sprawy - rzuca McConnell, zamykając notes szybkim ruchem.

- Psia robota - komentuje Michelson.

- Daj spokój - obruszam się znowu. - Zginął człowiek.

- Wiem, Rewir - prycha. - Już to mówiłeś.

Salutuję kolegom po fachu, kiwam im głową na pożegnanie, po czym zatrzymuję się nagle z ręką na klamce bocznego wyjścia, ponieważ widzę kobietę, która idzie bojaźliwym krokiem przez przyległy do restauracji parking. Ma na głowie czerwoną czapkę, ale nie nosi płaszcza, nie osłania się też parasolem przed padającym wciąż śniegiem, zupełnie jakby wybiegła skądś w pośpiechu, by dotrzeć właśnie w to miejsce. Jej czółenka ślizgają się raz po raz w szarej brei. Wreszcie mnie dostrzega, zauważa, że ją obserwuję, a nawet domyśla się, że jestem policjantem. Na jej bladej twarzy natychmiast pojawia się mars zaniepokojenia. Nieznajoma odwraca się na pięcie i pośpiesznie odchodzi.

* * *

Jadę służbowym chevroletem po State Street, oddalając się od McDonalda; prowadzę wolno i ostrożnie, ponieważ nawierzchnia jest pokryta kilkucentymetrową warstwą gołoledzi. Na mijanych przecznicach widzę szpalery zaparkowanych samochodów, sporo z nich zostało porzuconych, widać to po grubej warstwie śniegu, która pokrywa ich dachy i maski. Mijam Capitol Center for the Arts, jego piękną fasadę z czerwonej cegły i duże okna, rzucam okiem w kierunku ciasnego wnętrza kawiarni otwartej przez kogoś po drugiej stronie ulicy. Przed Colliersem wije się długa kolejka klientów. To sklep z narzędziami - pewnie przyszła nowa dostawa towaru. Żarówki. Łopaty. Gwoździe. Na drabinie stoi jakiś dzieciak, przekreśla grubym czarnym flamastrem stare ceny spisane na kawałku kartonu i zmienia je na nowe.

Czterdzieści osiem godzin. W takim czasie od popełnienia zbrodni dochodzi do ustalenia zdecydowanej większości sprawców zabójstw.

Tylko ja korzystam w tym momencie z samochodu, więc wszyscy przechodnie spoglądają w moim kierunku. Bezdomny

oparty o zabite dechami wejście do White Peak, dawnej agencji nieruchomości. Grupka nastolatków balangujących obok wnęki kryjącej bankomat. Blant krąży z ręki do ręki, chłopak z niechlujną hiszpańską bródką wydmuchuje ospale siny dym prosto w mroźne powietrze.

Na szklanej elewacji dwukondygnacyjnego byłego już biurowca przy skrzyżowaniu State Street i Blake Street jakiś czas temu pojawiło się graffiti. Wysokie na prawie dwa metry litery głoszą: KŁAMSTWA KŁAMSTWA SAME KŁAMSTWA.

Zaczynam żałować, że uprzykrzam życie Ritchiemu Michelsonowi. Gdy odbierałem awans, warunki pracy zwykłych krawężników uległy znacznemu pogorszeniu. Jestem pewien, że dzisiaj, po czternastu tygodniach nieustannego zapieprzu, nie jest im wcale lżej. Tak, gliniarze mogą wciąż liczyć na stałe zatrudnienie i jedne z najwyższych pensji w tym kraju. I tak, w większości kategorii wskaźniki przestępczości w Concord wcale nie poszybowały w górę w stosunku do ubiegłego roku, z jednym tylko wyjątkiem: mocą ustawy wprowadzono zakaz produkcji, sprzedaży i zakupu jakiejkolwiek broni palnej na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Egzekwowanie tego przepisu jest jednak trudne, zwłaszcza w stanie New Hampshire.

Mimo tego drastycznego środka człowiek wyczuwa w czujnych spojrzeniach mijanych przechodniów, że nie zawahają się przed zastosowaniem przemocy, jeśli zajdzie taka konieczność. Nic więc dziwnego, że nieustanne zagrożenie zbiera żniwo. Funkcjonariusze patrolujący ulice są ostatnio poddawani stresowi nie mniejszemu niż żołnierze podczas wojny. Gdybym więc był w skórze Ritchiego Michelsona, też bym odreagował stres i wypalenie, rzucając kąśliwe uwagi.

Światła przy skrzyżowaniu z Warren Street nadal działają. Zatrzymuję się przed nimi, mimo że jestem gliniarzem, a w polu widzenia nie ma żadnego innego pojazdu. Czekam na

zielone. Spoglądając przed siebie, bębnię palcami o kierownicę i rozmyślam o kobiecie. O tej bez płaszcza, która uciekła na mój widok.

* * *

- Czy wszyscy już słyszeli? - pyta detektyw McGully, wielki i porywczy chłop, przykładając obie dłonie do ust. - Znamy już datę!

- Co znaczy: „znamy już datę”? - rzuca detektyw Andreas, zrywając się z krzesła i gapiąc na McGully'ego z rozdziawioną gębą. - Przecież już dawno ją nam podali. Wszyscy wiemy, kiedy nadejdzie ten pieprzony dzień.

Data, o której mowa, to trzeci października. Za sześć miesięcy i jedenaście dni, licząc od dzisiaj. To właśnie wtedy sześciopółkilometrowa bryła węgla i krzemianów ma zderzyć się z Ziemią.

- Nie mówię o dniu, w którym ten gigantyczny klops wyląduje nam na głowach - obrusza się McGully, wymachując gwałtownie egzemplarzem „Concord Monitor”. - Tylko o tym, kiedy geniusze powiadomią nas, gdzie dokładnie przypieprzy.

- Taaa, widziałem ten artykuł - przytakuje detektyw Culver-son, przysiadając na biurku z własną gazetą. On czytuje „New York Timesa”. - Zdaje się, że to ma być dziewiątego kwietnia.

Moje biurko znajduje się w najdalszym kącie pomieszczenia, obok kosza na śmieci i niewielkiej lodówki. Mam przed sobą otwarty notes, sprawdzam raz jeszcze zapiski z miejsca zbrodni. To tak naprawdę nie służbowy notesik, tylko błękitny brulion, podobny do tych, których używają studenci. Mój ojciec był wykładowcą, a gdy zmarł, znaleźliśmy na strychu dwadzieścia pięć kartonów takich brulionów. Wszystkie miały identyczne błękitne okładki. Do dzisiaj ich używam.

- Dziewiątego kwietnia? To już lada moment. - Andreas opada ciężko na krzesło, a chwilę później powtarza grobowym

głosem: - Lada moment.

Culverson najpierw kręci głową, a potem głośno wzdycha, gdy McGully rechocze. Tyłu nas zostało w wydziale kryminalnym komendy policji w Concord. Czterech facetów upchniętych w jednym pokoju. Od sierpnia minionego roku na emeryturę odeszło trzech kolegów, jeden zniknął nagle w niewyjaśnionych okolicznościach, a detektyw Gordon, który złamał rękę podczas aresztowania sprawcy przemocy domowej, wziął zwolnienie i tyleśmy go widzieli. Temu odpływowi siły żywej próbowano zapobiec, nieskutecznie zresztą, przyspieszając awanse. Na początku grudnia jeden z krawężników został więc detektywem. Niejaki Henry Palace, czyli ja.

I tak mieliśmy spore szczęście. Wydział do spraw wykroczeń nieletnich zredukowano do dwóch tylko funkcjonariuszy, Peter-sona i Guerrery. A pierwszego listopada definitywnie rozwiązano wydział do walki z cyberprzestępczością.

McGully otwiera dzisiejsze wydanie gazety i zaczyna czytać na głos. Ja przebiegam wzrokiem notatki, myślami jestem nadal przy sprawie Zella. *Brak śladów przemocy i walki // komórka? // Narzędzie zbrodni: pasek ze złotą sprzączką.*

Czarny pasek z najlepszej włoskiej skóry, ozdobiony symbolem B&R.

- Jak podają astronomowie z Centrum Astrofizyki Harvard-Smithsonian w Cambridge, stan Massachusetts, kluczowym dniem będzie dziewiąty kwietnia. - McGully cytuje nam tekst z „Monitora”. - Tamtejsi eksperci, podobnie jak rzesze innych astronomów, astrofizyków i zagorzałych amatorów, obserwują nieustannie kurs Mai, ogromnej asteroidy znanej formalnie jako 2011GV₁...

- Jezu - jęczy ponuro Andreas i rozwścieczony zrywa się ponownie, by podejść szybkim krokiem do biurka McGully'ego. Jest wąty, nerwowy, ma niewiele ponad czterdzieści lat i szopę gęstych czarnych kędziorów, które upodabniają go do che-

rubina. – Wiemy, o co chodzi. Na całej planecie nie ma chyba człowieka, który by jeszcze nie zrozumiał, z czym mamy do czynienia!

– Wyluzuj, kolego – prosi McGully.

– Mam już dość tego, że oni przy każdej okazji wałkują w kółko te same informacje. Jakby chcieli nam o tym bez przerwy przypominać.

– Tak się po prostu pisze artykuły prasowe – rzuca Culverson.

– Ale ja tego nie cierpię.

– I co z tego? – Culverson się uśmiecha.

Jest jedynym Afroamerykaninem w wydziale kryminalnym. Prawdę powiedziawszy, to ostatni ciemnoskóry policjant w całej naszej komendzie policji, więc niekiedy wspomina się o nim jako o „jedynym czarnym obywatelu Concord”, choć technicznie rzecz ujmując, nie jest to do końca prawda.

– Dobra, dobra, dobra, przejdę od razu do sedna – obiecuje McGully, klepiąc biednego Andreasa po ramieniu. – Naukowcy... to pominiemy, to też... pomimo rozbieżności, zdołali uzyskać... pomijamy, pomijamy, pomijamy. O, jest: „W kwietniu, na niespełna pięć i pół miesiąca przed upadkiem asteroidy, będziemy w stanie wyliczyć z dużą dozą precyzji miejsce, w którym Maja uderzy w Ziemię. Sądzymy, że uda się je ustalić z dokładnością do piętnastu mil”. – McGully zniża głos, dochodząc do finalnego zdania, jego zawadiacki baryton traci na mocy. Na koniec słyszymy przeciągły gwizd. – Piętnaście mil.

Zapada cisza wypełniona jednostajnym szumem pracujących dmuchaw. Andreas stoi przy biurku McGully'ego, wbijając wzrok w gazetę; zaciśnięte pięści trzyma przy bokach. Culverson, skulony w swoim komfortowym kąciku, chwytając za długopis i zaczyna kreślić długie linie na skrawku papieru. Ja zamykam błękitny brulion, odchyłam głowę i wbiwszy wzrok w sufit, spoglądam na plafon znajdujący się mniej więcej pośrodku.

- I to by było na tyle, panie i paniczki - rzuca McGully, odzyskując wigor i składając gazetę z rozmachem. - Reszta to opis reakcji i tak dalej.

- Reakcji? - podchwytuje Andreas, wymierzając gniewnie palcem w złożoną gazetę. - Jakiej znowu reakcji?

- Och, no wiesz. Premier Kanady ma nadzieję, że asteroida walnie centralnie w Chiny - odpowiada McGully, zanosząc się śmiechem. - Prezydent Chin odpowiada na to: „Słuchajcie no, Kanada, nie chcemy was obrazić, ale my widzimy ten problem z nieco innej perspektywy”. Ple, ple, ple...

Andreas warczy z odrazą. Przysłuchuję się tej wymianie zdań tak jakby, lecz nadal jestem pogrążony w myślach, a wzroku nawet na moment nie odrywam od plafonu. Facet wchodzi do McDonalda w samym środku nocy i wiesz się w kabinie dla niepełnosprawnych. Facet wchodzi do McDonalda w samym środku nocy...

Culverson unosi z namaszczeniem zabazgraną kartkę, pokazując nam prosty wykres, skrzyżowane osie X i Y.

- Oficjalne zakłady komendy policji w Concord uważam za otwarte - oznajmia z absolutnie poważną miną. - Obstawiajcie, panowie.

Lubię Culversona. Podoba mi się w nim to, że wciąż ubiera się jak przystało na detektywa. Dzisiaj ma na sobie trzyczęściowy garnitur, do tego połyskujący metalicznie krawat i pasującą do niego chusteczkę w kieszonce. Większość ludzi zaczęła sobie folgować z myślą o wygodzie. Andreas, dla przykładu, ma na sobie bawełnianą koszulkę z długim rękawem i obszerne dżinsy, McGully chodzi natomiast w dresie drużyny Washington Redskins.

- Skoro musimy umierać - dodaje Culverson - zaróbmy najpierw kilka dolców na naszych braciach i siostrach z wydziału patrolowego.

- Dobry pomysł. - Andreas rozgląda się niepewnie. - Tylko jak tu przewidzieć, gdzie walnie?

- Jak przewidzieć? - McGully stuka go w ramię zwiniętym „Monitorem”. - Raczej jak mamy na tym zarobić, głupku!

- Ja typuję pierwszy - informuje nas Culverson. - Obstawiam Atlantyk za stówkę.

- Czterdzieści dolców na Francję - podejmuje McGully, gmerając w portfelu. - Niech te fiuty dostaną w końcu za swoje.

Culverson podchodzi do mnie ze swoim wykresem, rzuca go na blat biurka.

- A pan Ichabod Crane na co postawi?

- Noo... - mruczę w zamyśleniu, mając w głowie jedynie ten dziwny siniak na twarzy denata. Ktoś walnął Petera Zella w twarz, mocno, nie tak dawno temu. Może dwa tygodnie? Albo trzy? Doktor Fenton ustali to na pewno z większą dokładnością.

Culverson czeka, unosząc znacząco brew.

- Detektywie Palace?

- Zadajesz trudne pytania. Powiedzcie mi lepiej, chłopaki, gdzie kupujecie paski?

- Gdzie kupujemy paski? - Andreas spogląda w dół, na swoje biodra, a potem na mnie, jakbym mu zadał podchwytliwe pytanie. - Ja używam szelek.

- U Humphreya - rzuca Culverson. - W Manchesterze.

- Mnie paski kupuje Angela - dodaje McGully, który zdążył już przejść do działu sportowego i właśnie sprawdza wyniki, wygodnie rozparty w fotelu, z nogami na blacie biurka. - O czym ty gadasz, u licha, Palace?

- Pracuję nad sprawą - wyjaśniam, a oni wszyscy gapią się na mnie jak sroka w gnat. - Chodzi o tego nieboszczyka, którego znaleźliśmy dziś rano w McDonalddie.

- Myślałem, że facet się powiesił - stwierdza McGully.

- Na razie uznaliśmy, że to zgon w niewyjaśnionych okolicznościach.

- My? - dziwi się Culverson.

Andreas wciąż stoi przy biurku McGully'ego, trzyma dłoń przy czole, gapiąc się na pierwszą stronę gazety.

- Facet powiesił się na czarnym pasku. Całkiem fajnym pasku. Na jego sprzączce było logo B&R.

- Belknap & Rose - rzuca Culverson. - Zaraz, chcesz powiedzieć, że podchodzisz do tego zdarzenia jak do morderstwa? Napastnik wybrał cholernie uczęszczane miejsce na zabicie gościa, nie sądzisz?

- Belknap & Rose, faktycznie - mamroczę. - Widzicie, cała reszta garderoby denata była taka sobie. Znoszony brązowy garnitur, przepocona pod pachami stara koszula, skarpetki nie do pary. Był też pasek, normalny tani brązowy pasek. Tymczasem gość powiesił się na ręcznie robionym cacku z prawdziwej skóry.

- Dobra - mówi Culverson. - Wyobraź sobie, że idzie do B&R i kupuje sobie bajerancki pasek, ponieważ chce się powiesić na czymś porządnym.

- Otóż to - wtrąca McGully, odwracając kolejną kartkę.

- Naprawdę? - Wstaję. - No więc jestem przeciętnym facetem chadzającym do pracy w garniturze, trzymam w domu tonę pasków. Po co miałbym tracić całe dwadzieścia minut na dojazd do Manch, by w tamtejszym ekskluzywnym butiku z odzieżą męską kupić specjalny pasek, na którym zaraz się powieszę? - Zaczynam krążyć wolnym krokiem, pochylony lekko, skubiąc wąsa. - Dlaczego nie skorzystam z jednego ze swoich pasków?

- Kto to wie? - rzuca Culverson.

- A co ważniejsze - dodaje McGully, ziewając przeciągle - kogo to obchodzi?

- No tak - odpowiadam, opadając ponownie na krzesło i chwytając za błękitny brulion. - Jasne.

- Ty, Palace, jesteś jakiś dziwny, wiesz? - kpi McGully, jednym ruchem zwijając kartkę z działem sportowym w kulkę i ciskając ją prosto w moją głowę. - Jakbyś pochodził z innej planety czy coś.

2.

Za kontuarem stanowiska ochrony Water West Building siedzi wiekowy strażnik, który patrzy na mnie, mrużąc oczy, jakbym go wyrwał z drzemki albo przywołał z zaświatów.

- Był pan umówiony na spotkanie?

- Nie. Jestem policjantem.

Strażnik ma na sobie mocno wymiętą koszulę, taką normalną, nie mundurową, a jego służbowa czapka jest mocno zdefasnowana i wgięta na szczycie. Zbliża się już południe, ale to pomieszczenie tonie wciąż w półmroku, jakby zaprojektowano je specjalnie, by imitowało wieczny zmierzch.

- Jestem detektyw Henry Palace. - Pokazuję odznakę, ale on nie raczy nawet spojrzeć, więc wtykam ją ponownie za pasek.

- Pracuję w wydziale kryminalnym tutejszej komendy policji i z tego tytułu badam sprawę zgonu w niewyjaśnionych okolicznościach. Muszę odwiedzić biura firmy Merrimack Life and Fire.

Strażnik kaszle.

- Ile ty masz wzrostu, synu? Na oko jakieś dwa metry?

- Mniej więcej.

Czekając na windę, przyglądam się detalom: wielka roślina w doniczce, przysadzista i masywna, strzeże jednego z narożników, martwy krajobraz Gór Białych zdobi ścianę nad rzędem lśniących skrzynek pocztowych, strażnik staruszek mierzy mnie wzrokiem ze swojej grzędy. Taki widok oglądał każdego ranka mój agent ubezpieczeniowy. Od niego zaczynał pracę i nim kończył. Gdy drzwi windy rozsuwają się, czuję powiew stęchlizny. Jak na razie nie znalazłem niczego, co przeczyłoby tezie o samobójstwie.

* * *

Szef Petera Zella nazywa się Theodore Gompers. Ten opasły błądy mężczyzna w przyciasnym niebieskim garniturze nie okazuje żadnego zaskoczenia, gdy słyszy, jakie wieści przynoszą.

- Zell, tak? Wielka szkoda. Nalać panu jednego?

- Nie, dziękuję.

- Jakoś trzeba się rozgrzać w taki ziąb, nie?

- No.

Siedzimy w jego gabinecie. On pociąga dżin z niskiej kancianej szklaneczki, w roztargnieniu gładząc się dłonią po brodzie i spoglądając w wielkie okno, za którym śnieg prószy na Eagle Square.

- Wiele osób twierdzi, że te śnieżyce zawdzięczamy asteroidzie. Na pewno pan o tym słyszał. - Zatopiony w myślach Gompers mówi wolno, nie odrywając wzroku od panoramy za oknem. - Ale to przecież nie może być prawda. Draństwo znajduje się wciąż czterysta pięćdziesiąt milionów kilometrów od Ziemi. Za daleko, by mogło wpływać na nasz klimat.

- No.

- Przynajmniej na razie. - Wzdycha i wolno przenosi puste spojrzenie na mnie, zupełnie jak krowa. - Ludzie tego nie rozumieją.

- Jestem pewien, że ma pan rację - odpowiadam, czekając cierpliwie z błękitnym brulionem i długopisem w rękach. - Proszę mi opowiedzieć o Peterze Zellu.

Gompers upija łyk dżinu.

- Nie mam wiele do powiedzenia, poważnie. Facet był urodzonym aktuariuszem, tyle wiem.

- Aktuariuszem?

- Tak. Ja też zaczynałem od rachunkowości, studiowałem statystykę i coś tam jeszcze, bardzo szybko jednak zająłem się sprzedażą. Jakoś tak wyszło, że zdryfowałem w okolice kadry

kierowniczej, i tak się tu znalazłem. – Rozkłada szeroko ręce, pokazując gabinet, i uśmiecha się blado. – Peter nie miał najmniejszych szans na wyrwanie się gdziekolwiek. Nie mówię, że to źle, stwierdzam tylko fakt.

Przytakuje, zapisując wszystko w brulionie, podczas gdy Gompers kontynuuje tym samym chłodnym tonem. Zell, jak się okazuje, był kimś w rodzaju czarodzieja rachunkowości, miał niemal nadnaturalną zdolność analizowania długich zestawień danych demograficznych i wyciągania na ich podstawie bardzo precyzyjnych wniosków dotyczących stopnia zyskowności i ryzyka. Był przy tym ponoć patologicznie nieśmiały. Chodził ze wzrokiem wbitym w podłogę, przyparty do muru odpowiadał zdawkowo na powitania, a na każdej niasiadówce zajmował miejsce w ostatnim rzędzie i zazwyczaj nigdy nie podnosił głowy.

– Człowieku, powiadam ci, ledwie kończyliśmy, był pierwszy przy drzwiach – mówi Gompers. – Można by sądzić, że lepiej czuł się za swoim biurkiem, robiąc to, co zazwyczaj robi się z kalkulatorem w ręku i stosami statystyk, niż żyjąc po ludzku jak reszta z nas.

Notuję, kiwając głową zachęcająco, by nie zamknął przypadkiem ust. Myślę sobie jednocześnie, że zaczynam lubić Petera Anthony'ego Zella. Podoba mi się facet, który robi, co do niego należy, bez względu na okoliczności.

– Co ciekawe, nie zauważyłem, by to całe szaleństwo miało na niego, mówię o Zellu, jakiś większy wpływ. Nawet na początku, gdy wszystko wyszło na jaw.

Gompers wskazuje głową okno i widoczne za nim niebo, domyślam się więc, że chodzi mu o początek lata minionego roku. To właśnie wtedy ujawniono opinii publicznej istnienie asteroidy. Naukowcy dostrzegli ją już w kwietniu, ale przez pierwsze kilka miesięcy doniesienia na jej temat były traktowane z przymrużeniem oka, co najwyżej trafiając – głównie

dzięki zabawnym nagłówkom – na główną stronę Yahoo!. Mówię o takich kwiatkach, jak: „Śmierć z kosmosu?!” albo: „Niebo wali nam się na głowy!”. Dla zdecydowanej większości ludzi koszmar zaczął się dopiero w pierwszych dniach czerwca, gdy zagrożenie stało się faktem. Zmienacka ogłoszono, że szanse na zderzenie wzrosły do pięciu procent, a średnicę Mai oszacowano na cztery i pół do nawet siedmiu kilometrów.

– Pamięta pan na pewno. Jedni dostali kota, drudzy po prostu siedzieli i wypłakiwali się przy biurkach, tylko Zell, jak już wspominałem, chodził wciąż ze zwieszoną głową i robił, co do niego należy. Jakby uważał, że asteroida spadnie na wszystkich, tylko nie na niego.

– A jak zachowywał się ostatnimi czasy? Nic się nie zmieniło? Nie popadł w depresję?

– Hm... – wzdycha Gompers. – Wie pan... – Przerywa nagle, zasłania usta dłonią i mruży oczy, jakby chciał dostrzec coś mającego w oddali.

– Proszę pana?

– Tak, ja tylko... Przepraszam, ale próbuję coś sobie przypomnieć. – Zamyka powieki na sekundę, potem rozwiera je raptownie, a ja zaczynam się zastanawiać nad jego poczytalnością jako świadka i nad tym, ile szklaneczek dzinu zdążył wyłopać tego ranka. – Rzecz w tym, że zdarzył się pewien incydent.

– Incydent?

– Tak. W księgowości pracowała niejaka Teresa. Proszę sobie wyobrazić, że przyszła na imprezę halloweenową przebrana za asteroide.

– Co takiego?

– Poważnie. Chory pomysł, nie uważa pan? – mówi, ale uśmiecha się do tego wspomnienia. – Miała na sobie kostium z wielkiego, wypchanego gazetami worka na śmieci, do którego przykleiła plaketkę z napisem dwa zero jeden jeden G V jeden. Większość pracowników skwitowała to śmiechem, ale

Zellowi odwaliło. Zaczął wrzeszczeć na tę dziewczynę, tak się na nią darł, że aż się cały trząsł. Wyglądało to naprawdę strasznie, tym bardziej że jak już wspomniałem, zazwyczaj był bardzo cichym facetem. Tak czy inaczej przeprosił Teresę natychmiast, lecz następnego dnia nie pojawił się w pracy.

- Jak długo był nieobecny?

- Tydzień? Może dwa? Myślałem już, że zrezygnował na dobre, ale on nieoczekiwanie wrócił. Pojawił się bez słowa wyjaśnienia i znów był taki jak przedtem.

- Taki jak przedtem?

- Tak. Cichy, małomówny, skupiony. Pracował ciężko, robił, co mu kazano. Nawet gdy źródelka nam powysychały.

- Co?... - rzucam zaskoczony. - Przepraszam, co wam powysychało?

- Skończyło się obliczanie ryzyka. Późną jesienią albo wczesną zimą, zależy jak patrzeć, przestaliśmy sprzedawać polisy. - Dostrzega moje pytające spojrzenie i uśmiecha się ponuro. - Kupiłby pan ubezpieczenie na życie w obecnej sytuacji?

- Chyba nie.

- Ano właśnie - rzuca, pociąga nosem i opróżnia do końca szklankę. - Chyba nie. - Światła przygasają, Gompers mamrocze pod nosem: „Co jest?!”, ale moment później znów robi się jasno. - Skierowałem Petera do tej samej roboty co resztę ludzi, czyli do sprawdzania roszczeń. Miał szukać fałszywych zeznań i wątpliwych przypadków. Może się to wydawać śmieszne, ale nasza firma matka, czyli Variegated, ma ostatnio obsesję na tym jednym punkcie: mówię o próbach wyłudzenia odszkodowań. Chodzi wyłącznie o zabezpieczenie zysków. Większość naszych szefów spieniżyła wszystko, co się dało, i albo siedzi już na Bermudach czy innej Antigui, albo buduje sobie bunkry. Ale nie nasz przyjaciel. Między nami mówiąc, Peter uważał chyba, że tylko ciężką pracą wykupi sobie bilet

do nieba, gdy to wszystko się już skończy. Takie przynajmniej odnosiłem wrażenie.

Zachowuję kamienną twarz. Stukając końcówką długopisu w brulion, próbuję dopatrzeć się jakiegoś sensu w zasłyszanych informacjach, poukładać sobie w myślach wydarzenia.

- Czy mógłbym z nią porozmawiać?

- Z kim?

- Z kobietą, o której pan wspomniał - zerkam w notatki. - Z Teresą.

- Już dawno od nas odeszła, panie władzo. Chyba mieszka teraz w Nowym Orleanie. - Gompers pochyla głowę, zniżając głos prawie do szeptu. - Tak jak moja córka. Większość dzieciaków się tam przeprowadza. - Znów spogląda w okno. - Mogę panu pomóc w czymś jeszcze?

Gapię się na brulion w błękitnej oprawie, na pajęczyny koślanych liter, którymi go zapisałem. Co jeszcze mógłby mi powiedzieć Gompers?

- Tak. Co z przyjaciółmi Petera Zella? Czy miał w ogóle jakichś przyjaciół?

- Hmm... - Gompers przekrzywia głowę, wysuwa dolną wargę. - Miał kogoś takiego. Nie wiem, kim tamten człowiek był dla niego, zakładam, że przyjacielem. To taki grubas z wielkimi łapskami. Zeszłego lata widziałem kilka razy, jak jedli razem lunch tutaj niedaleko, dosłownie za rogiem.

- Wielki facet, powiada pan?

- Powiedziałem grubas, ale tak, niech będzie, że wielki. Zapamiętałem to, bo - po pierwsze - nigdy wcześniej ani później nie widziałem Petera na lunchu, więc już sam ten fakt zwrócił moją uwagę. Po drugie, Peter był raczej mikry, przez co razem wyglądali dość zabawnie.

- Wie pan, jak się tamten człowiek nazywa?

- Ten grubas? Nie. Nigdy nie zamieniłem z nim nawet słowa.

Wyprostowałem nogi, a potem znów je skrzyżowałem, próbując wymyślić właściwe pytanie, przypomnieć sobie, jaki jeszcze temat warto poruszyć, co jeszcze powinienem wiedzieć.

- Może wie pan, skąd wzięły się sińce na twarzy Petera?

- Co?

- Miał podbite oko.

- A, tak. Powiedział, że spadł ze schodów. To było chyba ze dwa tygodnie temu.

- Spadł ze schodów?

- Tak twierdził.

- Okay.

Zapisując tę informację, dostrzegam zarysy kierunku, w którym potoczy się to śledztwo, i czuję przypływ adrenaliny, przez którą moja prawa noga, założona na lewą, zaczyna podrygiwać.

- Ostatnie pytanie. Czy wie pan coś o ewentualnych wrogach Petera Zella?

Gompers przeciera twarz dłonią, po czym jego spojrzenie znów ogniskuje się na mnie.

- O wrogach, powiada pan? Nie myśli pan chyba, że ktoś go zabił?

- Cóż... To możliwe. Choć mało prawdopodobne. - Zamykam brulion i wstaję. - Mogę zobaczyć jego stanowisko pracy?

* * *

Zastrzyk adrenaliny, który tak pobudził moją prawą nogę podczas przesłuchania Gompersa, rozchodzi mi się właśnie po całym ciele, przepełniając je swoistym elektryzującym głodem.

Jestem policjantem, pracuję w wymarzonym zawodzie. Przez szesnaście miesięcy byłem zwykłym krawężnikiem, harowałem niemal wyłącznie nocą, i to tylko w rewirze pierwszym, krążąc po Loudon Road od Walmartu aż do granicy z dwójką. Przez szesnaście miesięcy patrolowałem swój siedmiokilome-

trowy odcinek ulicy, jeżdżąc tam i z powrotem od dwudziestej do czwartej nad ranem, interweniując w przypadku bójek, rozganiając pijaków, przeplaszając dilerów i schizofreników okupujących parking przy supermarkecie.

Uwielbiałem tę robotę. Nie przestałem jej kochać nawet ostatniego lata, kiedy to sprawy przybrały niespodziewany obrót, kiedy nadeszły nowe czasy poprzedzające upadek. Pracowaliśmy coraz ciężej, reagowaliśmy na coraz dziwniejsze wezwania, ale to nadal była moja wymarzona robota.

Niemniej od czasu gdy awansowano mnie na detektywa, nie mogę się uwolnić od frustrującego przeświadczenia, swoistego rodzaju poczucia pecha, wrażenia, że to nie ten czas, że praca, o której marzyłem od dziecka, nie jest tym, czym być powinna, albo że ja niespecjalnie się do niej nadaję.

Dopiero teraz, dzisiaj, poczułem w końcu ten elektryzujący głód, to przyśpieszenie tętna, i pomyślałem, cholera, to może być to. To naprawdę może być to.

* * *

- Czego pan tam szuka?

W tonie wypowiedzi wyczuwam raczej oskarżenie niż pytanie.

Przerywam to, co robię - a przekopuję metodycznie szuflady Zella - i widzę przed sobą kompletnie łysą kobietę w wąskiej czarnej spódnicy i białej bluzce. To ją widziałem wcześniej na parkingu przed McDonaldem, to ona szła do drzwi i nagle zawróciła i zniknęła mi z oczu. Rozpoznaję jej bladą cerę i głęboko osadzone ciemne oczy, mimo że poprzednio nosiła czerwona czapkę, a teraz, gdy odsłoniła głowę, patrzę na gładką białą skórę na czaszce, w której odbijają się światła jarzeniowe wiszące pod sufitem biura Merrimack Life and Fire.

- Szukam dowodów, proszę pani. To rutynowe czynności śledcze. Jestem detektyw Henry Palace, pracuję w tutejszej ko-

mendzie policji.

- Dowodów na co dokładnie? - pyta. Nos ma przekłuty, z jednego skrzydełka nozdrzy sterczy nieduży złoty ćwiek. - Gompers twierdzi, że Peter popełnił samobójstwo.

Nie odpowiadam, ale ona i tak robi krok do przodu i wchodzi do klaustrofobicznie ciasnego pomieszczenia, by obserwować moje poczynania. Całkiem atrakcyjnie wygląda, ma bardzo regularne, można powiedzieć dostojne rysy i jakieś dwadzieścia pięć lat. Ciekaw jestem, jak postrzegał ją Peter Zell.

- Cóż - odzywa się ponownie jakieś pół minuty później. - Gompers prosił, żebym sprawdziła, czy nie potrzebuje pan czegoś. Potrzebuje pan czegoś?

- Nie, dziękuję.

Rozgląda się, potem skupia wzrok na mnie, na moich palcach, które przetrząsają zawartość szuflad ofiary.

- Przepraszam, nie dosłyszałam. Czego pan szuka?

- Tego jeszcze nie wiem. Nie sposób przewidzieć, jakim torem potoczy się śledztwo. Każdy odkryty szczegół prowadzi do następnego.

- Naprawdę? - Gdy młoda kobieta unosi brwi, na jej czole tworzą się płytkie zmarszczki. - To zabrzmiało jak cytata z podręcznika dla detektywów.

- Hmm... - Zachowuję neutralny wyraz twarzy, choć faktycznie zacytowałem jej urywek *Dochodzenia kryminalnego* Farleya i Leonarda, a konkretnie mówiąc, podtytuł rozdziału szóstego.

- W sumie to potrzebowałbym pewnego wyjaśnienia - rzucam, wskazując na monitor Zella, który postawiono ekranem do ściany. - O co chodzi z waszymi komputerami?

- W listopadzie przeszliśmy całkowicie na papier - odpowiada kobieta, wzruszając ramionami. - Wcześniej przesyłaliśmy dane do innych oddziałów regionalnych i centrali za pomocą

sieci, ale odkąd transfer zmalał tak tragicznie, firma zrezygnowała z Internetu i wróciła do dawnych, ręcznych metod pracy.

- Aha - kwituję. - Rozumiem.

Dolina Merrimack boryka się z coraz gorszym dostępem do sieci już od stycznia, kiedy to z niewiadomych powodów anarchości zaatakowali w południowym Vermoncie główne nadajniki, na których naprawę rząd, niestety, nie znalazł funduszy.

Kobieta wciąż stoi nade mną, gapiąc mi się na ręce.

- Przepraszam... jest pani asystentką pana Gompersa?

- Niech pan da spokój - odpowiada, przewracając oczami. - Jestem sekretarką.

- Jak się pani nazywa?

Zwleka z odpowiedzią na tyle długo, bym zrozumiał, że wie, iż mogłaby zatrzymać tę informację dla siebie, gdyby miała na to ochotę, a potem rzuca:

- Eddes. Naomi Eddes.

Dopiero teraz zauważam, że Naomi Eddes nie jest jednak kompletnie łysa. Jej głowę pokrywa króciuteńki blond meszek, który z bliska wygląda całkiem ładnie i miło, zupełnie jak te wykładziny do domków dla lalek.

- Mogę pani zadać jeszcze kilka pytań?

Nie odpowiada, ale nie opuszcza też pokoju, po prostu stoi spokojnie i gapi się nadal, gdy zaczynam przesłuchanie. Pracuje tutaj od czterech lat. Tak, pan Zell był już zatrudniony, gdy ją przyjmowano. Nie, nie znała go zbyt dobrze. Potwierdza z grubsza portret nakreślony przez Gompersa: Peter był cichy, pracowity, nieprzystosowany społecznie, choć ona ujmuje to inaczej, używając słowa „nieporadny”, co bardziej mi się podoba. Pamięta halloweenowy incydent, to, jak Peter Zell wydarł się na Teresę z księgowości, aczkolwiek nie przypomina sobie jego późniejszej tygodniowej absencji.

- Szczerze powiedziawszy - dodaje - wątpię, abym zauważyła jego nieobecność. Jak już wspomniałam, nie byliśmy ze sobą

zżyci. – Mina jej jednak łagodnieje, mógłbym nawet przysiąc, że zmrużyła powieki, by powstrzymać napływające łzy, ale to trwa tylko ułamek sekundy, a potem znów mam przed sobą osobę o kamiennej masce zamiast twarzy. – Bywał jednak bardzo uprzejmy. Naprawdę miły.

– Czy pani zdaniem był przygnębiony?

– Przygnębiony? – powtarza Naomi, uśmiechając się blado, ironicznie. – Czyż wszyscy nie jesteśmy ostatnio przygnębieni? Czyż nie uginamy się pod brzemieniem tej potwornej immanencji? Pan nie ma depresji?

Nie odpowiadam, ale przypada mi do gustu „ta potworna immanencja”. To o wiele głębsze niż „to całe szaleństwo” Gompersa, lepsze nawet niż „ten gigantyczny klops” McGully’ego.

– Nie zauważyła pani przypadkiem, o której Peter Zell opuścił wczoraj biuro lub czy ktoś mu towarzyszył?

– Nie – rzuca krótko Naomi, głos jej przy tym opada o pół tonu, a ona sama wtula głowę w ramiona. – Nie zauważyłam, o której opuścił wczoraj biuro ani czy ktoś mu towarzyszył.

Wytrąca mnie tym na moment z równowagi, ale niemal natychmiast pojmuję, że ta dziwna intonacja była najnormalniejszą w świecie kpinią.

– Prawdę mówiąc, wyszłam wczoraj wcześniej, koło trzeciej – dodaje już normalnym głosem. – Ostatnimi czasy nie trzymamy się ściśle harmonogramów. Jestem jednak pewna, że Peter był w biurze, gdy wychodziłam. Pamiętam, że pomachałam mu ręką na pożegnanie.

Przed oczami wyrasta mi nagle Peter Zell, który siedząc za tym biurkiem wczoraj około trzeciej, patrzy, jak atrakcyjna i opanowana sekretarka szefa kończy pracę. Ona macha mu przyjaźnie, choć od niechcienia ręką, a on w odpowiedzi kiwa nerwowo głową, pochylając się jeszcze bardziej nad blatem i poprawiając palcem zjeżdżające okulary.

- A teraz, jeśli pan pozwoli, muszę wracać do pracy - rzuca niespodziewanie Naomi Eddes.

- Oczywiście - odpowiadam, kłaniając się jej grzecznie i myśląc: nie prosiłem, żebyś tu przychodziła, więc nie poproszę, żebyś została. - Aha, jeszcze jedna sprawa! - wołam za nią, gdy zaczyna się oddalać. - Co pani robiła dzisiaj rano w pobliżu McDonalda, w którym znaleźliśmy ciało Petera?

W mojej mało zawodowej ocenie to pytanie wytrąca ją z równowagi. Naomi odwraca wzrok, policzki jej lekko różowieją, zaraz jednak bierze się w garść, uśmiecha się i mówi:

- Co tam robiłam? Zawsze tam chodzę.

- Do McDonalda na Main Street?

- Jasne. Bywam tam niemal każdego ranka. Wpadam na kawę.

- Ma pani kilka bliższych miejsc, w których można się napić kawy.

- Tam robią najlepszą.

- Dlaczego więc nie weszła pani tym razem?

- Bo... Bo w ostatniej chwili zauważyłam, że zapomniałam portfela.

Prostuję plecy i składam ręce na piersi.

- Naprawdę tak właśnie było?

Ona także składa ręce na piersi, małpując moje zachowanie, i śmiało spogląda mi w oczy.

- A pan naprawdę prowadzi jakieś dochodzenie?

Potem widzę już tylko jej plecy.

* * *

- Pytasz pan o tego kurdupla, dobrze mówię?

- Słucham?

Stary strażnik siedzi tam, gdzie go zostawiłem. Jego krzesło nadal stoi odwrócone tak, by widział wejścia do wind, zupełnie

jakby staruszek zamarł w tej pozycji i ani drgnął przez cały czas mojego pobytu na górze.

- O tego gościa, co nie żyje. Sam pan mówiłeś, że idziesz pan do Merrimacka w sprawie morderstwa.

- Mówiłem, że badamy przypadek zgonu w niewyjaśnionych okolicznościach.

- Na jedno wychodzi. Ale to był ten kurdupel, nie? Taki myszowaty? W okularach?

- Tak. Nazywał się Peter Zell. Znał go pan?

- Nie. To znaczy znam wszystkich, co tutaj pracują, bo muszę im mówić dzień dobry i do widzenia. A pan to jesteś gliniarz, nie?

- Detektyw.

Pergaminowa skóra na twarzy staruszka marszczy się na moment, imitując nieudatnie uśmiech.

- Służyłem w lotnictwie. W Wietnamie. A po powrocie do domu chciałem zostać gliniarzem.

- Ej - rzucam nic nie znaczący frazes, którym mój ojciec zwykł odpowiadać, gdy musiał się zmierzyć z przejawem pesymizmu bądź rezygnacji - nigdy nie jest za późno, by spróbować.

- Taaa... - Strażnik kaszle chrypliwie, potem poprawia czapkę. - Rzecz w tym, że dla mnie jest.

Sterczę jeszcze chwilę, czekając, aż znów się odezwie.

- Minionego wieczora ten myszowaty wsiadł do takiego wielkiego czerwonego pikapa.

- Do pikapa? Ktoś ma jeszcze paliwo?

Nikt nie może mieć benzyny, nikt prócz policji i wojska. Państwa OPEC wstrzymały eksport ropy jeszcze w listopadzie, a Kanadyjczycy dołączyli do nich kilka tygodni później. To był koniec. Piętnastego stycznia Departament Energii nakazał naruszenie Strategicznych Rezerw Ropy Naftowej, wymuszając jednocześnie bardzo ścisłą kontrolę cen, dzięki czemu każdy

obywatel zyskał dostęp do paliwa przez dziewięć kolejnych dni, a potem nie została już ani kropelka.

- Gdzie tam - mamrocze strażnik - sądząc po smrodzie, jeździł na oleju rzepakowym.

Kiwam głową podekscytowany, robię krok w stronę lady, przyglądając wężą dłonią.

- Czy pan Zell wsiadł do tego samochodu po dobroci czy został zmuszony?

- Nikt go tam za łeb nie wciągał, jeśli o to pan pytasz. Nie widziałem też żadnej broni.

Wyciągam brulion i długopis.

- Co to był za samochód?

- Przerobiony ford, jakiś stary model. Osiemnastocalowe felgi, zero łańcuchów. Kopcił jak z komina, wiesz pan, takim gęstym czarnym dymem.

- Rozumiem. Zapamiętał pan numery rejestracyjne?

- Nie.

- A przyjrzał się pan kierowcy?

- Nie. Nie miałem pojęcia, że trzeba. - Staruszek mruży oczy, zbity z tropu moim entuzjazmem. - Ale był potężny. Tego jestem pewien. Taki grubowaty.

Przytakuje, zapisując wszystko najszybciej, jak umiem.

- I jest pan całkowicie pewien, że to był czerwony pikap?

- Tak. Czerwony, średniej wielkości, na standardowej ramie. I jeszcze, od strony kierowcy wymalowano na nim wielką flagę.

- Jaką flagę?

- No jak to jaką? Stanów Zjednoczonych - odpowiada buńczucznie, jakby nie przyjmował do wiadomości, że mogą istnieć inne flagi.

Piszę jeszcze przez minutę, coraz szybciej z każdym notowanym słowem, w panującej ciszy słyszę skrzypienie długopisu, a strażnik patrzy na mnie zamglonym wzrokiem, w zamyśleniu

przechylając lekko głowę, jakbym był eksponatem w muzealnej gablocie. Potem dziękuję mu, chowam błękitny brulion i wychodzę na chodnik. Śnieg prószy na czerwone cegły i płyty piaskowca centrum miasta, a ja stoję przez dłuższą chwilę, oglądając wszystko w swojej głowie jak film zgrany bezpośrednio do mojej pamięci: cichy niezdarny mężczyzna w brązowym garniturze wspina się na fotel pasażera lśniącego czerwonego pikapa z przerobionym na olej roślinny silnikiem i odjeżdża nim ku końcowi własnego życia.

3.

Jest taki sen, który miałem dość często, raz albo dwa razy w tygodniu, w czasach gdy miałem dwanaście lat.

W tym śnie zawsze widzę okazałą sylwetkę Ryana J. Ordlera, długoletniego szefa concordzkiej policji, którego faktycznie widywałem tamtymi czasy, ilekroć udawaliśmy się na doroczny letni piknik, gdzie komendant mierzwił mi niezdarnie włosy i rzucał pięciocentówkę z bizonem, podobnie jak każdemu innemu obecnemu tam dzieciakowi. W moim śnie Ordler prężył się na baczość w galowym mundurze, trzymając Biblię, na której ja składałem prawą dłoń, po czym powtarzałem za nim słowa przysięgi o pilnowaniu i przestrzeganiu prawa, on zaś z niezwykle poważną miną podawał mi pistolet i odznakę. Następnie salutowaliśmy sobie wzajemnie i przy dźwiękach muzyki – we śnie zawsze towarzyszyła nam muzyka – zostawałem oficjalnie detektywem.

W rzeczywistości wyglądało to zupełnie inaczej. Pod sam koniec minionego roku, po odbębnieniu służby patrolowej w rewirze pierwszym i powrocie na posterunek około dziewiętej trzydzieści w zimny ponury poranek, znalazłem w mojej szafce spisana ręcznie wiadomość, mówiącą, że mam się stawić w gabinecie zastępcy szefa działu administracyjnego, którym podówczas była porucznik Irina Paul – objęła to stanowisko niepełna sześć tygodni wcześniej po dość niespodziewanej rezygnacji porucznika Irvina Mossa. Zatrzymałem się jeszcze na moment w pomieszczeniu socjalnym, ochlapałem twarz wodą, a następnie ruszyłem do jej gabinetu, pokonując po dwa stopnie schodów naraz.

- Dzień dobry, pani porucznik - mówię, stając przed nią. - Potrzebuje pani czegoś ode mnie?

- Owszem - odpowiada Irina, spoglądając najpierw na mnie, a potem na leżącą przed nią czarną teczkę ozdobioną napisem „Departament Sprawiedliwości”. - Proszę mi dać sekundkę.

- Nie ma sprawy - odpowiadam, rozglądając się wokół. Nagle dobiega mnie inny głos z głębi pomieszczenia:

- Synu.

To komendant Ordler w mundurze, ale nie pod krawatem, z rozpiętym kołnierzykiem, spowity półmrokiem panującym w gabinecie o tylko jednym oknie. Ręce ma złożone na piersi, przypomina w tej pozie dąb w ludzkiej postaci. Na jego widok ogarnia mnie obawa, prostuję się więc jak struna i rzucam:

- Dzień dobry, komendancie.

- Już, młodzieńcze - odzywa się równocześnie Irina, na co Ordler potakuje łagodnie skinieniem, wskazując panią porucznik, jakby polecał mi zwrócić na nią baczniejszą uwagę. - Dwie noce temu brał pan udział w pewnym incydencie tutaj, u nas w piwnicy.

- Ja... no... - Czuję, że się czerwienię, i natychmiast zaczynam się tłumaczyć: - Jeden z nowych, to znaczy ostatnio przyjętych, powinienem powiedzieć... - Sam służę w policji od niespełna szesnastu miesięcy. - No więc jeden z ostatnio przyjętych sprowadził podejrzanego celem zastosowania aresztu prewencyjnego. Chodziło o włóczęgę, to znaczy osobę bezdomną.

- Zgadza się - potwierdza Irina, a ja widzę, że ma przed sobą raport dotyczący wspomnianego incydentu, co bardzo mi się nie podoba. Zaczynam się pocić. Naprawdę pocę się w zimnym gabinecie.

- On był, to znaczy ten funkcjonariusz, bardzo napastliwy werbalnie wobec podejrzanego, co moim zdaniem było niewłaściwe i naruszało wytyczne.

- I dlatego zdecydowałeś się na interwencję. Niech sprawdzę... - Irina zerka raz jeszcze na biurko, przewraca kolejne strony raportu. - Zacytowałeś odpowiednie przepisy regulaminu w bardzo agresywny sposób.

- Ja bym ujął to inaczej. - Zerkam na komendanta, ale on skupia całą uwagę na porucznik Paul. To jest jej przedstawienie. - Tak się złożyło, że znałem tego człowieka, przepraszam, podejrzanego. Duane Shepherd, biały mężczyzna, wiek pięćdziesiąt pięć lat. - Spojrzenie Iriny, ostre, ale jakby nieobecne, peszy mnie coraz bardziej, podobnie jak obecność milczącego komendanta. - Pan Shepherd był zastępowym, kiedy jako dzieciak uczęszczałem do skautów. Pracował wtedy w Penacook jako brygadzysta nadzorujący elektryków, lecz potem się stoczył. Powodem była recesja.

- Zgodnie z komunikatami - rzuca Irina zniżonym głosem - mamy do czynienia z depresją.

- Tak jest.

Porucznik Paul raz jeszcze spogląda na raport dotyczący incydentu. Wygląda przy tym na zmęczoną.

Rozmowa ma miejsce na początku grudnia, po wielu zimnych miesiącach niepewności. Siedemnastego września nastąpiła koniunkcja, asteroida znalazła się zbyt blisko Słońca, byśmy mogli ją widzieć i robić kolejne pomiary. Przez to szanse na zderzenie, które rosły powoli, ale nieprzerwanie od kwietnia - najpierw było to trzy procent, potem dziesięć i piętnaście - zatrzymały się jesienią i zimą na poziomie pięćdziesięciu trzech procent. Ucierpiała na tym gospodarka światowa. Dwunastego października prezydent uznał, że musi podpisać pierwszy pakiet ustaw autoryzujących napływ dodatkowych pieniędzy dla stanowych i lokalnych służb policyjnych. W przypadku Concord oznaczało to, że młodzicy - to znaczy ludzie młodszy ode mnie, zaraz po szkole bądź tacy, co szkoły nawet nie skończyli - musieli przejść szkolenie w quasi akademii policyjnej.

McConnell i ja mówimy o nich Jeżyki, ponieważ w koszarach wszyscy zostali ostrzyżeni prawie do gołej skóry. Dzieciaki o zaciętych spojrzeniach i cynicznych minach.

Jeśli mam być szczery, starłem się z nimi już wcześniej, zanim przyszło mi bronić pana Shepherd'a.

Komendant chrząka, a Irina błyskawicznie odpuszcza, zadowolona, że może przekazać mu pałeczkę.

- Posłuchaj mnie, synu. W całym budynku nie ma jednej osoby, która chciałaby się ciebie pozbyć. Z dumą i radością przyjęliśmy cię do służby patrolowej i gdyby nie to, że nastąpiły takie czasy...

- Byłem pierwszy na swoim roku, komendancie - wtrącam, zdając sobie sprawę, że podniosłem zanadto głos i że przerwałem przełożonemu, ale nie umiając się powstrzymać, dodaję jeszcze: - Mam doskonałą frekwencję, zero naruszeń regulaminu, zero skarg obywateli, zarówno przed, jak i po pojawieniu się Mai.

- Henry - odzywa się łagodnie komendant.

- Bezpośredni przełożeni nie mają do mnie żadnych zastrzeżeń...

- Młodzieńcze! - wpada mi w słowo ostrym tonem porucznik Paul, unosząc rękę. - Chyba zaszło nieporozumienie.

- Słucham?

- Nie chodzi o zwolnienie. Otrzymuje pan awans.

Komendant Ordler wkracza w snop światła bijącego z jedyne-go okna.

- Uważamy, że w obecnych okolicznościach i przy twoich zdolnościach przydasz nam się bardziej przy biurku na piętrze.

Gapię się na niego z otwartymi ustami i dopiero po dłuższej chwili odzyskuję mowę.

- Ale przepisy wewnętrzne mówią, że posterunkowy może zostać awansowany na detektywa dopiero po dwóch latach

i sześciu miesiącach służby.

- Zdecydowaliśmy się na ominięcie tego wymogu - wyjaśnia Irina, składa raport o incydencie i wyrzuca go do kosza. - I chyba podwyższymy ci ubezpieczenie emerytalne.

To oczywiście żart, ale nie reaguję śmiechem, mogę jedynie stać przed nimi obojgiem wyprężony jak struna. Próbuję zebrać myśli, przekuć je w słowa, ale w głowie mam tylko „obecne okoliczności”, „biurko na piętrze” i co chyba najważniejsze, „to nie tak wyglądało w moim śnie”.

- No dobrze, Henry - rzuca komendant przyjaznym tonem. - Na tym kończy się to spotkanie.

* * *

Dopiero później dowiaduję się, że zajmuję miejsce po detektywie Harveyu Telsonie, który odszedł w grudniu na wcześniejszą emeryturę, by - jak wiele innych osób - zacząć spełniać swoje najskrytsze marzenia. Ludzie szaleją na torach wyścigowych, realizują długo tłumione zachcianki erotyczne, odnajdują drani, którzy ich kiedyś dręczyli, i leją ich po mordach. Detektyw Telson, jak się okazało, od dawna pragnął wziąć udział w regatach takich jak na przykład Puchar Ameryki. I zrobił to na moje szczęście.

Porucznik Paul zwolniła się z policji dwadzieścia sześć dni po wspomnianej rozmowie i dwa dni po tym, jak asteroida wyszła w końcu zza tarczy słonecznej. Irina wyjechała ponoć do Las Vegas, by zamieszkać ze swoimi dorosłymi już dziećmi.

Nie mam już tego snu, w którym komendant Ordler kładzie moją dłoń na Biblii i robi ze mnie detektywa. Za to często śni mi się coś innego.

* * *

Jak słusznie zauważył Dotseth, ostatnimi czasy nie można polegać na telefonach komórkowych. Wybierasz numer, czekasz

i czasami się dodzwaniaasz, a czasami nie. Sporo ludzi wierzy w to, że Maja zagina pole grawitacyjne Ziemi, przez co wariują magnesy i kompasy, ale ta cholerna asteroida jest wciąż prawie czterysta pięćdziesiąt milionów kilometrów od naszej planety, więc jej wpływ na telefonię komórkową jest mniej więcej taki jak na pogodę. Posterunkowy Wilentz, nasz spec od techniki, wyjaśnił mi to kiedyś: sieć komórkowa jest podzielona na sektory - czyli „komórki” z przekaźnikami - więc jak któryś z nich padnie, telefony w jego zasięgu zdychają i tyle. Kompanie telefoniczne tracą pracowników obsługujących sieć komórkową, ponieważ nie są w stanie im płacić, gdyż obecnie nikt już nie reguluje rachunków. Tracą też szefów, ponieważ ci, zamiast pilnować interesu, spełniają właśnie swoje najskrytsze marzenia. Tracą maszty z powodu braku remontów, tracą kilometry kabli z powodu masowych aktów wandalizmu i szabrownictwa. Przez to wszystko telefony komórkowe przestają działać. A o całej reszcie bajerów, jakimi napakowywano smartfony, o tych wszystkich aplikacjach można po prostu zapomnieć.

Jeden z pięciu największych przewoźników obwieścił w minionym tygodniu, że zaczyna zwijać interes. Za pomocą reklamy prasowej określił to mianem wspaniałomyślności, „darem czasu” dla trzystu pięćdziesięciu pięciu tysięcy pracowników i ich rodzin, i zarazem ostrzegł pasażerów, że wszelkie kursy zostaną zawieszane w ciągu najbliższych dwóch miesięcy. Trzy dni temu „New York Times” Culversona opublikował szacunki Departamentu Handlu mówiące, że telefonii grozi upadek jeszcze przed końcem wiosny, w związku z czym rząd planuje nacjonalizację tej branży.

- A to znaczy - zauważył z rechosem McGully - że do lata wszystko szlag trafi.

Czasami gdy widzę, że sygnał jest silny, natychmiast wybieram jakiś numer, by nie zmarnować takiej okazji.

- Och, stary. Bracie, o bracie, czego ty, u licha, znowu chcesz?

- Dobry wieczór. Mówi detektyw Henry Palace z komendy policji w Concord.

- Przecież wiem, kto dzwoni. Znam cię.

Victor France mówi podniesionym, poirytowanym głosem. Jak zawsze. Siedzę w chevrolecie przed Rollins Park, kilka przecznic od budynku, w którym mieszkał Peter Zell.

- Nie denerwuj się tak.

- A może ja chcę się denerwować? Nie cierpię twojej osoby. Nie cierpię, kiedy do mnie dzwonisz. - Trzymam telefon kilka-naście centymetrów od ucha, a i tak słyszę ociekające jadem wrzaski. - Ja tu tylko próbuję żyć w spokoju, człowieku. Czy to naprawdę taka straszna zbrodnia?

Mogę sobie wyobrazić tego olśniewającego oprycha: zwoje łańcucha zwisające z czarnych dżinsów, na małym palcu pierścień z czachą i skrzyżowanymi pieszczelami, chude nadgarstki i przedramiona wytatuowane w wijące się węże. Ozdobiona szczurzymi ślepiami gęba wykrzywiona w melodramatycznym oburzeniu, że ktoś taki jak ja, najzwyczajniejszy palant z policji, śmie dzwonić, by wydawać mu polecenia. Dobra, tylko ktoś tu chyba zapomniał, że to właśnie czeka każdego dilera narkotyków, który da się złapać w tak parszywym momencie historii. Victor może nie znać na pamięć pełnego tekstu ustawy regulującej prawo w czasie bezpośrednio przed upadkiem asteroidy, ale rozumie z pewnością jej sedno. Zresztą już sam tytuł wiele mówi: Ustawa o działaniach stabilizacyjnych i zapewnieniu bezpieczeństwa w okresie przed zderzeniem Ziemi z obiektem 2011GV₁.

- Dzisiaj nie potrzebuję większej pomocy. Chodzi mi o pewne informacje.

Wyrzuca z siebie ostatnie „bracie, o bracie”, a potem uspokaja się zgodnie z moimi przypuszczeniami.

- No dobra, dobra, o co biega?
- Znasz się trochę na samochodach, prawda?
- Jasne. Tak. Czy to znaczy, że dzwoniś do mnie, żebym ci napompował oponę?
- Nie, dziękuję. W ciągu ostatnich kilku tygodni ludzie zaczęli przerabiać wozy na oleje spożywcze.
- No coś podobnego - drwi Victor. - Widziałeś ostatnio ceny paliw?

Chrząka głośno, po czym spluwa.

- Szukam kogoś, kto dokonał takiej przeróbki. Chodzi o pikapa średniej wielkości, czerwonego forda. Na drzwiach ma wymalowaną amerykańską flagę. Dasz radę go namierzyć?
- Możliwe. Co będzie, jeśli nie dam?

Milczę. Nie muszę nic mówić. Victor zna odpowiedź.

Jednym z najbardziej zauważalnych efektów pojawienia się asteroidy, przynajmniej z policyjnego punktu widzenia, jest niebotyczny wzrost zapotrzebowania na narkotyki i wysyp związanych z tym procederem zbrodni. Dzisiaj zejdą do czysta każde prochy: opiaty, ecstasy, metamfetamina, kokaina we wszystkich odmianach. Dzieje się tak wszędzie, w małych miastach, na przedmieściach i po wsiach - mamy z tym problem nawet w takiej dziurze jak Concord, gdzie nigdy wcześniej nie notowano poważniejszych przestępstw tego rodzaju. Rząd federalny miotał się straszliwie latem i jesienią, aby już pod koniec roku przyjąć bezkompromisową postawę. Nowe prawo zniosło większość okoliczności łagodzących, nic więc już nie chroni ludzi zamieszanych w import, wyrób, uprawę czy dystrybucję środków odurzających.

Te kroki wydawały się konieczne dla „ograniczenia przemocy, promowania stabilności i nakłonienia ludzi do pracy w okresie poprzedzającym zderzenie”.

Osobiście znam pełny tekst tego dokumentu.

Silnik jest wyłączony, więc wycieraczki się nie poruszają. Patrzę na grudki śniegu przymarzającego do przedniej szyby.

- Dobra, bracie, dobra - mówi Victor. - Dowiem się, kto podrasował tę furę. Daj mi z tydzień.

- Chciałbym mieć tyle czasu. Zadzwoń do ciebie jutro.

- Jutro? - Victor wzdycha przesadnie. - Dupek.

Jak na ironię, jedyny wyjątek zrobiono dla marihuany. Palenie trawki zostało oficjalnie zdekryminalizowane w bezowocnej próbie zniechęcenia ludzi do zażywania twardszych, niszczących więzi społeczne narkotyków. A ja znalazłem przy Victorze pięć gramów zioła, w sam raz tyle, że bez trudu mógłby się wyłgać własnym użytkiem, problem jednak w tym, że o istnieniu narkotyku dowiedziałem się, gdy próbował mi go opchnąć, kiedy pewnego sobotniego wieczora wracałem do domu z Somerset Diner. To, czy podejrzany zostanie aresztowany, zależy dzisiaj wyłącznie od policjanta biorącego udział w zdarzeniu, a ja uznałem - pod pewnymi warunkami rzecz jasna - że mogę chwilowo odstąpić od tej czynności.

Powołując się na nową ustawę, mógłbym zapuszkować Victora na pół roku, a on o tym wie i dlatego raczy mnie tym przeciągłym jękiem.

Sześć miesięcy w kiciu to w obecnej sytuacji dożywocie.

- Wiesz, wielu gliniarzy rzuca teraz robotę - stwierdza Victor. - Pyskają na Jamajkę albo do innego raję. Nie masz na to ochoty, Palace?

- Porozmawiamy o tym jutro.

Rozłączam się, wrzucam komórę do schowka na rękawiczki i przekręcam kluczyk w stacyjce.

Nikt nie ma pewności - nawet ci z nas, którzy zadali sobie trud i przeczytali cały ośmiusetstronicowy dokument, dokładnie, ze zrozumieniem, co nie było łatwe, zważywszy na liczbę poprawek - co oznacza zwrot „zapewnienie bezpieczeństwa”

w tytule ustawy. McGully twierdzi na przykład, że rząd z końcem września zacznie rozdawać obywatelom parasole.

* * *

- Halo.
- Dodzwoniłem się do Belknap & Rose?
- Tak.
- Mam pytanie.
- Nie robiłbym sobie wielkich nadziei. Prawie nic nie mamy na stanie. Splądrowano nas już dwukrotnie, a większość dostawców dawno pozamykała interes. Jeśli pan jednak sobie życzy, proszę przyjechać i sprawdzić, co zostało. Zazwyczaj bywam w sklepie.
- Nie o to mi chodziło. Jestem detektyw Henry Palace, pracuję na komendzie policji w Concord. Mam nadzieję, że zachował pan kopie rachunków z ostatnich trzech miesięcy.
- Słucham?
- Jeśli tak, może pozwoli mi pan na ich przejrzenie? Szukam osoby, która dokonała zakupu ekskluzywnego paska z czarnej skóry, rozmiar XXL.
- Czy to jakiś żart?
- Nie, proszę pana.
- Jaja pan sobie ze mnie robi?
- Nie, proszę pana.
- Niech ci będzie, kolego.
- Prowadzę dochodzenie w sprawie zgonu w niewyjaśnionych okolicznościach, a ta informacja może mieć spore znaczenie dla śledztwa.
- Jasne, kolego.
- Halo?

* * *

Dom Petera Zella przy 14 Matthew Street Extension jest stosunkowo nowy, ale to tania konstrukcja z czterema tylko małymi pomieszczeniami: salon i kuchnia mieszczą się na parterze, sypialnia i łazienka na piętrze. Stojąc w progu, przypominam sobie właściwe fragmenty „Dochodzenia kryminalnego” radzące, by pracować powoli, podzielić budynek na sektory i sprawdzić je jeden po drugim. Znienacka myśl o Farleyu i Leonardzie – i o zaufaniu, jakie w nich pokładam – przypomina mi o Naomi Eddes. „To zabrzmiało jak cytaty z podręcznika dla detektywów”. Otrząsam się, przyglądam węża i wchodzę.

- Dobrze, panie Zell – mówię do pustego domu. – Rozejrzyjmy się trochę.

W pierwszym sektorze nie mam prawie nic do roboty. Cienka beżowa wykładzina, stary stolik do kawy, na którym widzę koliste plamy. Niewielki, ale działający płaski telewizor, przewody wijące się do odtwarzacza DVD, wazon z chryzantemami, które po bliższym przyjrzeniu się zdradzają, że są zrobione z drutów i materiału.

Większość miejsca na regale Zella zajmują książki poświęcone jego zawodowym zainteresowaniom: matematyce, prawdopodobieństwu i przeróżnym wskaźnikom, jest też grube tomiście poświęcone historii rachunkowości i broszury z Urzędu Statystycznego i Narodowego Instytutu Zdrowia. Jest też osobna półka, na której Peter trzymał niczym na kwarantannie jakieś nerdowskie science fiction i fantasy. Wszystkie sezony *Battlestar Galactica*, stare podręczniki *Dungeons & Dragons*, książka o mitologicznych i filozoficznych podwalinach *Gwiezdnych wojen*. Niewielka armada miniatur okrętów kosmicznych wisi na drutach rozpiętych w przejściu do kuchni, tak że muszę się schylić, by przejść pod nimi.

W spiżarni znajduję dziewięć opakowań płatków, ktoś zadał sobie trud i ustawił je w kolejności alfabetycznej: Alpha-bits, Cap'n Crunch, Cheerios i tak dalej. W równym rzędzie do-

strzegam tylko jeden wylom, coś jak brakujący ząb, pomiędzy Frosted Flakes a Golden Grahams, i automatycznie wyszukuję w pamięci, co też mogło tam stać: Fruity Pebbles. Różowe okruszki potwierdzają moją hipotezę.

- Podoba mi się pan, panie Zell - rzucam, zamykając starannie drzwi spiżarni. - Podoba mi się pan.

W kuchni, w poza tym pustej szufladzie obok zlewozmywaka, znajduję notatnik, w którym ktoś zapisał tylko dwa słowa: „Droga Sophie”. Pismo jest bardzo równe, precyzyjne wręcz, dzięki czemu czuję, że Zell tworzył czy może raczej zamierzał stworzyć ważny tekst, a nie jakąś tam zwykłą wiadomość.

Napominam się, aby zachować spokój, ponieważ wbrew pozorom może to być coś nieistotnego, jednakże moje myśli krążą nieprzerwanie wokół znaleziska. W końcu mam jakiś ślad - bez względu na to, czy to był początek listu pożegnalnego czy nie.

Wkładam kartkę do kieszeni swetra i zaczynam wspinać się po schodach, zastanawiając się, kim jest Sophie.

Sypialnia, podobnie jak salon, jest sterylna i pozbawiona jakichkolwiek ozdób, tylko łóżko nie zostało porządnie zaścielone. Nad nim na ścianie wisi oprawiony fotos, opatrzony autografem kadr z pierwszej *Planety małp*. W szafie znajduję trzy garnitury, wszystkie ponuro brunatne, i dwa mocno zużyte paski, także brązowe. W niskiej, lekko podniszczonej szafce nocnej w drugiej szufladzie od góry widzę pudełko na buty owinięte dokładnie taśmą klejącą. Na jego wieczku wypisano tym samym precyzyjnym charakterem pisma liczbę 12,375.

- Dwanaście przecinek trzysta siedemdziesiąt pięć - mamroczę i dodaję: - Ciekawe, o co chodzi...

Wkładam pudełko pod pachę i wstaję, po czym spoglądam na jedyną fotografię w tym pokoju. Niewielkiego formatu, oprawiona w tanią ramkę, przedstawia dziesięcio-, może jedenastoletniego chłopca o rzadkich zmierzwionych jasnych włosach

i łotrzykowskim uśmiechu. Wyjmuję zdjęcie z ramki, odwracam i znajduję czytelny napis. „Kyle. 10 lutego”. Zeszły rok. Zanim się dowiedzieliśmy.

Używam krótkofalówki, by skontaktować się z Trishą McConnell.

- Hej - mówię. - To ja. Udało ci się namierzyć rodzinę ofiary?
- Owszem, tak.

Matka Zella nie żyje, pochowano ją tutaj, w Concord, na Blossom Hill. Ojciec mieszka w domu seniora Pleasant View, ale cierpi na demencję. Osobą, której McConnell przekazała złą wiadomość, była starsza siostra Petera, która pracuje jako położna w prywatnej klinice nieopodal miejskiego szpitala. Jest zamężna, dorobiła się jednego dziecka, syna. Na imię ma Sophie.

* * *

Wychodząc, przystaję ponownie w progu domu Petera Zella, niezgrabnie trzymając pudełko po butach, fotografię dziecka i notatnik. Czuję rosnącą wagę tej sprawy i porównuję ją do pewnego naprawdę starego wspomnienia: policjanta stojącego w drzwiach mojego domu z czasów dzieciństwa, bez czapki, za to z bardzo poważną miną, wołającego w półmrok poranka: „Jest tam kto?”.

Ja znajduję się na szczycie schodów, mam na sobie bluzę z logo Red Soxów, a może zwykłą piżamę, i zastanawiam się, czy moja siostra wciąż śpi. Taką przynajmniej mam nadzieję. Wiem już bowiem, co za moment powie policjant.

* * *

- Niech zgadnę, młodzieńcze - odzywa się Denny Dotseth. - Mamy kolejnego 10-54S.

- W sumie to nie nowego. Chciałem wymienić się z panem informacjami na temat Petera Zella.

Jadę Broadwayem, ręce trzymam na dziesiątej i drugiej. Przy skrzyżowaniu ze Stone stoi radiowóz ze stanowej. Silnik pracuje, światła są włączone, niebieski kogut obraca się powoli na dachu. Funkcjonariusz ma w dłoniach karabin maszynowy. Kiwam mu głową, odrywam dwa palce od kierownicy w geście pozdrowienia, a on odpowiada podobnym gestem.

- Kim jest Peter Zell? - pyta Dotseth.

- To denat znaleziony tego ranka, proszę pana.

- A, ten. Ej, słyszałeś już, że wyznaczono wielki dzień? Ten, w którym dowiemy się całej prawdy, gdzie rąbnie asteroida? Ma to nastąpić dziewiątego kwietnia.

- Tak. Obiło mi się o uszy.

Dotseth, podobnie jak McGully, lubi być na bieżąco, jeśli chodzi o globalną katastrofę. Na miejscu ostatniego samobójstwa, nie Zella, tylko jego poprzednika, przez dziesięć minut perorował na temat wojny w Rogu Afryki. Etiopska armia runęła na Erytreę, by pomścić zadawnione urazy, póki jest jeszcze czas.

- Pomyślałem, że sensownie byłoby zapoznać pana z dotychczasowymi wynikami dochodzenia - mówię. - Wiem, jakie odniósł pan wrażenie tego ranka w McDonalddie, ale moim zdaniem to mogło być zabójstwo. Naprawdę tak uważam.

- Poważnie? - mamrocze Dotseth, a ja biorę to za przyzwolenie i pokrótce przedstawiam mu poczynione ustalenia. Incydent w Merrimack Life and Fire, ten halloweenowy. Mówię o czerwonym pikapie na olej spożywczy, o tym, że zabrał ofiarę feralnej nocy. Wspominam o przeczuciu dotyczącym paska od Belknapa & Rose.

Wszystko to zastępca prokuratora generalnego komentuje zwięźłym: „Interesujące”, a następnie wzdycha i dodaje jeszcze:

- A co z listem?

- No... Listu nie ma, proszę pana.

Decyduję, że nie powiem mu o „Droga Sophie”, ponieważ jestem przekonany, że to może być wszystko, tylko nie niedokończony list pożegnalny, choć Dotseth z pewnością uczepliłby się tej właśnie wersji, mówiąc coś w stylu: „No proszę, młodzieńcze. Grubo się pomyliłeś...”. Co, jestem przekonany, i tak myśli.

- No to masz w końcu jakiś punkt zaczepienia - rzuca zamiast tego. - Nie zamierzasz pokazywać tej sprawy Fenton, mam nadzieję?

- Prawdę powiedziawszy, mam. Już to zrobiłem. Dlaczego pan pyta?

Dotseth milczy przez chwilę, potem rechocze pod nosem.

- Tak sobie, bez powodu.

- Jak to?

- Posłuchaj mnie, młodzieńcze. Jeśli naprawdę uważasz, że da się z tego zbudować sprawę, zajmę się nią. Nie zapominaj jednak o kontekście. Wiesz o tym, że wszędzie wokół ludzie popełniają samobójstwa? Ten facet, którego mi właśnie opisałeś, człowiek niemający licznych przyjaciół, niewspierany przez system, mógł mieć wiele powodów, by się zabić, postępując zgodnie z owczym pędem.

Jadę dalej, trzymając głowę na kłódkę. To rozumowanie za diabła mi się nie podoba. Zell zrobił to, co zrobił, ponieważ wszyscy dokoła to robią? Mam takie wrażenie, jak gdyby Dotseth oskarżał ofiarę o tchórzostwo albo uleganie modom, czyli o coś w rodzaju słabości. Co - w sytuacji gdy Petera Zella jednak zamordowano, zaciągnięto do kibla w McDonalddie i tam porzucono jak śmiecia - jest potworną obelgą.

- Coś ci poradzę - odzywa się znowu Dotseth. - Nazwijmy to usiłowaniem zabójstwa, co?

- Słucham?

- To zwykłe samobójstwo, ale ty usiłujesz zrobić z niego morderstwo. Miłego dnia, detektywie.

* * *

Po południowej stronie School Street, zaraz za siedzibą YMCA, znajduje się staroświecka lodziarnia. Wygląda na to, że tego dnia interes kręci się aż miło pomimo śniegu i galopujących cen nabiału. Widzę parę młodych, może trzydziestoletnich ludzi, którzy wychodzą z wnętrza, trzymając kolorowe różki. Kobieta kiwa mi w oszczędny sposób, jak zwykle się pozdrawiać policjanta, więc odwdzięczam się tym samym, choć jej partner przygląda mi się ponurym wzrokiem.

Ludzie głównie powielają rutynę. Zasuważą do pracy, siadają za swoimi biurkami i trzymają kciuki, by ich firmy nadal były otwarte w poniedziałek. Chodzą do sklepów i pchają wózki w nadziei, że znajdą wciąż trochę żywności. Spotykają się z ukochaną osobą na lodach. Jasne, niektórzy wybrali śmierć, inni spełnienie najskrytszych marzeń, jedni sięgnęli po narkotyki, drudzy zaś „łazą po okolicy z fiutami na wierzchu”, jak ma w zwyczaju mówić McGully.

Tymczasem niemała część tych, którzy chcieli zrealizować swoje marzenia, zdążyła powrócić zawiedziona, natomiast przestępcy z przypadku oraz ci, którzy próbowali skosztować zakazanych owoców, trafili za kratki, gdzie odtąd będą czekać w strachu i samotności na nadejście października.

Zatem tak, dostrzegam różne zachowania ludzi, ale te najdziwniejsze to przecież tylko margines. Główne odstępstwo, z perspektywy służb porządkowych, jest bardziej ulotne i trudniejsze do zdefiniowania. Nastroje panujące w mieście opisałbym tak: wyrostek nabroił i choć nie poniósł jeszcze konsekwencji, wie, że ich nie uniknie. Siedzi teraz w swoim pokoju i czeka. „Zobaczysz, co będzie, jak ojciec wróci do domu!” Jest nadąsany i nerwowy. Skołowany, smutny, boi się tego, co nastąpi, i dlatego gotów jest posunąć się nawet do przemocy, nie czuje gniewu, lecz strach, któremu niedaleko do prawdziwej furii.

Tak wygląda dzisiaj Concord. Nie wiem, jakie nastroje panują na świecie, ale tak to wygląda u nas.

* * *

Siedzę ponownie za własnym biurkiem na School Street, w pokoju wydziału kryminalnego, cierpliwie zdejmując taśmę klejącą, którą przytwierdzono wieczko pudełka do butów, i nagle po raz drugi rozbrzmiewa mi w pamięci głos Naomi Eddes. Oczami wyobraźni widzę ją, jak stoi nade mną z rękoma skrzyżowanymi na piersi, obserwując moje poczynania. „Czego pan tam szuka?”

- Tego - odpowiadam, gdy udaje mi się zdjąć wieczko i nareszcie mogę zajrzeć do środka. - Tego właśnie szukam.

Pudełko na buty Petera Zella zawiera setki wycinków prasowych, stron wyrwanych z czasopism, wydruków z Internetu, a wszystkie one odnoszą się do jednego tematu: Mai i jej zderzenia z Ziemią. Wyciągam ten, który leży na samym wierzchu. Jest z drugiego kwietnia minionego roku, to notka prasowa Associated Press mówiąca o obserwatorium Palomar i niezwykłym, lecz niemal na pewno nieszkodliwym obiekcie, który pracujący tam astronomowie ostatnio odkryli i dodali do katalogu potencjalnie groźnych asteroid prowadzonego przez Minor Planet Center. Autor kończy tekst zwięzłym stwierdzeniem: „Bez względu na to, jakie są rozmiary i skład wspomnianego obiektu, szanse na to, że uderzy w Ziemię, są szacowane na 0,000047 procent, czyli wynoszą 1:2 128 000”. Zell, co zauważyłem, zakreślił obie liczby.

Kolejnym tekstem z pudełka jest artykuł opublikowany przez korporację medialną Thomson Reuters, datowany na dwa dni później. Jego tytuł brzmi: „Odkryto największą od wielu dekad asteroidę”, ale sama notka jest nieciekawa, składa się tylko z jednego akapitu i nie zawiera prawie żadnych liczb. Dotyczy szacunków wielkości obiektu - w pierwszych dniach po odkry-

ciu nazywano go po prostu 2011GV₁ – które lokują go „między największymi odkrytymi przez astronomów w ciągu kilku minionych dekad”, w którymś miejscu pada mimochodem wzmianka, że „jego średnica wynosi 3 km”. Zell zakreśla także tę cyfrę, ale błado, ołówkiem.

Czytam dalej, zafascynowany tą ponurą kapsułą czasu, odkrywając najbliższą przyszłość widzianą z perspektywy Petera Zella. W każdym artykule zakreślił bądź podkreślił liczby: rosnące nieustannie szacunki wielkości Mai, kąt, pod jakim pojawia się na niebie, jej rektascensję i deklinację, zwiększające się stopniowo, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, szanse na zderzenie. Otoczył ramkami każdą sumę w dolarach i każdą stratę procentową, jaką poniosła giełda w datowanych na początek lipca podsumowaniach „Financial Timesa”, dotyczących rozpaczliwych prób zapanowania nad sytuacją Banku Federalnego, Europejskiego Banku Centralnego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Zbierał również teksty odnoszące się do politycznej strony problemu: zmian w prawie, stanów wyjątkowych, biurokratycznych zawirowań w Departamencie Sprawiedliwości czy refundacji dokonywanych przez Federalną Korporację Ubezpieczeń Depozytów.

Wyobrażam sobie Zella siedzącego nocą, noc w noc, przy takim kuchennym stole, zajadającego płatki i zaznaczającego liczby na wycinkach i wydrukach, by wychwycić najdrobniejsze detale katastrofy.

Wyłuskuję artykuł z „Scientific American” datowany na trzeciego września, którego tytuł pyta wytłuszczonym drukiem: „Jak mogliśmy o tym nie wiedzieć?”. Odpowiedź jest krótka, ja znam ją już od dawna, wszyscy inni też zdążyli ją do dzisiaj poznać. Asteroida 2011GV₁ ma bardzo nietypową eliptyczną orbitę, więc można ją zobaczyć z Ziemi co siedemdziesiąt pięć lat, co znaczy, że poprzednim razem nikt jej nie wypatrywał, w tamtych czasach bowiem nie istniał jeszcze program ozna-

czania i śledzenia obiektów przelatujących blisko naszej planety. Zell zakreślił liczbę 75 za każdym razem, gdy się pojawiła, podobnie jak 1:265 000 000, co było szacunkową wartością prawdopodobieństwa na istnienie takiej asteroidy – od pewnego czasu kwestionowaną z oczywistych względów – oraz 6,5 km, ponieważ na tyle oceniano podówczas jej rozmiar.

Dalsza część artykułu z „Scientific American” jest mocno zagmatwana: sama astrofizyka, peryhelia i afelia, wyliczenia orbity i szacunkowa elongacja. Zaczynam mieć niezły mętlik w głowie, oczy mnie pieką, ale Zell jakoś dał sobie z tym radę, przeanalizował każdą wzmiankę, robiąc liczne notatki na każdej stronie. Podliczał coś na marginesach, strzałkami łącząc te rachunki z zaznaczonymi statystykami i wartościami astronomicznymi.

Zamykam pudełko z należytą ostrożnością i spoglądam za okno.

Trzymając obie dłonie na wieczku, opuszczam wzrok na wypisane czarnym flamastrem cyfry: 12,375.

I znów coś czuję, nie wiem wprawdzie co, ale to czuję.

* * *

– Czy mogę mówić z Sophie Littlejohn? Jestem detektyw Henry Palace, dzwonię z komendy policji w Concord.

Słyszę ciszę, potem odzywa się kobiecy głos, w miłym z pozoru tonie wyczuwam zaniepokojenie.

– To ja. Ale chyba coś wam się pokiełbało. Dopiero co rozmawiałam z kimś od was. Pan dzwoni w sprawie mojego brata, zgadza się? Właśnie mieliśmy wizytę... Zarówno ja, jak i mój mąż powiedzieliśmy wszystko, co tylko przyszło nam do głowy.

– Wiem o tym, proszę pani. – Siedzę przy telefonie stacjonarnym w komendzie. Buduję sobie obraz Sophie Littlejohn, wyobrażam ją sobie na podstawie tego, co już wiem, i tonu jej

głosu. Jest zaniepokojona, podchodzi jednak do sprawy profesjonalnie, z odpowiednią dawką empatii. – Posterunkowa McConnell miała poinformować panią o śmierci brata. Bardzo przepraszam, że niepokoję ponownie, ale jak już wspomniałem, jestem detektywem i muszę zadać pani kilka pytań.

Gdy to mówię, uświadamiam sobie, że w tle słychać nieprzyjemny charkot. Siedzący po drugiej stronie pokoju McGully owinął sobie na szyi czarny szalik i udaje, że się dusi.

Odwracam się do niego plecami, pochylam mocniej nad biurkiem i przysuwam słuchawkę do ucha.

– Doceniam pańskie zaangażowanie, detektywie – odzywa się siostra Petera Zella – choć szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia, co jeszcze mogłabym dodać. Peter popełnił samobójstwo. Oczywiście to straszne, ale nasze drogi rozeszły się dość dawno temu. Nigdy nie byliśmy ze sobą zżyci.

Najpierw Gompers. Potem Naomi Eddes. A teraz jego własna siostra. Peter Zell miał wokół siebie masę ludzi, z którymi nie był szczególnie blisko.

– Chciałem zapytać, czy pani brat mógł mieć ostatnio jakiś powód, by napisać do pani list albo wiadomość kierowaną na pani ręce.

Po drugiej stronie zapada dłuższa cisza.

– Nie – odpowiada w końcu Sophie Littlejohn. – Nie. Nic mi o tym nie wiadomo.

Odczekuję moment, wsłuchując się w jej oddech, a potem mówię:

– Jest pani pewna?

– Tak, jestem pewna, detektywie. Proszę wybaczyć, ale naprawdę nie mam teraz czasu na rozmowy.

Pochylam się jeszcze mocniej, niemal leżę na biurku. Z grzejnika w kącie dobiega metaliczny hurkot.

– W takim razie może odłożmy tę rozmowę do jutra – proponuję.

- Do jutra?

- Tak. Bardzo panią przepraszam, ale to dla mnie niezwykle ważne.

- Okay - rzuca po kolejnej przerwie. - Dobrze. Może pan przyjechać do nas jutro rano?

- Mogę.

- Nawet wcześniej? Powiedzmy za kwadrans ósma?

- Nie ma problemu. Będę za piętnaście ósma. Dziękuję.

Chwila ciszy, spoglądam na telefon, zastanawiając się, czy odwiesiła słuchawkę, czy też zaczynają się także problemy z połączeniami stacjonarnymi. McGully, wychodząc, rozczochruje mi włosy, pod ramieniem dynda mu torba sportowa. Jak zwykle wybiera się na kręgle.

- Kochałam go - słyszę niespodziewanie głos Sophie Littlejohn, zduszony, lecz mimo to donośny. - Był moim młodszym bratem. Tak bardzo go kochałam.

- Z pewnością, proszę pani.

Spisuję adres, odkładam słuchawkę i przez moment zastygam na krześle, wyglądając za okno. Gapię się na marznący deszcz, który nieustannie rosi ziemię.

- Ej. Ej, Palace!

Detektyw Andreas kuli się na swoim krześle po drugiej stronie pokoju, prawie niewidoczny w półmroku. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że jeszcze tu jest.

- Jak ci leci, Henry? - rzuca wypranym z emocji głosem.

- Świetnie. A co u ciebie? - Myślę o tej dającej do myślenia pauzie, o tej chwili nabrzmiałego milczenia. Wiele bym dał, aby być w głowie Sophie Littlejohn, gdy zastanawiała się nad powodami, dla których jej brat napisał „Droga Sophie” w notatniku.

- W porządku - odpowiada powoli Andreas. - W porządku. - Patrzy na mnie, uśmiecha się, myślę, że na tym zakończyliśmy rozmowę, ale jest inaczej. - Powiem ci szczerze - mamrocze,

kręcąc głową i nie spuszczać ze mnie spojrzenia. - Nie wiem, jak ty to robisz.

- Co jak robię?

Ale on milczy, po prostu wlepia we mnie gały, a mnie się zdaje - z tej odległości nie mogę być pewien - że dostrzegam łyzy, wielkie kałuże stojącej wody wypełniające przestrzeń pod powiekami. Odwracam wzrok z powrotem do okna, ponieważ nie wiem, co mógłbym powiedzieć. Totalnie tego nie wiem.

4.

Mrok sypialni wypełnia przeraźliwy dźwięk, erupcja wstrząsającego wrzasku, więc siadam na łóżku, także drąc się wniebogłosy. Kataklizm nadciągnął, a ja nie jestem na niego gotowy. Serce pęka mi w piersi, ponieważ zagłada nadeszła wcześniej, niż powinna, dzieje się tu i teraz.

Ale to tylko telefon. Te upiorne dźwięki to tylko dzwonek stacjonarnego aparatu. Jestem spocony, przyciskam dłoń do piersi, drżąc razem z leżącym na podłodze cienkim materacem, który nazywam łóżkiem.

To tylko mój głupi telefon.

- Halo.

- Hank? Co robisz?

- Jak to co robię? - Zerkam na zegarek, jest za kwadrans piąta. - Śpię. To znaczy spałem i śniłem o...

- Przepraszam. Wybacz, ale potrzebuję twojej pomocy, naprawdę, Henny.

Oddycham głębiej, pot na moim czole chłodnieje, a przerażenie przeradza się w irytację. No tak. Moja siostra jest jedyną osobą, która może zadzwonić o piątej nad ranem. Poza tym tylko ona mówi na mnie Henny, używając tego okropnego przydomka z dzieciństwa. Zakrawa ono na pseudonim wodewilowego aktorki albo nazwę przygłupiego ptaka.

- Gdzie jesteś, Nico? - pytam głosem ochrypłym od zaspania.

- Wszystko w porządku?

- Jestem w domu. Nosi mnie strasznie.

W domu, czyli w miejscu, gdzie się wychowaliśmy, gdzie Nico nadal mieszka. Nasz dziadek wyremontował wzniesione z czerwonej cegły zabudowania farmy zajmującej półtora akra

wzgórz przy Little Pond Road. Składam w myślach całą litanie powodów, dla których moja siostra dzwoni rano o tej niehumanitarnej porze. Potrzebuje pieniędzy. Albo podwózki. Ostatnim razem „skradziono” jej rower, co znaczy, że pożyczyła go przyjaciółce, czytaj przygodnej osobie poznanej na jakiejś imprezie, i wszelki ślad po nim zaginął.

- Mów, co się dzieje.

- Chodzi o Dereka. Nie wrócił na noc.

Odkładam słuchawkę, potem ciskam aparatem o podłogę i próbuję znów zasnąć.

* * *

Śniłem o mojej dziewczynie z liceum, Alison Koechner.

We śnie Alison i ja trzymamy się za ręce, idąc wolnym krokiem przez uroczy zakątek centrum Portland w stanie Maine. Oglądamy wystawę mijanego antykwariatu. Alison przytula się delikatnie do mojego ramienia, czuję na szyi łaskotanie jej zmierzwiionych włosów w odcieniu rudej orchidei. Jemy lody, śmiejemy się do rozpuku z żartu, który tylko my rozumiemy, zastanawiamy się, na jaki film pójdziemy.

To jeden z tych snów, do których bardzo trudno powrócić, nawet jeśli szybko zaśniesz, a ja nie mogę zmrużyć oka.

* * *

Za dwadzieścia ósma jest już jasno, ale wciąż bardzo zimno. Kluczę po Pill Hill, zmierzając w kierunku ekskluzywnego osiedla otaczającego miejscowy szpital. To tam, w przytulnych domach utrzymanych w stylu kolonialnym, mieszkają lekarze, pielęgniarki i cała reszta personelu. Ostatnimi czasy wiele tujszych ulic jest patrolowanych przez prywatne agencje ochrony. Płaszcz ochroniarzy wybrzuszają się na ukrytej broni, przez co okolica przypomina stolicę państwa Trzeciego Świata. Jednakże przed domem numer czternaście na Thayer

Pond Road nie ma strażnika, chroni go tylko trawnik pokryty dziewiczą bielą śniegu, który spadł minionej nocy. Czuję opory przed zdeptaniem go śladami swoich butów, gdy zmierzam prosto do drzwi frontowych.

Sophie Littlejohn nie ma w domu. Musiała wyjść wcześniej, by odebrać nieplanowany poród w szpitalu, za co jej mąż wyłącznie mnie przeprasza. Wyszedł na ganek w spodniach khaki i golfie. Miły mężczyzna o równo przyciętej złotawej bródce z kubkiem aromatycznie pachnącej herbaty w ręce wyjaśnia mi, że Sophie ma nienormowany czas pracy, zwłaszcza teraz, gdy większość położnych z jej oddziału się pozwalniała.

- Ale nie ona, co to, to nie. Zdecydowała, że będzie pomagać swoim pacjentkom do samego końca. A może mi pan wierzyć, że pomimo wszystko nie brakuje rodzących. Tak przy okazji, Erik jestem. Wejdzie pan na moment? - Wygląda na lekko zaskoczonego, gdy odpowiadam, że owszem, tak. - Och... Okay. To... świetnie. - Cofa się do salonu i zaprasza mnie szerokim gestem.

Rzecz w tym, że wstałem i ubrałem się dwie godziny wcześniej, ponieważ nie mogłem się doczekać kolejnych informacji na temat Petera Zella, a jego szwagier musi przecież coś o nim wiedzieć.

Littlejohn wprowadza mnie do środka, odbiera ode mnie płaszcz i wiesza go obok swojego.

- Napije się pan herbaty?

- Nie, dziękuję. Nie chcę zabierać panu zbyt wiele czasu.

- I dobrze, bo niewiele mi go już zostało - odpowiada, puszczając do mnie przyjaźnie oko, aby mi nie umknęło, że to tylko żartobliwa uwaga. - Muszę odprowadzić syna do szkoły, a o dziewiątej sam zaczynam dyżur w szpitalu.

Wskazuje mi fotel i sam też siada wygodnie, krzyżując nogi. Ma szeroką, przyjemną twarz, szerokie, budzące zaufanie

usta. Emanuje z niego siła, ale nie czuję zagrożenia, jest jak przyjazny lew z kreskówki, sympatyczny przewodnik stada.

- Bycie policjantem w takich czasach to chyba trudny kawałek chleba.

- Owszem. Pan pracuje w szpitalu?

- Tak. Już od dziewięciu lat. Jestem dyrektorem Oddziału Usług Duchowych.

- Aha. A co to takiego?

- Hm. - Littlejohn pochyła się ku mnie, splata palce, widać, że jest zadowolony z tego, że pytam. - Każdy, kto przekracza progi szpitala, potrzebuje czegoś więcej niż tylko fizycznej kuraacji. Mówię tu nie tylko o pacjentach, ale także o ich rodzinach, przyjaciółach i tak, nawet o lekarzach i pielęgniarkach. - Wyraża to wszystko zwięźle, jasno, szybko i bez wahania. - Moja praca polega na zajęciu się ich potrzebami duchowymi, jakiegokolwiek by one były. Jak pan się słusznie domyśla, ostatnimi czasy bywam przepracowany.

Nadal uśmiecha się pewnie, lecz w słowie „przepracowany” wychwytyuję znajome echa, zauważam je też w jego wyrazistym spojrzeniu: wyczerpanie, długie noce bez chwili wytchnienia, gdy niesie ukojenie skonsternowanym, przerażonym i chorym.

Kątem oka dostrzegam przebłyski przerwane snu, jakby piękna Alison Koechner siedziała obok mnie, spoglądając za okno na przyprószone śniegiem krzewy i drzewa.

- Ale... - Littlejohn chrząka nagle, zerkając znacząco na mój błękitny brulion i długopis, które trzymam przez cały czas na kolanach. - Przyszedł pan, by porozmawiać o Peterze.

- Zgadza się, proszę pana.

Zanim zdążę zadać konkretne pytanie, Littlejohn zaczyna mówić tym samym tonem co przedtem, szybko i pewnie. Opowiada mi o tym, jak jego żona i jej brat dorastali tutaj, w zachodniej części Concord, opodal miejsca, w którym teraz siedzimy.

Ich matka zmarła dwanaście lat temu na raka, a ojciec przebywa obecnie - z powodu problemów ze zdrowiem - w domu spokojnej starości Pleasant View. Do tego doszły ostatnio pierwsze stadia demencji, co jest smutne, bardzo smutne, ale widocznie taki był boski plan względem niego.

Peter i Sophie, wyjaśnia, nigdy nie byli sobie specjalnie bliscy, nawet w dzieciństwie. Ona była typową chłopczycą, ekstrawertyczką, on zamkniętym w sobie nerwusem. Odkąd oboje podjęli pracę, a Sophie założyła rodzinę, spotykali się tylko z rzadka.

- Gdy to wszystko się zaczęło, próbowaliśmy z nim odnowić kontakt, co chyba zrozumiałe, ale bez specjalnych sukcesów. Chyba znalazł się na zakręcie.

Spoglądam na niego, wstrzymując wyprostowanym palcem potok kolejnych słów.

- Co to znaczy: „na zakręcie”?

Nabiera powietrza do płuc, jakby się zastanawiał, czy powinien kontynuować tę myśl, a ja znów pochylam się nad brulionem, trzymając długopis w pogotowiu.

- Cóż, proszę posłuchać. Muszę panu wyznać, że był ostatnimi czasy niezwykle poruszony.

Przechylam głowę.

- Stłamszony czy poruszony?

- A co powiedziałem?

- Że był poruszony.

- Chciałem powiedzieć „stłamszony” - stwierdza Littlejohn. - Wybaczy mi pan na sekundkę?

Wstaje, zanim zdążę otworzyć usta, i przechodzi na drugi kraniec pokoju, pozwalając mi zajrzeć do jasnej, zadbanej kuchni: dostrzegam rząd wiszących garnków, lśniącą lodówkę ozdobioną magnesami chyba wszystkich liter alfabetu, jakimiś dokumentami i dziecięcymi rysunkami.

Littlejohn zatrzymuje się u stóp schodów, podnosi granatowy plecak i parę dziecięcych łyżew hokejowych, które jego syn przewiesił przez balustradę.

- Szorujemy już ząbki, Kyle?! - woła. - Mamy dziewięć minut spóźnienia!

Odpowiada mu piskliwe: „Okay, tato”, po czym rozlega się tupot małych stóp, moment później z góry dobiega najpierw chłupot wody z odkręcanego kranu, a potem uciszające go trzaśnięcie drzwi. Fotografia z komody Zella, uśmiechający się nieśmiało chłopak. Szkoły w Concord pozostały otwarte, z tego, co wiem. Chyba pisali o tym w „Monitorze”. Oddany personel. Nauka dla nauki. A może raczej sztuka dla sztuki? Nawet na zdjęciach w gazecie było widać, że klasy są w połowie puste. Może nawet w trzech czwartych.

Littlejohn siada ponownie w fotelu, przeczesuje palcami włosy. Łyżwy trzyma na kolanach.

- Dzieciaki powinny się bawić. Kyle ma dziesięć lat, a jeździ już jak Messier, poważnie. Kiedyś zagra w NHL i zarobię na nim miliony. - Uśmiecha się pod nosem. - W równoległym wszechświecie. Na czym stanęliśmy?

- Opisywał mi pan stan psychiczny szwagra.

- Zgadza się. Urządziliśmy latem niewielką imprezę. Zrobiłem grilla, wie pan, hot dogi, piwko. Wszystko co trzeba. Peter nigdy nie był specjalnie towarzyski, ale tamtego dnia zrozumiałem, że cierpi na depresję. Był tam, ale zarazem go nie było, wie pan, o czym mówię. - Littlejohn nabiera głębiej tchu, rozgląda się bojaźliwie po pokoju, jakby się spodziewał, że podsłuchuje nas duch Petera Zella. - Prawdę powiedziawszy, po tamtym dniu woleliśmy, aby nie kręcił się przy Kyle’u. Sam kryzys odbija się mocno na chłopcu... - Głos mu się łamie, musi odchrząknąć, by kontynuować. - Przepraszam.

Potakuję, nie przestając pisać, mój umysł pracuje na najwyższych obrotach.

Co my tu mamy? Mamy faceta, który w pracy stwarza pozory niewzruszonego nadciągającą zagładą, cichego, chodzącego ze zwieszoną głową, nie reagującego na zagrożenie poza jednym wyjątkiem, gdy wybucha w Halloween. Potem dowiaduję się, że gość chomikuje wszystkie informacje o asteroidzie, jakie można znaleźć, że prywatnie ma obsesję na punkcie tego, czego publicznie niby nie zauważa.

W dodatku, jeśli wierzyć jego szwagrowi, poza godzinami pracy wydawał się nie tylko poruszony, ale wręcz przybity. Jawił się jako człowiek, który mógłby się targnąć na własne życie.

Och, Peter, myślę. Co się za tym wszystkim kryje, przyjacielu?

- Czy to jego przygnębienie, ta depresja, nie ustąpiło ostatnimi czasy?

- O nie. Niestety. Wręcz przeciwnie. Pogorszyło mu się, i to bardzo, mniej więcej w styczniu. Kiedy doszło do ostatecznego potwierdzenia.

Ostateczne potwierdzenie. Czyli wywiad Tolkina. Wtorek, trzeci stycznia. Nadzwyczajne wydanie „Raportu specjalnego” CBS zgromadziło na całym świecie ponad miliard sześćset milionów widzów. Czekam chwilę w milczeniu, wsłuchując się w energiczny tupot biegającego nad naszymi głowami Kyle’a. Moment później podejmuję decyzję; a co mi tam, wyciągam z kieszeni na piersi złożoną kartkę i podaję ją Littlejohnowi.

- Co może mi pan o tym powiedzieć?

Patrzę, jak czyta. „Droga Sophie”.

- Skąd pan to ma?

- Czy rozpoznaje pan pismo Petera Zella?

- Jasne. To znaczy chyba tak. Jak już wspomniałem... - płacze się.

- Nie znał go pan aż tak dobrze.

- Zgadza się.

- Zanim zginął, zamierzał napisać o czymś do pańskiej żony, ale najwyraźniej zmienił zdanie. Wie pan, o co mogło mu chodzić?

- Może to coś w rodzaju listu pożegnalnego? Nieukończonego, rzecz jasna. - Podnosi wzrok, spogląda mi w oczy. - No bo co innego?

- Nie wiem - odpowiadam, wstając i chowając brulion. - Dziękuję za poświęcony mi czas. Mam prośbę: gdyby mógł pan uprzedzić żonę, że zadzwonię jeszcze, by umówić się z nią na następne spotkanie.

Littlejohn także wstaje, strosząc brwi.

- Musi pan z nią rozmawiać?

- Tak.

- Rozumiem. - Kiwa głową, wzdychając. - To dla niej niełatwe. Mówię o tym wszystkim. Ale oczywiście uprzedzę ją.

Wsiadam do chevroleta, lecz nigdzie nie jadę, na to jeszcze za wcześnie. Czekam przed domem około minuty, do chwili, aż Littlejohn wyprowadzi Kyle'a na zaśnieżony trawnik wyglądający tak, jakby ktoś ozdobił go waniliową polewą. Niezdarne-go dziesięciolatka w za dużych butach, z łokciami sterczącymi z podkasanych rękawów wiatrówki.

Pamiętam, że gdy patrzyłem na jego zdjęcie w domu Zella, wydał mi się niespecjalnie ładnym dzieckiem. Teraz jednak muszę zrewidować ten pogląd, ponieważ widzę go oczyma ojca; oto książątka tańczące o pierwszym brzasku na dziewiczym śniegu.

* * *

Odjeżdżając, rozmyślam o wywiadzie Tolkina, wyobrażam sobie reakcję Petera tamtego wieczora.

Jest trzeci styczeń, wtorek, Zell wrócił z pracy, usiadł w sterylnej szarym salonie i gapi się na ekran telewizora.

Drugiego stycznia asteroida 2011GV₁, znana także jako Maja, wynurzyła się w końcu zza Słońca i znów dało się ją obserwować z Ziemi. Znalazła się wreszcie na tyle blisko i była tak jasna, że naukowcy mogli się jej dobrze przyjrzeć i poznać całą prawdę. Napływały dane z kolejnych obserwacji, zbierano je i przetwarzano w jednym ośrodku, w Laboratorium Napędu Odrzutowego NASA mieszczącym się w kalifornijskiej Pasadenie. Szanse, od września określane jako pół na pół, miały się lada moment okazać stuprocentowe lub zerowe.

Zatem Peter Zell siedzi na sofie w swoim salonie, mając przed sobą najnowsze artykuły na temat asteroidy, czekając, aż wszystkie te naukowe dyskusje, wszystkie modlitwy zakończą się jednoznacznym wynikiem – tak czy nie.

CBS zdobyło prawa do wyłącznej transmisji na cały świat. Może i zbliżał się koniec świata, ale gdyby jednak nie nastąpił, stacja dzięki temu zabiegowi czerpałaby profity jeszcze przez wiele dekad. Najpierw pokazano długi wstęp, koncentrując się na szefie zespołu badaczy, Leonardzie Tolkinie, człowieku, który nadzorował całe to rachowanie. Oznajmię ludziom dobrą nowinę, obiecywał trzy tygodnie wcześniej Davidowi Lettermanowi, jak zwykle z krzywym uśmiechem na twarzy. Błady okularnik w białym kitlu, najważniejszy rządowy astronom.

Na ekranach w dolnym lewym rogu widzieliśmy odliczający czas timer, w tle widać było ujęcia Tolkina przechadzającego się korytarzami instytutu, zapisującego coś kredą na tablicach, pochylającego się wraz z podwładnymi nad monitorami komputerów.

Jest też samotny, niski, brzuchaty Zell siedzący w swoim salonie, oglądający to wszystko w kompletnej ciszy, otoczony artykułami, z okularami na nosie i dłońmi spoczywającymi na udach.

Program idzie na żywo, prowadzi go Scott Pelley, poważny facet o kwadratowej szczęce, siwych włosach i zatroskanym te-

lewizyjnym obliczu. Pelley obserwuje w imieniu całego świata, jak Tolkin wychodzi z decydującego spotkania, niosąc naręcze kartonowych teczek, poprawia okulary w rogowej oprawie i zaczyna łkać.

Teraz, jadąc powoli w kierunku Somerset Diner, próbuję sobie uzmysłwić, co mógł czuć ktoś inny, próbuję pojąć, czego doświadczał w tym właśnie momencie Peter Zell. Pelley pochyliła się i zadaje w imieniu całego świata absurdalne pytanie:

- Proszę powiedzieć, doktorze, jakie mamy szanse?

Mało brakuje, a roztrzęsiony Leonard Tolkin wybuchnąłby śmiechem.

- Szanse? Nie mamy żadnych szans.

Potem zaczyna mówić, bełkotać właściwie, o tym, jak mu jest przykro w imieniu całej społeczności astronomów, że czegoś takiego nie sposób było przewidzieć, że jego ludzie przestudiowali każdy scenariusz - niewielki obiekt, mało czasu, wielki obiekt, dużo czasu - ale czegoś takiego nikt z nich sobie nawet nie wyobrażał. Oto mamy obiekt z niemal idealnym peryhelium, o tak nadmiernie wydłużonej eliptycznej orbicie, do tego tak oszałamiająco ogromny. Szanse, że coś takiego istnieje, są praktycznie zerowe. Scott Pelley gapi się na niego z otwartą gębą, a ludzie na całym świecie rozpaczają albo wpadają w histerię.

Skończyły się niejasności, skończyły się wątpliwości. Odtąd była to już tylko kwestia czasu. Ryzyko zderzenia z Ziemią zostało wyliczone na sto procent. Do katastrofy dojdzie trzeciego października. Ludzkość nie ma żadnych szans.

Wiele osób pozostało przed telewizorami nawet po zakończeniu programu, by słuchać ekspertów, profesorów astronomii i polityków, którzy jękając się i łkając, zaprzeczali sobie wzajemnie na każdym kanale kablówki. Ludzie czekali na prezydenta i obiecane orędzie do narodu, które usłyszeli dopiero następnego dnia w południe. Wiele osób pognało do telefonów,

by skontaktować się z najbliższymi, choć linie były przeciążone i to się nie zmieniło przez cały następny tydzień. Byli też tacy, co wyszli na ulice, nie zważając na siarczyste styczniowe mrozy, by ubolewać razem z sąsiadami i przypadkowymi przechodniami bądź popełniać rozmaite wykroczenia i akty wandalizmu – trend ten utrzymał się, przynajmniej w okolicach Concord, i doprowadził do fali zamieszek w Święto Prezydentów.

Ja osobiście wyłączyłem telewizor i poszedłem do pracy. Byłem detektywem dopiero od czterech tygodni, pracowałem właśnie nad sprawą pewnego podpalacza, a poza tym żywiłem poważne – i jak się okazało, uzasadnione – podejrzenia, że następny dzień na komendzie okaże się istnym piekłem.

Pytanie jednak: jak postąpił Peter Zell? Co zrobił, gdy wywiad dobiegł końca? Do kogo zadzwonił?

Moje ustalenia pozwalają stwierdzić, że Zell mimo ukrywania się za maską obojętności od samego początku silnie przeżywał możliwość nieodległej zagłady Ziemi. Nietrudno więc odgadnąć, że gdy otrzymał potwierdzenie tego faktu pamiętnej nocy trzeciego stycznia w trakcie audycji telewizyjnej, dotychczasowe przygnębienie przeistoczyło się w najczystsza depresję. Uginał kark pod jej brzemieniem przez kolejne jedenaście tygodni, by dwie noce temu powiesić się na pasku.

Dlaczego więc jeżdżę po Concord, zastanawiając się, kto go zabił?

Trafiam na parking przed Somerset Diner, knajpką, która przycupnęła u zbiegu ulic Clinton, Południowej i Downing. Przyglądam się śniegowi naruszonemu stopami przechodniów i kołami rowerów. Porównuję tę szaroburą breję z nieskazitelną bielą trawnika przed domem Littlejohnów. Jeśli Sophie naprawdę została wezwana tego ranka do porodu, musiała wystrzelić się z katapulty albo teleportować z domu.

* * *

Ściany knajpki, zaraz przy wejściu, są udekorowane zdjęciami kandydatów na prezydenta wymieniających uściski z Bobem Galickim, byłym właścicielem tego lokalu, niestety już nieżyjącym. Jest na nich ziemisty Dick Nixon, jest sztywny i mocno nieprzekonujący John Kerry, którego wysunięta ręka przypomina sztachtetę wyłamana z ogrodzenia. Jest John McCain szczerzący wszystkie zęby niczym trupia czaszka. Do tego niesamowicie młody, niesamowicie przystojny i skazany na śmierć John F. Kennedy.

Z głośników w kuchni dobiega muzyka Boba Dylana, chyba jakiś kawałek ze *Street-Legal*, co znaczy, że przy garach urzęduje dzisiaj Maurice. To dobrze wróży mojemu lunchowi.

- Siadaj, gdzie chcesz, kochanieńki - mówi Ruth-Ann, przebiegając obok mnie z dzbankiem kawy.

Jej ręce są strasznie wychudłe, ale wciąż silne, palce trzymają pewnie gruby czarny uchwyt dzbanka. Gdy przychodziłem tutaj w czasach liceum, żartowaliśmy ze starożytności Ruth-Ann, zastanawiając się, czy została zatrudniona do tej roboty czy też raczej obudowano ją tą restauracją. To było całe dziesięć lat temu.

Odłożywszy na bok jadłospis, popijam kawę i ukradkiem przyglądam się twarzom pozostałych klientów, szacując relatywny poziom melancholii w ich spojrzeniach, na ich pogrążonych w szoku obliczach. Para staruszków szepcze coś do siebie zgarbiona nad czarkami zupy. Dziewczyna, co najwyżej dwiętnastoletnia, mocno roztrzęsiona, telepie bladym dzieckiem siedzącym jej na kolanach. Tłusty biznesmen mierzy gniewnym spojrzeniem kartę dań, mamlając cygaro.

Właściwie wszyscy palą, pod każdą lampą widać siną zawieszoną dymu. Znowu jest tak jak kiedyś, w czasach sprzed zakazu palenia w miejscach publicznych, co akurat gorąco popierałem jako jedyny niepalący z całej klasy. Przepis ten nie został wprowadzie uchylony, lecz nikt go już nie przestrzega, a nam,

policjantom, nakazano odwracać wzrok, gdy zauważymy podobne naruszenie prawa.

Obracam w palcach sztucę, popijam kawę i rozmyślam.

Tak, panie Dotseth, to prawda, że ostatnimi czasy wiele osób cierpi na depresję i że niemało z nich odebrało sobie życie. Jednakże ja, jako odpowiedzialny funkcjonariusz policji, nie mogę uznać tych okoliczności za dowód i zakwalifikować Petera Zella jako 10-54S. Gdyby sam fakt rychłej zagłady Ziemi zmuszał ludzi do popełniania samobójstw, ta knajpa świeciłaby pustkami. Concord byłoby wymarłym miastem. Maja nie miałyby kogo zabijać, ponieważ wszyscy bylibyśmy już martwi.

- Omlet z trzech jaj?

- I tost z pełnoziarnistego pieczywa - mówię, a potem dodaję:

- Ruth-Ann, mam do ciebie pytanie.

- A ja mam dla ciebie odpowiedź. - Nie zapisuje mojego zamówienia, ale przecież zamawiam to samo od czasu, gdy skończyłem jedenaście lat. - Ty zaczynasz.

- Co myślisz na temat tego wszystkiego? To znaczy tych wszystkich samobójstw? Czy kiedykolwiek...

Ruth-Ann prycha z odrazą.

- Żartujesz? Jestem katoliczką, kochanieńki. Nie. Absolutnie nie.

Tak, ja raczej też nie. Podaje mi omlet, a ja jem go powoli, gapiąc się gdzieś w przestrzeń. Wiele bym dał, żeby ta knajpa nie była aż tak zadymiona.

5.

Rozbudowę concordzkiego szpitala ogłoszono półtora roku temu, z fanfarami i wielkim hukiem. Publiczno-prywatne konsorcjum miało postawić nowe skrzydło mieszczące oddział opieki długoterminowej. Nie mówiąc o dodaniu wielu usprawnień na pediatrii, ginekologii i intensywnej terapii. Prace ziemne rozpoczęto w lutym, zdawało się, że wszystko nabiera tempa, lecz pod koniec wiosny źródła finansowania wyschły, impet wygasł i już na przełomie lipca i sierpnia projekt wstrzymano, pozostawiając labirynt niewykończonych korytarzy i otaczające je wieże obelężnicze rusztowań. Prowizoryczne zmiany w istniejącej już części szpitala stały się permanentne, błądźmy zatem w tym bajzlu, udzielając sobie nawzajem błędnych wskazówek.

- Kostnica? - mamrocze cicho siwowłosa wolontariuszka w krzykliwym czerwonym berecie, posiłkując się podręcznym planem. - Zobaczmy... Kostnica, kostnica, kostnica. Aha, tutaj. - W chwili gdy wskazuje palcem na gęsto pokryty znakami zapytania i wykrzyknikami plan, mija nas para lekarzy. - Dojedzie pan tam windą B, a winda B jest... a niech mnie.

Ręce zaczynają mnie świerzbić. Jeśli umawiasz się z doktor Fenton, wolisz się nie spóźnić.

- Aha, już wiem. Tamtędy.

- Dziękuję pani.

Winda B, jeśli wierzyć napisom zrobionym czarnym flamastrem na kartce zawieszanej nad przyciskami, może mnie zawieźć na górę, na onkologię, chirurgię i do apteki, albo na dół, gdzie mieszczą się pomieszczenia sprzątaczek, kaplica i kostnica. Wypadam z kabiny, zerkając na zegarek, i śpieszę kory-

tarzem, mijając biura, podręczny magazynek oraz czarne drzwi oznaczone białym krzyżem. Przez cały czas tłucze mi się w głowie: onkologia, onkologia, onkologia. Już wiem, co byłoby najgorsze w tej sytuacji! Zachorować na raka.

Moment później popycham grube drzwi kostnicy i widzę Petera Zella w całej okazałości, jego ciało spoczywa na stole pośrodku pomieszczenia oświetlone teatralnie baterią stuwatowych lamp autopsyjnych. Obok zwłok stoi, najwyraźniej czekając na mnie, przełożona wszystkich patologów stanu New Hampshire. Wyciągam rękę na powitanie.

- Dzień dobry, pani doktor. To znaczy dobry wieczór. Witam.

- Proszę przybliżyć mi sprawę denata.

- Tak. Oczywiście - mówię, opuszczając zignorowaną dłoń, a potem sterczę jak ten kołek, nie mogąc wydusić z siebie słowa, ponieważ naprzeciw mnie stoi sama doktor Fenton, skąpana w ostrym białym świetle lamp kostnicy, z dłonią opartą o srebrzystą poręcz wózka, w moich oczach wygląda jak kapitan na mostku swojego okrętu. Spogląda na mnie zza słynnych, idealnie okrągłych okularów z miną, o której bez przerwy słyszę od innych detektywów: sowa, wyczekująca, zasadnicza.

- No więc?

- Tak - powtarzam. - Okay.

Zbieram się w sobie i przekazuję doktor Fenton wszystko to, co wiem.

Opowiadam jej o miejscu zbrodni, o kosztownym pasku, o braku telefonu komórkowego ofiary, jak również o nieznalezieniu listu pożegnalnego. Mówię to wszystko, wodząc wzrokiem po przedmiotach ułożonych na jej wózku. Oto czym posługują się patolodzy: piła do kości, dłuto, nożyce, rząd fiolek na próbki najważniejszych płynów ustrojowych. Z tuzin skalpeli różnego kształtu i wielkości, a wszystko to ułożone równiutko na białym płótnie.

Doktor Fenton słucha mojej przemowy, milcząc i stojąc w bezruchu, a gdy zamykam w końcu usta, nie przestaje się na mnie gapić z wydętymi wargami i ściągniętymi brwiami.

- Rozumiem - rzuca w końcu. - Proszę mi jeszcze tylko powiedzieć, co my tu, u licha, robimy?

- Proszę?

Jej przycięte krótko włosy mają barwę stali, linia grzywki biegnie równo przez czoło.

- Wydawało mi się, że mamy do czynienia z przypadkiem zgonu w niewyjaśnionych okolicznościach - mówi, mrużąc oczy. - W tym, co do tej pory usłyszałam, nie ma niczego budzącego podejrzenia.

- No tak, to znaczy nie - zacynam się. - Nie mam twardych dowodów jako takich.

- Nie ma pan twardych dowodów jako takich - powtarza takim tonem, że nagle dociera do mnie, jak niskie są stropy w tych podziemiach, że muszę pochylać głowę, by nie uderzyć ciemieniem w obudowę lampy, podczas gdy doktor Fenton mierząca metr sześćdziesiąt może stać prosto, jakby połknęła kij, i mierzyć mnie ostrym spojrzeniem zza szkieł okularów.

- Artykuł sześćset trzydziesty kodeksu kryminalnego New Hampshire, po styczniowej rewizji Sądu Najwyższego, stanowi wyraźnie - deklamuje doktor Fenton, a ja przytakuję jej gorliwie, by dać jej znać, że wiem o tym wszystkim, ponieważ pilnie studiuje wszystkie nowe okólniki, zarówno stanowe, jak i lokalne, na darmo jednak, nic bowiem nie jest w stanie powstrzymać patolożki - że moje biuro nie będzie przeprowadzać autopsji w przypadkach, gdy nie ma niezbitych dowodów na to, że ofiara nie popełniła samobójstwa.

- Wiem - odpowiadam pełniejszym zdaniem, porzucając mamrotanie. - W mojej ocenie mamy do czynienia z możliwością popełnienia zbrodni.

- Znalazł pan ślady walki?

- Nie.
- Coś, co świadczyłoby, że ten mężczyzna został zmuszony do samobójstwa?
- Nie.
- Brakujące cenne przedmioty?
- Cóż, denat nie miał przy sobie telefonu komórkowego, o czym chyba wspomniałem.
- Proszę mi przypomnieć, jak pan się nazywa.
- To nasze pierwsze spotkanie. Jestem detektyw Henry Palace. Nowy.
- Detektywie - zwraca się do mnie doktor Fenton, naciągając rękawiczki serią gwałtownych ruchów - moja córka ma w tym sezonie tylko tuzin recitali fortepianowych, a ja w tym momencie powinnam być na jednym z nich. Wie pan, ile razy zagra w przyszłym sezonie?
- Nie wiem, co powiedzieć. Naprawdę nie mam pojęcia. Stoję więc tam kolejną minutę, ja, wyjątkowo wysoki dureń wetknięty w sam środek jasno oświetlonej sali pełnej zwłok.
- Dobra - rzuca Alice Fenton ze złowrogim uśmiechem i odwraca się do wózka ze sprzętem. - Oby okazało się, że to jednak cholerne morderstwo.
- Chwyta za skalpel, a ja wbijam wzrok w posadzkę, ponieważ wydaje mi się, że tak właśnie powinienem postąpić, stać cichutko, dopóki nie zostaną wywołani - ale naprawdę trudno jest zachować spokój, gdy ktoś obok zaczyna metodyczne parcelowanie ciała, więc podnoszę nieco głowę i obserwuję jej poczynania. A jest na co patrzeć - poraża mnie zimne piękno sekcji zwłok. Doktor Fenton jest w swoim żywiole, oto mistrzyni uprawiająca z pedantyczną skrupulatnością swą sztukę.
- Wytrwałość w obecnych warunkach, wytrwałość mimo wszystko, czerpanie satysfakcji z dobrze wykonanej pracy. Doktor Fenton przecina ostrożnie czarny pasek i zdejmuje go

z szyi Zella. Mierzy dokładnie jego szerokość i całkowitą długość. Mosiężnym przyrządem robi pomiar opuchlizny pod okiem i śladu pozostawionego przez sprzączkę paska, wrzynając się w ciało pod szczęką, żółtawego i suchego, przypominającego parów łączący oboje uszu gniewnie ząbkowaną literą V. Od czasu do czasu przerywa pracę, by obfotografować wszystko: pasek na szyi, sam pasek i samą szyję.

Potem zabiera się do rozcinania ubrania, obmywa blade ciało agenta ubezpieczeniowego wilgotną szmatką, zręcznie przesuwając okrytymi gumą palcami po tułowi i ramionach.

- Czego pani szuka? - pytam, ale doktor Fenton mnie ignoruje, milknę więc.

Gdy wbija skalpel w pierś denata, podchodzę krok bliżej, stoję tuż obok niej pod oślepiająco jasną lampą prosektorium, obserwując szeroko rozwartymi oczyma, jak robi nacięcie w kształcie litery Y, odgina skórę i znajdującą się pod spodem warstwę mięśni. Gdy nakłuwa tętnicę tuż przy sercu, by pobrać krew denata do trzech kolejnych fiolek, pochylam się mocniej nad ciałem, choć wiem, że to chyba przesada. Staram się nie oddychać, by nie zakłócić wykonywanego krok po kroku rytuału, ważenia organów i zapisywania wyników tych pomiarów, wyjmowania mózgu z czaszki i obracania go w dłoniach. Czekam na to, by w końcu ściągnęła brwi, by sapnęła, mruknęła „hm” albo spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

By znalazła ślad wskazujący na to, że Zell nie targnął się na własne życie, lecz został zamordowany,

Tymczasem doktor Fenton odkłada skalpel i oświadcza beznamiętnym tonem:

- Samobójstwo.

Gapię się na nią.

- Jest pani pewna?

Nie odpowiada. Podchodzi szybkim krokiem do wózka, otwiera pojemnik kryjący rolkę plastikowych worków i odrywa je-

den z nich.

- Proszę poczekać - rzucam. - Ale co zrobimy z tym?

- Z czym?

Czuję, jak narasta we mnie poczucie desperacji, gorąco występuje mi na policzki, ucisk w krtani wpływa na ton głosu, który przez to brzmi teraz jak dziecięcy.

- Z tym - wskazuję. - Czy to nie ślad zranienia? Tutaj, nad kostką?

- Też to zauważyłam - oświadcza ze spokojem doktor Fenton.

- Skąd się to wzięło?

- Tego już się nie dowiemy. - Uwija się dalej, nie patrząc przy tym na mnie, jej odpowiedź ocieka czystym sarkazmem. - Ale możemy spokojnie przyjąć, że nie umarł przez to otarcie na łydce.

- I nie ma innych pewników? Niczego, co pozwoliłoby ustalić przyczynę zgonu? - Zdaję sobie sprawę, jak wielkim nietaktem jest sprzeciwianie się opinii Alice Fenton, ale to nie może się tak skończyć. Wysiłam pamięć, przywołując w myślach paragrafy z podręczników, które mogą mieć w tym momencie zastosowanie. - A co z krwią? Nie wykonamy testów na obecność toksyn?

- Zleciłabym takie badania, gdybym miała ku temu jakiegokolwiek podstawy. Ślady po ukłuciu igły, charakterystyczną atrofię mięśni...

- Nie moglibyśmy ich zrobić dla świętego spokoju? - nie ustępuję.

Doktor Fenton śmieje się oschle, wstrząsając foliowym workiem, by go otworzyć.

- Czy wie pan, jak wygląda nasze laboratorium? To przy Hazen Drive?

- Nigdy tam nie byłem.

- Cóż, to jedyne takie laboratorium w całym stanie, a tak się niefortunnie składa, że w chwili obecnej kieruje nim ktoś nowy,

będący... nie zawaham się tego powiedzieć... skończonym idiotą. Asystent asystenta został z dnia na dzień naczelnym toksykologiem, ponieważ prawdziwa naczelna toksykolożka poleciała w listopadzie do Prowansji, by zgłębiać tajniki malowania aktów.

- Och.

- Tak. Och. - Doktor Fenton krzywi się z czytelną odrazą. - Najwyraźniej marzyła o tym od bardzo dawna. No i mamy bajzel. Wielki bajzel.

- Och - powtarzam, spoglądając na doczesne szczątki Petera Zella i dziurę ziejącą w jego piersi. Patrzę na niego, na ten otwór, i myślę, że to cholernie smutne, ponieważ Peter nie żyje bez względu na to, czy odebrał sobie życie, czy został zabity. Dociera do mnie prozaiczna prawda, że był kimś, człowiekiem, osobą, ale odszedł i nigdy już nie powróci.

Gdy podnoszę wzrok, doktor Fenton znów stoi obok mnie, a kiedy się odzywa, jej głos brzmi nieco inaczej. Wyciągając rękę, wskazuje szyję Zella.

- Proszę spojrzeć - rzuca. - Co pan widzi?

- Nic - odpowiadam nieco skołowany. Skóra została wywinięta, odsłoniła więc tkanki i połyskujące żółtawo kości. - Nic nie widzę.

- Właśnie. Nic. Tymczasem gdyby ktoś zakradł się za plecy tego człowieka ze sznurem albo udusił go gołymi rękami czy nawet za pomocą tego niesamowicie drogiego paska, na którego punkcie dostał pan obsesji, zobaczyłby pan mnóstwo uszkodzeń. Mielibyśmy otarcia, mielibyśmy krwawe wybroczyny.

- Okay - potakuję.

Doktor Fenton ponownie odwraca się do wózka.

- Ten człowiek zmarł na skutek uduszenia - stwierdza. - Pochylił się mocno, celowo, zaciskając na szyi pasek i odcinając sobie dopływ tlenu. To była prawdziwa przyczyna zgonu.

Zamyka worek, w którym spoczywają zwłoki mojego agenta ubezpieczeniowego, a potem wsuwa je do odpowiedniej komory w ścianie chłodni. Przyglądam się temu wszystkiemu w milczeniu, żałując, bez sensu zresztą, że nie mam nic więcej do powiedzenia. Nie chcę, by nasze spotkanie na tym się zakończyło.

- A co z panią, pani doktor?

- Słucham? - Zatrzymuje się w drzwiach, zerka przez ramię.

- Dlaczego pani nie rzuciła tego wszystkiego w diabły i nie robi czegoś, co by sprawiało pani przyjemność? - dociekam.

Doktor Fenton przechyla głowę, spogląda na mnie w taki sposób, jakby nie do końca zrozumiała pytanie.

- Ależ robię to, co mi sprawia przyjemność.

- No tak.

Ciężkie szare drzwi zamykają się za nią, a ja przecieram oczy kłykciami, zastanawiając się, co dalej.

Stoję tam jeszcze przez chwilę, sam jak palec, obok wózka doktor Fenton i ciał pozamykanych w chłodniach. Potem sięgam po jedną z fiolek napełnionych przed momentem krwią Zella, chowam ją do kieszeni blezera i także wychodzę.

* * *

Znajduję drogę do wyjścia ze szpitala, klucząc po niewykończonych korytarzach, po czym - wyszedłszy na zewnątrz po tym długim i męczącym dniu, sfrustrowany, wyczerpany i skołowany, marzący tylko o jednym: by wymyślić, co mam teraz począć z tym fantem - trafiam na własną siostrę czekającą przy chevroletcie.

Nico Palace, w czapce narciarskiej i grubym płaszczu, siedzi ze skrzyżowanymi nogami na masce wozu, strzepując popiół z papierosa prosto na przednią szybę. Robi to celowo, ponieważ wie, jak bardzo się wkurzę, gdy zobaczę wgniecenie, które niewątpliwie powstanie pod jej ciężarem. Brnę ku niej

przez upstrzoną śniegiem pustkę szpitalnego parkingu, a Nico pozdrawia mnie uniesieniem ręki, jakby była indiańską squaw.

- Nie wygłupiałbyś się, Hank - rzuca, zanim zdążę otworzyć usta. - Zostawiłam ci chyba z siedemnaście wiadomości.

- Skąd wiedziałaś, gdzie mnie zastać?

- Dlaczego odłożyłaś słuchawkę, gdy zadzwoniłam z samego rana?

- Skąd wiedziałaś, gdzie mnie zastać?

Tak właśnie rozmawiamy. Naciągam rękaw na dłoń i czyszczę szybę wozu z popiołu.

- Zadzwoniłam na komendę - wyjaśnia Nico. - McGully powiedział mi, gdzie cię znajdę.

- Nie powinien był tego robić - warczę. - Jestem przecież w pracy.

- A ja potrzebuję twojej pomocy. Poważnie.

- Cóż, tak się składa, że prowadzę poważną sprawę. Mogłabyś zejść z maski? Proszę.

Zamiast zrobić, co mówię, rozsiada się wygodniej, opierając się plecami o szybę, jakby to był cholerny leżak. Ma na sobie gruby wojskowy płaszcz odziedziczony po dziadku. Już widzę te ślady pozostawione przez mosiężne guziki na lakierze służbowego chevroleta.

Żałuję, że McGully powiedział jej, gdzie mnie znaleźć.

- Nie chcę ci się narzucać, ale naprawdę wariuję z niepokoju. A jaki byłby sens mieć brata gliniarza, gdyby nie można go poprosić o pomoc?

- Hm - bąkam, zerkając na zegarek.

Znów zaczyna sypać śnieg, rzadki na szczęście, białe płatki wolno opadają ku ziemi.

- Derek nie wrócił do domu minionej nocy. Wiem, co sobie myślisz, znowu się pokłócili, więc po prostu wybył. Ale w tym problem, Hen: nie było żadnej awantury. Nie posprzeczaaliśmy się nawet. Zjedliśmy kolację. On stwierdził, że musi wyjść.

Wspomniał coś o spacerze. Dlaczego nie, odparłam. Pozmywałam naczynia, wypaliłam blanta i położyłam się spać.

Krzywię się. Moja siostra chełpi się tym, że może teraz palić trawkę, a ja, jej brat, nie mogę jej nawet za to opieprzyć, chociaż jestem w policji. Jej zdaniem to szczęście w nieszczęściu. Zaciąga się po raz ostatni dymem i zeskakuje na śnieg. Przykucam, podnoszę niedopałek i trzymając go między palcami, pokazuję siostrze.

- Wydawało mi się, że dbasz o środowisko.

- Teraz już nie bardzo - odpowiada.

Znów opada tyłkiem na maskę, opatula się szczelniej kołnierzem płaszczka. Mogłaby być prawdziwą pięknoscią, gdyby tylko o siebie zadbała - uczesała włosy i od czasu do czasu pospała tyle, ile trzeba. Wygląda jak zdjęcie naszej mamy, które ktoś najpierw zmiął w kulkę, a potem próbował rozprostować.

- Dochodzi północ, a jego wciąż nie ma. Dzwonię, ale nie odbiera.

- Pewnie wylądował w barze - podpowiadam.

- Obdzwoniłam wszystkie bary w okolicy.

- Wszystkie?

- Tak, Hen.

Jest ich teraz znacznie więcej niż kiedyś. Rok temu mieliśmy Panucciego, Zielone Martini i nic więcej. Dzisiaj mógłbym wymienić wiele nazw; niektóre z tych przybytków są licencjonowane, inne całkowicie nielegalne, a czasem to tylko zwykłe domowe piwnice, do których ktoś wstawił wannę pełną piwa, kasę i iPoda grającego muzykę na okrągło.

- Może wpadł z wizytą do któregoś kolegi.

- Ich też obdzwoniłam. Wszystkich. Derek zniknął.

- Nie zniknął - zapewniam ją, by nie mówić prawdy, a ta wygląda tak, że Derek puścił ją kantem i zwiął, co zresztą byłoby dla niej najlepszym rozwiązaniem.

Ślub wzięli ósmego stycznia, w pierwszą niedzielę po wywiadzie Tolkina. To właśnie wtedy padł rekord liczby ślubów zawartych jednego dnia, rekord, którego żaden dzień już chyba nie pobije, chyba że będzie to drugi października...

- Pomożesz mi czy nie?

- Już ci mówiłem, że nie mogę. Nie dzisiaj. Prowadzę sprawę.

- Henry... - wzdycha w odpowiedzi. Jej udawana niefrasobliwość nagle gdzieś znika. Nico zeskakuje z maski i dziabie mnie palcem wskazującym w pierś. - Rzuciłam robotę, gdy tylko zrozumiałam, że to gówno dzieje się naprawdę. Po co tracić czas w pracy?

- Pracowałam trzy dni w tygodniu na jarmarku. Ja zajmuję się morderstwami.

- Och, przepraszam. Tylko że wiesz... Mój mąż zaginął.

- Derek nie jest tak naprawdę twoim mężem.

- Henry!

- On wróci, Nico. Wiesz, że tak będzie.

- Serio? Skąd ta pewność? - Tupie nogą z rozbieganym wzrokiem, nie czeka na odpowiedź. - A czym to tak ważnym się zajmujesz, jeśli mogę wiedzieć?

Po krótkiej chwili zastanowienia myślę sobie: „A co mi tam!”, opowiadam jej o Zellu, wyjaśniam, co robiłem w kostnicy, mówię o nowych tropach, próbuję zaimponować jej powagą prowadzonego przez policję dochodzenia.

- Zaraz, zaraz. Wisielec? - rzuca cierpko.

Nico jest bardzo młoda, ma zaledwie dwadzieścia jeden lat. To jeszcze dziecko.

- Możliwe.

- Dopiero co powiedziałaś, że powiesił się w McDonaldzie.

- Powiedziałem, że tak to wygląda.

- I to dlatego jesteś tak zajęty, że nie możesz poświęcić kwadransa na znalezienie mojego męża? Ważniejszy jest jakiś pa-

lant, który odebrał sobie życie w kiblu pieprzonego McDonalda?

- Daj spokój, Nico.

- No co?

Nie cierpię, kiedy używa niecenzuralnych słów. Jestem staromodny. A to w końcu moja siostra.

- Wybacz. Zginął człowiek, a moja praca polega na tym, by zbadać, jak i dlaczego do tego doszło.

- Nie, to ty wybacz. Zaginął człowiek, tak się składa, że mój mąż, którego kocham, wyobraź sobie.

Zaczyna uderzać w piskliwe tony, a ja wiem, że to koniec, klasyczne game over. Gdy się rozbeczy, zrobię, co zechce.

- Uspokój się, Nico, tylko mi tu nie płacz. - Za późno, słyszę jej łkanie, usta ma szeroko otwarte, wierzchem dłoni wypycha łzy spod powiek. - Nie rób tego.

- Ja tylko... przez to wszystko... - Zamaszystym gestem obejmuje niebo. - Nie chcę być sama, Henry. Nie teraz.

Mocniejszy poryw wiatru wznieca tuman śniegu i ciska go prosto w nasze oczy.

- Wiem - odpowiadam. - Wiem.

Moment później podchodzę do niej i przytulam ją czule. Żartowaliśmy w rodzinie, że ona odziedziczyła gen matematyki, a ja otrzymałem za to całą pulę wzrostu. Moja szczeka znajduje się teraz dobre piętnaście centymetrów nad jej głową, tak że Nico łka mi prosto w mostek.

- Już dobrze, młoda, już dobrze.

Wyrywa się z mojego niezdarnego uścisku, wydaje z siebie ostatni szloch i wkłada do ust kolejnego papierosa, osłaniając od wiatru platerowaną zapalniczkę, by wiatr nie zdusił płomienia. Zapalniczka, ten płaszcz i marka papierosów, wszystko to należało kiedyś do dziadka.

- Zatem znajdziesz go dla mnie? - pyta.

- Zrobię, co w mojej mocy, Nico. Okay?

Wyciągam papierosa z kącika jej ust i ciskam go pod samochód.

* * *

- Dobry wieczór. Chciałbym mówić z panią Sophie Littlejohn. Tutaj, na parkingu, mam całkiem mocny sygnał.

- Jest teraz przy pacjentce. Mogę zapytać, kto dzwoni? - sły-
szę.

- Oczywiście. Ale jestem tylko... Żona mojego kolegi jest pa-
cjentką... cholera, jak mówi się na położne?... Doktor Little-
john? Czy tak powinienem...

- Nie, wystarczy samo nazwisko. Pani Littlejohn.

- Świetnie, zatem żona mojego kolegi jest pacjentką... pani
Littlejohn i z tego, co mi wiadomo, dziś rozpoczął się u niej po-
ród.

- Rano?

- Tak. Albo późno w nocy, albo nad ranem. Kolega zostawił mi
wiadomość skoro świt, mógłbym przysiąc, że tak właśnie po-
wiedział. Ale wie pani, jak jest dzisiaj z telefonami, ciągle coś
przerywa... Halo?

- Tak, wciąż jestem. Chyba zaszła jakaś pomyłka, nie wydaje
mi się, aby Sophie odbierała dzisiaj jakieś porody. Z rana, po-
wiada pan?

- Tak.

- Przykro mi. Jak pan się nazywa?

- Nieistotne, to i tak nie było nic ważnego.

* * *

Na komendzie mijam szybkim krokiem trójkę Jeżyków stoją-
cych przy automacie z colą i zaśmiewających się, jak przystało
na dobrych kumpli. Nie rozpoznaję ich, a oni mnie.

Żaden z nich, idę o zakład, nie zacytowałby jednego zdania
z Farleya i Leonarda, nie wspominając już o wyjątkach z ko-

deksu karnego stanu New Hampshire czy Konstytucji Stanów Zjednoczonych.

W wydziale kryminalnym opowiadam detektywowi Culversonowi o wizycie w domu denata, o notatce „Droga Sophie” i o wnioskach doktor Fenton. Słucha mnie cierpliwie, z dłońmi złożonymi w piramidkę, a potem milczy przez dłuższą chwilę.

- Cóż, no wiesz, Henry... - zaczyna ostrożnie, ale to mi wystarczy, nie chcę już słyszeć ciągu dalszego.

- Wiem, jak to wygląda - zapewniam go.

- Posłuchaj mnie, to twoja sprawa. - Culverson odchyła głowę nieco do tyłu. - Jeśli czujesz, że możesz ją rozwiązać, zrób to.

- Taki mam zamiar. Poważnie.

- I dobrze.

Siedzę z nim jeszcze chwilę, po czym wracam do swojego biurka i podnoszę słuchawkę, by rozpocząć poszukiwania tego durnia Dereka Skeve'a. Najpierw dzwonię tam gdzie Nico: do barów i kolegów. Następnie zahaczam o więzienie i jego nową filię, biuro szeryfa hrabstwa Merrimack oraz każdy szpital, jaki znajduje się w naszym okręgu. Nie trafiam jednak na żaden ślad, nikt nie widział osoby pasującej do rysopisu.

Po wyjściu na zewnątrz trafiam na grupkę wiernych okupujących plac. Rozdają ulotki przechodniom, śpiewają o tym, że została nam już tylko modlitwa, że tylko ona może przynieść zbawienie. Kłaniam się im niezobowiązująco i idę dalej.

* * *

Leżę we własnym łóżku, ale nie mogę zasnąć, ponieważ jest noc ze środy na czwartek, a przecież we wtorek z samego rana po raz pierwszy spojrzałem w martwe oczy Petera Zella, co znaczy, że został zabity w nocy z poniedziałku na wtorek, zatem mija właśnie owe czterdzieści osiem godzin, podczas których powinienem znaleźć sprawcę. Cholera, może nawet

już minęło. Tak czy inaczej okienko się zamyka, a ja nadal jestem daleki od zidentyfikowania i schwytania mordercy.

Leżę więc w łóżku i gapię się w sufit, zaciskając rytmicznie dłonie, a potem wstaję i odsuwam zasłony, by wyrzeć za okno, prosto w mglistą czerń nocy, w której migocze tylko garstka gwiazd.

- Wiesz, co możesz zrobić? - szepczę, wskazując palcem w niebo. - Wal się na ryj!

CZĘŚĆ DRUGA

Niepomijalne prawdopodobieństwa

Czwartek, 22 marca

Rektascensja 19 05 26,5

Deklinacja -34 18 33

Elongacja 79,4

Delta 3,146 j.a.

1.

- Obudź się, kochanie. No już.

- Proszę?

Minionego wieczora przed położeniem się spać wypiąłem telefon z gniazdka, ale komórkę zostawiłem włączoną, tylko nastawiłem ją na wibracje, więc dzisiejszy przyjemny sen o Alison Koechner nie został przerwany przeraźliwymi odgłosami dzwonka ani świstem przelatującej za oknami Mai, która podpala całą Ziemię. Nie, tym razem było to delikatne grzechotanie szafki nocnej, które przebiło się do moich sennych marzeń pod postacią mruczenia kota siedzącego mojej dziewczynie na kolanach.

A teraz słyszę gruchanie Victora.

- Otwórz oczka, kochanie. Czas rozewrzeć te zaropiałe ślepska, panie pornowąsie.

Rozwieram więc zaropiałe ślepska. Na zewnątrz jest jeszcze ciemno. Natarczywy szept Victora brzmi naprawdę groteskowo. Ziewam, wyrywając się ze snu, po raz ostatni dostrzegam Alison promieniejącą w kasztanowym saloniku naszego drewnianego domku nad zatoką Casco.

- Tak mi przykro, że cię budzę, Palace. Zaraz, co ja gadam, przecież zwisa mi to luźnym kalafiorem. - Victor kończy to zdanie oblesnym rechotem. Chyba jest na haju. Nie chyba, na pewno, pewnie wypalił blanta, może nawet wziął coś mocniejszego. Orbituje jak sztuczny satelita Ziemi, jak zwykł mawiać mój ojciec. - Nie, na pewno nie jest mi przykro.

Ziewam raz jeszcze, przeciągam się i dopiero na koniec sprawdzam godzinę. Trzecia czterdzieści siedem.

- Nie wiem, jak możesz spać, bo ja osobiście mam z tym ostatnio problemy. Za każdym razem gdy jestem bliski zaśnięcia, myślę sobie: Vic, stary, życie ci się kończy, a tyle jeszcze mógłbyś zaliczyć. - Siedzę już prościej, obmacuję szafkę nocną w poszukiwaniu przełącznika, potem chwytam za błękitny brulion i długopis, myśląc: „On coś dla mnie ma”. Nie dzwoniłby do mnie o tej porze, gdyby niczego nie wyniuchał. - Śledzę to wszystko, nawet będąc w domu, uwierzysz? Mam na ścianie taki wielki plakat, na którym jest wydrukowany każdy dzień, jaki nam został, na nim odhaczam mijający czas.

W tle słyszę szybką serię głośnych łomotów i dźwięki muzyki elektronicznej, cały chór głosów pokrzykujących i śpiewających. Victor baluje w jakimś dawnym magazynie, pewnie przy Sheep Davis Road, na wschód od centrum miasta.

- To coś w rodzaju kalendarza adwentowego, wiesz, stary, o czym mówię? - Przechodzi w klasyczne basso profundo narratora z tanich horrorów. - Adwentowy kalendarz... zagłady.

Rechocze, kaszle, potem dalej się zaśmiewa. To na pewno nie marihuana. Teraz wygląda mi to na ecstazy, choć nie mam pojęcia, skąd Victor wziął tyle kasy, ostatnimi czasy ceny syntetycznych narkotyków poszybowały w górę.

- Masz dla mnie jakieś informacje?

- Ha! - Rehot, śmiech. - To mi się w tobie podoba. Nie owijasz w bawełnę.

- Masz coś dla mnie czy nie?

- No nie mogę normalnie. - Śmieje się, milknie na moment, a ja wyobrażam sobie, jak teraz wygląda, cały rozedrgany, napina mięśnie chudych rąk, szczyrzy się nienaturalnie. W ciszy słyszę wyraźniej muzykę w tle, dudniące basy i piski. - Taaa - rzuca w końcu. - Mam go. Znalazłem tego twojego cholernego pikapa. Właściwie namierzyłem go już wczoraj, ale postanowiłem zaczekać do chwili, gdy będę miał pewność, że cię obudzę. Wiesz dlaczego?

- Dlatego, że mnie nienawidzisz.

- Tak! - drze się i znów wybucha śmiechem. - Nienawidzę cię! Masz coś do pisania, śliczniutki?

Czerwony pikap z amerykańską flagą na drzwiach został przerobiony na olej roślinny przez chorwackiego mechanika nazwiskiem Djemic, faceta, który ma mały warsztat opodal spalonego salonu Nissana na Manchester Street. Nie kojarzę miejsca, o którym mówi Victor, ale nietrudno będzie je znaleźć.

- Dzięki. - Jestem już całkowicie obudzony, zapisuję szybko każdą informację. To jest coś, cholera. Czuję podniecenie i nagły przyływ wdzięczności dla Victora. - Dzięki, naprawdę - rzucam. - To wspaniała wiadomość. Ogromne dzięki. Baw się dalej.

- Zaraz, zaraz. Jeszcze nie skończyłem.

- Nie? - Serce wali mi mocno w piersi. Oczami wyobraźni widzę już kierunek, w jakim poprowadzę dochodzenie, każda kolejna informacja wynika z poprzedniej. - Słucham.

- Chcę tylko powiedzieć... Chcę coś powiedzieć. - Victor już nie wyrzuca z siebie słów z prędkością karabinu maszynowego, już nie rechocze. Ścichł naraz. Wyobrażam go sobie, jak stoi pochylony mocno nad automatem telefonicznym, wymachując groźnie palcem. - Chcę tylko powiedzieć, że odtąd jesteście kwita, stary.

- Okay - rzucam. - Jesteście kwita.

Mówię poważnie. Dał mi to, czego chciałem, a nawet więcej, więc jestem gotów mu odpuścić. Niech sobie tańczy w tym magazynie aż do końca świata.

- Dajesz... - Głos mu się łamie, jakby powstrzymywał łzy, nie ma już twardziela, jest tylko chłopczyk, któremu udało się wymigać od kary. - Dajesz słowo?

- Tak - odpowiadam. - Daję słowo.

- W porządku - rzuca. - Bo ja wiem jeszcze, do kogo należy ten wóz.

* * *

Tak na marginesie, dobrze wiem, o co chodzi z tym snem. Nie jestem przecież idiotą. Co to za detektyw, który nie umie rozgryźć samego siebie?

Sen, który ostatnio miewam, ten o dawnej dziewczynie, jeśli się dobrze zastanowić, nie dotyczy wcale mojej miłości z ogólniaka. To nie jest sen o Alison Koechner, naszym dawno zakończonym związku i wymarzonym niewielkim, ale za to pięknym domu, który moglibyśmy wspólnie zbudować w Maine, gdybyśmy się nie rozeszli. Nie śnię o białym płocie, niedzielnym rozwiązywaniu krzyżówek i gorącej herbacie.

W moim śnie nie ma asteroidy. W moim śnie po prostu żyjemy. To zwykłe życie, szczęśliwe, wiedzione za białym parkanem. Normalne życie. Długie życie.

Śnię o Alison Koechner, śnię tak naprawdę o nieumieraniu. Widzicie? Rozgryzłem to jak się patrzy.

* * *

- Chciałbym ustalić z panem kilka spraw, panie Dotseth. Chcę, by pan wiedział, że za sprawą tego wisielca coś się kryje. Naprawdę.

- Mama? To ty, mam?

- Co? Nie. Mówi detektyw Palace.

Chwila ciszy, stłumiony chichot.

- Wiem, kto mówi, synu. Tak się tylko z tobą drocę.

- Aha. Rozumiem.

Słyszę szelest przekładanej kartki gazety, niemalże wyczuwam ostrą woń bijącą z kubka kawy Denny'ego Dotsetha.

- Słyszałeś już, co wydarzyło się w Jerozolimie?

- Nie.

- Coś takiego. A chcesz usłyszeć?

- Nie, proszę pana, nie teraz. Wróćmy do prowadzonej przeze mnie sprawy, panie Dotseth.

- Przepraszam, ale czy mógłbyś mi przypomnieć, o jakiej sprawie rozmawiamy?

Siorbnięcie kawy, szelest papieru, Dotseth kpi ze mnie w żywe oczy, a ja stoję jak ten dureń we własnej kuchni i bębnię palcami po błękitnym brulionie. Tym samym, w którym przed czwartą rano zapisałem nazwisko i adres ostatniej osoby, która widziała mojego agenta ubezpieczeniowego.

- Mówię o sprawie Zella, proszę pana. Tego wisielca, którego znaleźliśmy przedwczoraj rano.

- No tak. Zgon w niewyjaśnionych okolicznościach. To oczywiście samobójstwo, ale ty podejrzewasz...

- Zgadza się. Proszę posłuchać: udało mi się namierzyć ten pojazd.

- Jaki znowu pojazd, młodzieńcze?

Moje palce wybijają coraz szybszy rytm. Daj spokój, Dotseth.

- Pojazd, o którym wspomniałem podczas naszej wczorajszej rozmowy. Czerwony pikap przerobiony na olej roślinny. Ten, w którym po raz ostatni widziano ofiarę.

Kolejna długa przerwa. Zastępca prokuratora generalnego próbuje doprowadzić mnie do pasji.

- Halo? Panie Dotseth?

- Okay, udało ci się namierzyć ten wóz.

- Tak. A pan powiedział, by panu meldować, jeśli znajdę poszlaki świadczące, że to coś więcej niż kolejne samobójstwo.

- Naprawdę?

- Tak. No więc uważam, że jest więcej niż prawdopodobne, że mamy do czynienia z morderstwem. Zamierzam odwiedzić tego człowieka jeszcze tego ranka, przesłucham go, a jeśli coś mi nie spasuje w tym, co od niego usłyszę, pojawię się u pana po nakaz aresztowania... - Zawieszam głos. - Panie Dotseth?

Chrząka dla odmiany, po czym pyta:

- Kto jest teraz pańskim bezpośrednim przełożonym?
- Słucham?

Czekam z ręką uniesioną nad brulionem, mój palec wskazuje zapisany w nim adres: 77 Bow Bog Road. To na południe od nas. Najbliższe przedmieścia.

- Pytam o to, kto jest teraz szefem wydziału kryminalnego.
- Chyba nie ma nikogo takiego. Technicznie biorąc, naszym przełożonym jest komendant Ordler. Sierżant Stassen rzucił wszystko w cholerę pod koniec listopada, zanim jeszcze przeniesiono mnie na piętro. A jego następcy nadal nie widać.
- Nie widać... - mruczy Dotseth. - No dobrze. Ujmę to tak, kolego: skoro musisz zajmować się tą sprawą, rób, co uważasz za stosowne.

2.

- Peter żyje.
- Niestety nie.
- Dopiero co go widziałem. Kilka dni temu, chyba we wtorek wieczorem.
- Nie. To niemożliwe.
- Właśnie, że możliwe.
- To musiał być poniedziałek.

Stoję pod opartą o ścianę domu rozsuwaną metalową drabiną. Budynek jest kanciasty, zwieńczony stromym, pokrytym gontem dachem. Ręce trzymam złożone, głowę mam odchyloną, drę się prosto w sypiący z nieba śnieg. J.T. Toussaint, bezrobotny budowlaniec i kamieniarz, wielkolud nie człowiek, stoi na szczycie drabiny, jego ciężkie buciory robocze zaparte są na ostatnim szczeblu, a wydatny brzuch dotyka rynny okalającej dach. Nie widzę wyraźnie jego twarzy, tylko dolną prawą ćwiartkę, którą jest do mnie zwrócony, reszta niknie pod kapturem niebieskiej bluzy.

- Odebrał go pan z miejsca zatrudnienia w poniedziałek wieczorem.

Toussaint mruży coś, co brzmi jak: „Chyba sam wiem lepiej?”, ale na głos wypowiada niewyraźne:

- Hę?
- Tak, proszę pana. Podjechał pan swoim czerwonym pika-
pem, tym z flagą wymalowaną na drzwiach. To pański wóz tam
stoi? - Wskazuję na podjazd, a Toussaint potakuje, przenosząc
ciężar ciała na rynnę. Podstawa drabiny drży lekko. - A we
wtorek rano znaleziono go martwego.

- Ojej - mamrocze z dachu. - A niech to. Powiesił się?

- Tak to w każdym razie wygląda. Może pan zejść na chwilę z tej drabiny?

To paskudny budynek, drewniany, rozsypujący się z wolna, lekko asymetryczny, przypomina nieco podium postawione w środku głuszy. W ogródku przed nim stoi samotny dąb, powykręcany konarami sięgający nieba, jakby czekał na aresztowanie; poza tym dostrzegam tylko psią budę i żywopłot biegnący wzdłuż granic posesji. Gdy Toussaint schodzi, drabina podskakuje i chybcze się niebezpiecznie, ale moment później mam go już przed sobą, zakutanego w bluzę z kapturem i w tych monstrualnych butach roboczych. Z masywnego nadgarstka zwisa mu pistolet do uszczelniania. Mężczyzna mierzy mnie wzrokiem, obaj wydmuchujemy obłoczki gęstej pary.

Ludzie mówili prawdę, jest wielki, ale raczej napakowany niż gruby, ma sylwetkę faceta, któryś kiedy grał w futbol. Za jego masą kryje się stal, nie wątpię, że gdyby zaszła taka potrzeba, mógłby bez trudu biegać i skakać. Nie mówiąc już o zaatakowaniu drugiego człowieka. Głowa Toussainta wygląda jak wy-ciosana z litego granitu: wystająca obła szczeka, szerokie czoło, skóra twarda, pobrużdżona, jakby tknięta erozją.

- Jestem detektyw Henry Palace - przedstawiam się grzecznie. - Policjant.

- Bez jaj - odpowiada, a potem bez ostrzeżenia robi krok w moim kierunku, pokrzykuje dwukrotnie i klaszcze. Odruchowo odskakuję w tył, potykam się, próbuję sięgnąć dłonią do kabury.

Ale nie o mnie mu chodzi, tylko o psa. On po prostu przywołuje swojego psa. Przykleka, a psina przybiega truchtem, zanie-dbany zwierzak, nierównomiernie pokryty białą kręconą sierścią. To chyba pudel albo coś w tym stylu.

- Hej, Houdini - wabi go Toussaint, rozkładając ręce. - Chodź do mnie.

Pies wtula małą głowę w mięsistą dłoń pana, a ja w tym czasie próbuję dość do siebie. Gdy biorę głęboki oddech, wielkolud podnosi na mnie wzrok z przykłęku, spojrzenie ma rozbawione. W tym momencie wiem, że... że przejrzał mnie na wylot.

* * *

W środku dom jest równie paskudny, ściany pokrywa brudny, żółknący w wielu miejscach tynk, każdy element wystroju jest czysto funkcjonalny: zegar, kalendarz, otwieracz do butelek wiszący na futrynie drzwi prowadzących do kuchni. Widzę niewielki kominek zapchany kupą śmieci, puste butelki po importowanym piwie – musiały kosztować krocie, skoro sześciopak nawet najpodlejszej marki browaru kosztuje dzisiaj w licencjonowanych sklepach 21,99 – zgodnie z ustawą o jednolitej cenie alkoholu – a na czarnym rynku osiąga astronomiczne ceny. Gdy przechodzimy, ze stosu spada jedna z flaszek i z hurkotem turla się po drewnianych klepkach salonu.

– Zatem – rzucam, sięgając po brulion i długopis. – Jak pan poznał Petera Zella?

Toussaint zapala papierosa i zaciąga się wolno dymem, a w końcu mówi:

– Chodziliśmy razem do szkoły.

– Do szkoły?

– Tak. Tu niedaleko. Przy Curtisville Road. – Ciska pistolet do uszczelniania na wierzch skrzynki narzędziowej, a ją odkopuje pod zdezelowaną sofę. – Siadaj, człowieku.

– Nie, dziękuję.

Toussaint także nie siada. Przetacza się obok mnie w kierunku kuchni, dym z tłącego się papierosa wiruje w powietrzu za jego głową, jakby dobywał się z paszczy smoka.

Na półce wieńczącej kominek stoi miniatura stanowego parlamentu, ma piętnaście centymetrów wysokości i została od-

wzorowana z ogromną precyzją: widzę fasady z białego kamienia, połączaną kopułę i mikroskopijnego orła sterczącego na jej szczycie.

- Podoba się? - pyta Toussaint wracający z heinekenem w dłoni, odkładam więc pośpiesznie oglądany model. - To dzieło mojego starego.

- Jest artystą?

- Nie żyje - informuje mnie gospodarz, odchylając kopułę i pokazując jej wnętrze, które okazuje się popielniczką. - Ale tak, był artystą. Między innymi.

Strzepuje popiół do kopuły stanowego parlamentu, spoglądając na mnie z wyczekiwaniem.

- Zatem - powtarzam - poznaliście się w szkole.

- Tak.

Jeśli wierzyć słowom Toussainta, on i Peter Zell byli najlepszymi kumplami od drugiej do szóstej klasy. Obaj równie niepopularni, Toussaint klepał biedę, korzystał z darmowych obiadów, zawsze chodził w tych samych ciuchach ze szmatek-sów, Zell natomiast był z zamożnej rodziny, ale strasznie niezdarny i wrażliwy, jednym słowem, urodzona ofiara. Dwaj mali dziwacy zawarli więc sztamę, grywali w ping-ponga w wykończonej jak pokój piwnicy Petera, jeździli na rowerach po wzgórzach otaczających szpital, grywali w Dungeons & Dragons w tym właśnie domu, w pokoju, w którym teraz rozmawiamy. Latem wybierali się do odległych o parę kilometrów kamieniołomów na State Street, za więzieniem, gdzie rozbierali się do majtek, by pływać, nurkować, taplać się i podtapiać wzajemnie w przyjemnie chłodnej wodzie.

- Wie pan - kończy uśmiechnięty Toussaint, rozkoszując się smakiem piwa. - Jak to dzieciaki.

Przytakuję, zapisując to wszystko, zaintrygowany wyobrażeniem dziecięcego wcielenia mojego agenta ubezpieczeniowego: ziemista cera już u nastolatka, grube okulary, ubranie zło-

żone równo przy samym brzegu glinianki. Po prostu młodsza wersja obsesyjnie nieśmiałego aktuarium, którym pisane mu było zostać.

J.T. i Peter, co chyba było nieuniknione, w końcu oddalili się od siebie. Po okresie dojrzewania Toussaint zmienił się, zmężniał, wyrobił: zaczął kraść płyty Metalliki z Pitchfork Records, podwędzał ojcu piwo i palił czerwone marlboro, Zell zaś nie zdołał wykroczyć poza sztywne ramy swej dotychczasowej postaci, nadal był strachliwy i nerdowaty.

W gimnazjum witali się na korytarzu zdawkowym skinieniem głowy, potem Toussaint rzucił naukę, a Peter, zdawszy egzaminy, rozpoczął studia. Przez dwadzieścia kolejnych lat nie mieli ze sobą kontaktu.

Zapisuję każde słowo. Toussaint dopija piwo i ciska pustą flaszkę na stos w kominku. W drewnianych ścianach są pokaźne szpary. Muszą być, skoro w przerwach w rozmowie słyszę przeraźliwy gwizd wiatru. Wichura na zewnątrz wzmacnia się, jakby chciała przecisnąć się do wnętrza każdą szczeliną.

- Potem nagle zadzwonił do mnie - ciągnie Toussaint. - Jak piorun z jasnego nieba. Wpadnij, zjemy wspólnie lunch, powiedział.

Trzykrotnie włączam i wyłączam długopis.

- Dlaczego to zrobił?

- Nie mam pojęcia.

- Kiedy to było?

- Nie pamiętam. W lipcu? Nie. To było po tym, jak mnie wylali z roboty. Czyli w czerwcu. Powiedział, że pomyślał o mnie, jak tylko to wszystko się zaczęło.

Mierzy wyprostowanym palcem w okno i widoczne za nim niebo. To wszystko. Dzwoni mój telefon, więc zerkam na wyświetlacz. Nico. Odrzucam połączenie.

- Co robiliście, pan i Zell, gdy już się spotkaliście?

- To samo.

- Graliście w Dungeons & Dragons?

Spogląda na mnie, prychna, poprawia się w fotelu.

- No dobra. Robiliśmy coś innego. Piliśmy piwo. Jeździliśmy po okolicy. Postrzelaliśmy sobie. - Zamieram, wiatr nadal zawodzi. Toussaint zapala kolejnego papierosa, musi wiedzieć, co zaraz powiem. - Trzy winchestery, panie władzo. Tam, w szafce. Rozładowane. Są moje i mogę to udowodnić.

- Zabezpieczone jak trzeba, mam nadzieję.

Kradzieże są poważnym problemem. Ludzie kradną broń na potęgę dla siebie, byle mieć jej więcej, ale są też tacy, którzy sprzedają to, co zwędzą, innym „kolekcjonerom”, i to za astronomiczne kwoty.

- Nikt nie zabierze mojej broni, kurwa - odpowiada ostro i mierzy mnie hardym spojrzeniem, jakbym zamierzał zrobić coś podobnego.

Kontynuuję przesłuchanie. Pytam Toussainta o noc z poniedziałku na wtorek, ostatnią w życiu Petera Zella, ale on tylko wzrusza ramionami.

- Zabrałem go po robocie.

- O której?

- Nie pamiętam - rzuca, a ja czuję, że coraz mniej mnie lubi, jest gotów mnie wyprosić. Może to on zabił Petera, a może nie, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że gdyby tylko zechciał, mógłby mnie obić na śmierć. Wystarczyłyby trzy albo cztery uderzenia, bym padł jak jeleń pod maczugą jaskiniowca. - Po robocie.

Twierdzi, że pokrążyli chwilę po mieście, potem wpadli do Red River, żeby obejrzeć nową część *Distant Pale Glimmers*, tego serialu science fiction. Wypili kilka piw, obejrzeli film, a potem się rozstali. Peter stwierdził, że chce wracać do domu na piechotę.

- Widział pan kogoś jeszcze w kinie?

- Tylko pracowników obsługi.

Wysysa ostatnie soki z drugiego papierosa i rozgniata niedopałek w modelu stanowego parlamentu. Houdini drepcze koślawo, oblizując się łapczywie, by zmieść różowym jęzorem ostatnie okruchy ciastek, które przykleiły mu się do pyska. Moment później pociera łbem o masywną nogę swojego pana.

- Będę musiał zastrzelić tego psa - rzuca Toussaint niespodziewanie, w zamyśleniu, po czym zrywa się na równe nogi. - To znaczy na sam koniec.

- Słucham?

- On jest okropnie strachliwy. - Zerka na czworonoga, przekrzywiając głowę, jakby się zastanawiał, co poczuje, gdy to zrobi. - Nie mogę ścierpieć myśli, że mógłby zginąć od ognia, zimna albo utonąć. Dlatego chyba będę musiał go wcześniej odstrzelić.

Jestem gotowy, by opuścić to miejsce. Mogę wyjść już teraz.

- Ostatnie pytanie, proszę pana. Zauważył pan opuchliznę pod prawym okiem pana Zella?

- Powiedział mi, że spadł ze schodów.

- Uwierzył mu pan?

Rechocze pod nosem, drapiąc psa za klapniętym uchem.

- Komuś innemu bym nie uwierzył. Uznałbym, że gwizdnął na ulicy za dziewczuchą jakiegoś zakapiora. Ale Pete? Daj pan spokój. Idę o zakład, że potknął się na jakichś schodach.

- Rozumiem - rzucam, zaprzeczając w duchu: „A ja idę o zakład, że przydarzyło mu się coś innego”.

Toussaint ujmuje łeb Houdiniego w obie dłonie i patrzą sobie długo w oczy, a ja wybiegam myślami w przyszłość, do tego straszego momentu, gdy człowiek podnosi dwieście siedemdziesiątkę, zwierzak patrzy na niego ufnie, po czym następuje strzał i koniec.

Facet przenosi wzrok na mnie i czar pryska.

- Coś jeszcze, panie władzo?

* * *

Mój ojciec, Temple Palace, miał taką ulubioną żartobliwą odpowiedź. Kiedy ludzie pytali go, kim jest z zawodu, zwykł mówić, że królem filozofów. Wygłaszał to zdanie ze śmiertelną powagą i nie wybuchał na koniec śmiechem. Ktokolwiek zadał pytanie – czy był to fryzjer, czy przygodny znajomy z przyjęcia albo rodzic jednego z moich kolegów – wszyscy spoglądali na niego pustym wzrokiem. A ja w takich chwilach wbijałem wzrok w ziemię zawstydzony. On natomiast rozkładał ręce i pytał: „No o co chodzi? Mówię poważnie”.

Tak naprawdę wykładał literaturę angielską w Saint Anselm College, Chaucera, Szekspira, Donne’a. W domu sypał nieustannie cytatami i aluzjami, powtarzając półgębkiem kolejne wykłady, komentował też każde prozaiczne wydarzenie w naprawdę abstrakcyjny sposób.

Większość jego wtrętów odeszła już dawno w zapomnienie, ale jeden z nich wciąż mam w pamięci.

Wróciłem do domu, pociągając nosem, cały we łzach, ponieważ ten drań Burt Phipps zrzucił mnie z huśtawki. Moja matka, Peg, kobieta tyleż ładna co praktyczna, wrzuciła trzy kostki lodu do woreczka śniadaniowego i przyłożyła je do opuchlizny na twarzy. Ojciec natomiast stał przy zielonym kuchennym blacie i zastanawiał się na głos, dlaczego Burt zrobił mi coś takiego.

- Dlatego, że to palant – odpowiadam, pociągając wciąż nosem.

- Ależ skąd – oświadcza ojciec, podnosząc okulary, by spojrzeć na nie pod światło i przetrzeć je serwetką. - Hen, Szekspir nauczył nas jednego: każde działanie ma swój motyw.

Patrzę na ojca, trzymając przy obolałym czole woreczek pełen lodu.

- Nie rozumiesz, synu? Cokolwiek ktokolwiek czyni, musi być tego przyczyna. Nic bez niej się nie dzieje, ani w sztuce, ani

tym bardziej w życiu.

- Litości, kochanie - szepcze matka, przyklękając obok mnie, by spojrzeć mi w oczy i wykluczyć wstrząśnienie mózgu. - Chuligan to chuligan.

- No tak - rzuca ojciec, głaszcze mnie po głowie, po czym wychodzi z kuchni. - Pytanie brzmi: dlaczego został chuliganem?

Matka przewraca oczami, całuje mnie w obolałe miejsce i wstaje. Pięcioletnia Nico siedzi na podłodze, gdzie buduje wielopiętrowy pałac z klocków lego. Właśnie usiłuje go nakryć wielopłaszczyznowym dachem.

Profesor Palace nie doczekał nadejścia asteroidy, podobnie, niestety, jak moja matka.

Za nieco ponad pół roku, jeśli ufać przewidywaniom najlepszych naukowców, co najmniej połowa populacji naszej planety zginie w serii nakładających się na siebie kataklizmów. Eksplozja o sile dziesięciu megaton, dorównująca mocą tysiącowi bomb zrzuconych na Hiroszimę, wybije gigantyczny krater w ziemi, powodując liczne trzęsienia ziemi wymykające się poza skalę Richtera, a one z kolei wywołają niebotyczne tsunami, które przetoczy się przez wszystkie oceany naszego globu.

Potem nadejdzie mrok, niebo spowije gruba warstwa popiołu, średnia temperatura spadnie o dwadzieścia stopni Celsjusza. Zero zbiorów, zero bydła, zero światła. Taki będzie los tych, którzy przetrwają.

Znajdź w swoim błękitnym brulionie odpowiedź na następujące pytanie, profesorze Palace: jaki wpływ świadomość nieuchronnej zguby może mieć na ludzi i motywy ich postępowania?

Weźmy choćby J.T. Toussainta, bezrobotnego kamieniarza, wcześniej niekaranego.

Nie ma on wiarygodnego alibi na czas śmierci ofiary. Twierdzi, że był w domu, czytał książkę.

W normalnej sytuacji zainteresowalibyśmy się kwestią motywu sprawcy. Rozważylibyśmy godziny spędzone wspólnie przez Petera Zella i Toussainta, zwłaszcza ostatniego wieczora: najpierw idą na seans *Distant Pale Glimmers* i w trakcie projekcji wypijają po kilka piw. Potem dochodzi do sprzeczki, niewykluczone, że o kobietę albo jakąś na wpół zapomnianą głupotę z czasów szkolnych, nerwy biorą górę...

Pierwszy problem z tą hipotezą polega na tym, że Peter Zell nie zginął w taki sposób. Morderstwa będące rezultatem długiej libacji lub wynikiem sprzeczki o kobietę czy też spowodowane inną zwadą popęlnia się zazwyczaj kijami bejsbolowymi, nożami bądź dwieściesiedemdziesiątkami. My mamy natomiast do czynienia z człowiekiem, który został uduszony, a następnie przeniesiony, by można było zainscenizować samobójstwo.

Drugi problem, moim zdaniem znacznie poważniejszy, każe przeanalizować motyw ponownie w kontekście nadciągającej katastrofy.

Albowiem ludzie zachowują się ostatnio nieprzewidywalnie, ich motywy są trudne, często wręcz niemożliwe do stwierdzenia.

Na świecie dochodzi do kanibalizmu, ekstatycznych orgii, niekontrolowanej fali dobroczynności, prób rewolucji, zarówno socjalistycznej, jak i religijnej, wreszcie do masowych psychoz związanych z powtórным nadejściem Jezusa czy Alego, zięcia Mahometa, Przywódcy Wiernych. Niektórzy wierzą wręcz, że Orion opuści nieboskłon, dzierżąc miecz i pas w dłoni.

Ludzie budują statki kosmiczne i domki na drzewach, praktykują wielożeństwo, strzelają do siebie w miejscach publicznych, dokonują samospaleń albo zaczynają studiować medycynę, ponieważ prawdziwi lekarze porzucają pracę, by mieszkać w szałasach na pustyni i tam się modlić.

Żadna z tych rzeczy, z tego co wiem, nie miała jeszcze miejsca w Concord. Mimo to odpowiedzialny detektyw powinien przyjrzeć się motywom sprawcy w nowym świetle, umieścić je na matrycy nowych, bardzo nietypowych okoliczności. Koniec świata zmienia wszystko - zwłaszcza z perspektywy stróża prawa.

* * *

Jadę po Albin Road, gdy koło trafia na zmarzniętą kałużę i wozem zarzuca mocno w prawo. Odbijam kierownicą w lewo, by skontrolować, ale to nic nie daje. Kręcę nią jak szalony, najpierw w jedną, potem w drugą stronę, lecz słyszę tylko przerażliwy chrzęst łańcuchów trących o felgi.

- No dalej, dalej - mamroczę, ale koła zachowują się tak, jakby straciły połączenie z układem kierowniczym. Chevrolet sunie wciąż w prawo niczym gigantyczny hokejowy krążek, który niewidzialny gracz posłał w bok, prosto w biegnący wzdłuż drogi rów melioracyjny. - No dalej - powtarzam. - No...

Mam ucisk w żołądku. Wgniatam z całych sił pedał hamulca, nadal żadnego efektu, a tył wozu wychyla się jeszcze bardziej, chevrolet przez moment sunie w poprzek jezdni. Czuję, że tylny most się unosi, a gdy przód wozu przelatuje nad rowem i wbija się w pień jakiegoś iglaka, uderzam potylicą w zagłówek.

Nagle wszystko zamiera. Cisza aż dzwoni w uszach. Słyszę tylko własny oddech. Śpiew zimowego ptaka w oddali. Syk porażki dobiegający z komory silnika.

Do tego wychwytyuję jakieś tykanie, ale potrzebuję chwili, by odkryć, że to odgłos wydawany przez moje zęby. Ręce też mi się trzęsą, a nogi drgają jak u marionetki.

Kolizja z drzewem strąciła na samochód masę śniegu, który wciąż sypie się z gałęzi, tworząc w powietrzu sztuczną zawieję. Wielkie płatki szybko pokrywają splekaną przednią szybę.

Poprawiam się na fotelu, dysząc, macam się obiema rękami po całym ciele, jakbym przeszukiwał podejrzanego. Wszystko dobrze, nic mi nie jest.

Przód wozu jest wgnieciony, centralnie, głęboko, jakby jakiś gigant zasadził mu solidnego kopa.

Łańcuchy uległy zerwaniu. Wszystkie cztery. Leżą wokół opon, przypominając resztki sieci rybackich.

- Cholera - rzucam na cały głos.

Nie sądzę, aby to on go zabił. Toussaint znaczy. Podnoszę łańcuchy i wrzucam je na kupę do bagażnika.

Wątpię, aby był mordercą. Naprawdę wątpię.

* * *

Na komendzie policji mamy pięć klatek schodowych, ale tylko dwiema z nich można zejść do piwnicy. Pierwsza, ta prowadząca z parkingu, ma stopnie odlane z surowego betonu. To właśnie tamtędy sprowadzamy skutych podejrzanym, których przywozimy na tylnych siedzeniach radiowozów, by zrobić im zdjęcia sygnalityczne, pobrać odciski palców, a potem wpakować do aresztu albo izby wytrzeźwień. Ta ostatnia od niedawna nieustannie pęka w szwach.

Aby dotrzeć do drugiej części piwnicy, trzeba użyć głównej klatki schodowej w północno-zachodnim skrzydle. Przykładasz identyfikator do skanera, czekasz na otwarcie drzwi i zstępujesz do ciasnego królestwa posterunkowego Franka Wilentza.

- Cóż to się stało, szanowny detektywie? - rzuca Wilentz, wykonując kpiarski salut. - Błady pan coś dzisiaj.

- Zderzyłem się z drzewem, ale nic mi nie jest.

- A drzewu?

- Wyszukasz mi pewne nazwisko?

- Podoba ci się moja czapka?

- Daj spokój, Wilentz.

Główny zarządca archiwum naszej komendy pracuje w boksie, którego powierzchnia nie ma chyba metra kwadratowego, dawnym magazynie dowodów, za biurkiem zawalonym komiksami i torebkami cukierków. Na rzędzie haków wystających z siatkowego przepierzenia wiszą ligowe bejsbolówki, jedna z nich, jaskrawoczerwona czapka Philliesów, spoczywa pod dziwnym kątem na głowie Wilentza.

- Odpowiadaj, Palace.

- Bardzo mi się podoba.

- Tak tylko gadasz.

- Chciałbym, abyś sprawdził dla mnie pewne nazwisko - mówię.

- Mam czapki wszystkich drużyn z ligi. Wiesz o tym?

- Tak, chyba mi już wspominałeś...

Rzecz w tym, że Wilentz ma dostęp do ostatniego działającego szybkiego łącza internetowego w tym budynku - może nawet w całym hrabstwie. A to dzięki pozwoleniu, by jeden z naszych komputerów został podpięty pod cenniejszy od złota router Departamentu Sprawiedliwości. W praktyce znaczy to tyle, że jeśli chcę się połączyć z bankami danych FBI, by wyszukać kartotekę interesującej mnie osoby, najpierw muszę złożyć swoisty hołd kolekcji czapek Franka.

- Zbierałem to cholerstwo, by któregoś dnia przekazać je dzieciom, ale odkąd zrozumiałem, że nie zdążę splodzić potomków, służą do zaspokajania moich potrzeb. - W kamiennej masce pokazuje się szczelina, przez którą widać ozdobione przerwami zęby. - Jestem z gatunku tych, którzy twierdzą, że szklanka jest w połowie pełna. Chciałeś czegoś?

- Tak. Chciałbym, abyś sprawdził dla mnie pewne nazwisko.

- A tak, już to mówiłeś.

Wilentz wpisuje nazwisko i adres, odznacza kolejne pola na ekranie, a ja obserwuję jego poczynania, bębniąc palcami w ścianę boksu.

- Wilentz?

- Tak?

- Popełniłbyś samobójstwo?

- Nie - rzuca bez zastanowienia, klikając w link. - Choć muszę ci się przyznać, że rozważałem taką opcję. Wiesz, Rzymianie uważali, że samobójstwo to najodważniejszy czyn człowieka. W obliczu tyranii. Cynceron. Seneka. I wszyscy pozostali. - Przeciąga wolno palcem po szyi.

- My nie stoimy w obliczu żadnej tyranii.

- I tu nie zgodzę się z tobą. Z kosmosu nadlatuje faszystka. - Odwraca się od komputera, by wyłuskać miniaturowego kitkata ze stosu słodyczy. - Ale nie, nie odbiorę sobie życia. Wiesz dlaczego?

- Nie.

- Dlatego, że... - znów się odwraca, by nacisnąć ostatni klawisz - ...jestem tchórzem.

W wypadku Wilentza trudno odgadnąć, kiedy żartuje, a kiedy mówi poważnie. Domyślam się, że tym razem powiedział prawdę. Nie drażę tematu, tylko skupiam uwagę na monitorze, na przepływających po nim długich kolumnach danych.

- Z tego, co tu widzę, przyjacielu - rzuca posterunkowy Wilentz, odwijając batonik - trafiłeś na pieprzonego harcerzyka.

- Co takiego?

Jak się okazuje, J.T. Toussaint nie popełnił nigdy żadnego przestępstwa, a w każdym razie nie został na tym przyłapany.

Nikt z naszych nigdy go nie aresztował, ani przed, ani po pojawieniu się Mai, ani w Concord, ani w innym mieście, hrabstwie czy stanie. Nie siedział w więzieniu federalnym, więc FBI ani Departament Stanu nie założyły mu kartoteki. Nie interesował się nim Interpol ani armia. Raz tylko zdarzyło mu się nieprawidłowo zaparkować motocykl w niewielkiej miejscowości o nazwie Waterville Valley, leżącej gdzieś w Górach

Białych, za co został ukarany mandatem, który zapłacił w terminie.

- Nic na niego nie masz? - pytam, a Wilentz przytakuje.

- Nic. No chyba że zaszalał sobie w Luizjanie. Nowy Orlean wypadł kompletnie z Sieci. - Wilentz wstaje, przeciąga się, dorzuca kolejny zmięty papiererek do stosu zalegającego blat. - Skoro o tym mowa, może tam pojedę. Podobno nie można narzekać na brak atrakcji. Słyszałem, że ludzie pieprzą się tam na wszystkie sposoby.

Wspinam się po schodach z kartką, na której zapisano kryminalną przeszłość J.T. Toussainta, a raczej jej brak. Jeśli jest typem mordercy wieszającego ofiary w kiblach podrzędnych barów szybkiej obsługi, to stał się nim w ciągu ostatnich dni.

* * *

Po dotarciu na piętro i zajęciu miejsca za biurkiem sięgam po telefon stacjonarny i raz jeszcze próbuję porozmawiać z Sophie Littlejohn, ale ponownie natykam się na beznamiętny głos recepcjonistki z oddziału położniczego. Nie, pani Littlejohn nie ma w pracy, nie, nie wiadomo, gdzie jest, nie, nie powiedziała, kiedy wróci.

- Może jej pani przekazać, by skontaktowała się z komendą policji w Concord? - pytam i zaraz dodaję impulsywnie: - Nazywam się Henry Palace, jestem przyjacielem i próbuję jej pomóc.

Recepcjonistka milczy przez chwilę, a potem rzuca: „Ooooookay”, przeciągając pierwszą sylabę, jakby nie miała pojęcia, o czym mówię. Nie winię jej, ponieważ sam do końca tego nie wiem. Mnę chusteczkę, którą ocierałem głowę, i wyrzucam ją do kubła. Spoglądając na pustą kartotekę J.T. Toussainta, czuję niepokój i niezadowolenie, myślę o wszystkim naraz, o domu, psie, dachu i trawniku. Inna sprawa, która mnie zaprzęta, to łańcuchy śniegowe, wciąż doskonale pamiętam,

że je starannie sprawdziłem wczoraj rano, jak co tydzień, gdyż weszło mi to już w nawyk.

- Hej, Palace, chodź tutaj, coś ci pokażę.

To Andreas siedzący przy swoim komputerze.

- Oglądasz to w sieci?

- Nie - odpowiada. - Mam na twardym dysku. Ściągnąłem jakiś czas temu, gdy łącza działały.

- Aha - mówię. - Dobra... - Ale jest już za późno, przeszedłem na drugi kraniec pomieszczenia, stoję obok niego, a on chwyta mnie jedną ręką za łokieć, drugą wskazuje na ekran.

- Patrz - prosi, oddychając bardzo szybko. - Obejrzyj to ze mną.

- Andreas, daj spokój. Pracuję właśnie nad pewną sprawą.

- Wiem, ale spójrz tylko, Hank.

- Już to widziałem.

Wszyscy to widzieliśmy. Kilka dni po Tolkinie, po specjalnym programie CBS, w którym padło ostateczne potwierdzenie, Laboratorium Napędu Odrzutowego NASA udostępniło krótkie nagranie, by uzmysłowić wszystkim, co się właściwie dzieje. To prosta animacja w Javie, na której pikselowate ciała niebieskie krążą wokół Słońca: Ziemia, Wenus, Mars, no i rzecz jasna gwiazda tego przedstawienia, by tak rzec, czyli 2011GV₁. Planety i osławiona asteroida okrążają Słońce z różnymi prędkościami, po różnych elipsoidalnych orbitach, przesuając się na ekranie skokowo. Każde ujęcie przedstawia dwa tygodnie czasu rzeczywistego.

- Poczekaj sekundkę - prosi Andreas, poluzowując chwyt, lecz nie puszczając mnie całkowicie. Niemal kładzie się na blacie. Policzki mu płoną. Gapi się w ekran, jakby oniemiał, szeroko otwartymi oczami, zupełnie jak dzieciak przed szybą akwarium.

Stoję za nim, przyglądając się nagraniu wbrew sobie, patrząc, jak Maja okrąża podstępnie Słońce. To niesamowicie

hipnotyzujący widok, zupełnie jak instalacja w galerii sztuki. Jaskrawe kolory, powtarzające się ruchy, nieskomplikowana akcja, po prostu coś, czemu nie sposób się oprzeć. Krążąc na krańcach swojej orbity, 2011GV₁ porusza się bardzo powoli, metodycznie, na pewno o wiele wolniej od Ziemi, jednakże podczas ostatnich kilku sekund projekcji przyśpiesza, jakby dłuższa wskazówka zegara nagle przeskoczyła z czwartej na szóstą. Zgodnie z drugim prawem Keplera, asteroida pochłonie ostatnie kilka milionów kilometrów w ciągu dwóch miesięcy, trafi w niczego niespodziewającą się Ziemię i... bum!

Przekaz zamiera na ostatniej klatce datowanej na trzeci październik, czyli dzień zderzenia. Bum! Żołądek bezwiednie wywraca mi się na lewą stronę, gdy to widzę.

- Cudownie - mamroczę. - Dzięki za podzielenie się dobrą nowiną.

Jak już mówiłem, widziałem to wcześniej.

- Czekaj, czekaj! Andreas cofa nagranie o kilka sekund do momentu oznaczonego liczbami 2:39,14 i znów je odtwarza: planety przeskakują dwie klatki, a potem nagle zamierają. - Widziałeś?

- Co miałem widzieć?

Znów przewija i puszcza symulację, a ja rozmyślam o Peterze Zellu, o tym, jak ogląda to nagranie - musiał je przecież widzieć, i to dziesiątki razy, a kto wie, czy nie analizował go także klatka po klatce, jak Andreas teraz. Andreas puszcza mnie w końcu, pochyla się jeszcze mocniej, nosem niemal dotyka chłodnej matrycy monitora.

- Dokładnie tutaj asteroida przesuwana się minimalnie w lewo. Jeśli czytałeś Borstnera... Czytałeś Borstnera?

- Nie.

- Och, Hank. - Spogląda na mnie, jakbym to ja był szalony, po czym odwraca się znów do ekranu. - Jest blogerem, a raczej był, teraz rozsyła newslettery. Mam kumpla w Phoenix, za-

dzwonił do mnie wczoraj w nocy, kazał obejrzyć to nagranie jeszcze raz, zatrzymać je o, tutaj... - Klika na pauzę. 2:39,14. - Dokładnie w tym miejscu. Patrz. Widzisz? - Puszcza symulację po raz kolejny, cofa, pauzuje, puszcza. - Na to właśnie zwrócił uwagę Borstner. Wystarczy porównać nagranie.

- Andreas.

- Wystarczy je porównać z symulacjami, a dostrzeże się pewne różnice.

- Przecież nikt nie sfałszował tego nagrania.

- Nie. Nie mówię o nagraniu. To oczywiste, że nikt go nie sfałszował. - Gdy pochyła się w moim kierunku, mrużąc oczy, wychwytyję w jego oddechu znajomy odór, jakby wódki, i cofam się o krok. - Nie film, Palace, tylko efemerydy.

- Andreas!

Muszę się powstrzymać, aby nie złapać komputera i nie rzucić go na drugi koniec pokoju.

Mam do rozwiązania sprawę morderstwa, u licha. Zginął człowiek.

- Tutaj - powtarza - sam zobacz. Tu widać, jak zaczyna się odchyłać, ale wraca na dawną orbitę. Jeśli porównać ją z Apofisem albo 1979XB... Borstner twierdzi, rozumiesz, że popełniono błąd, fundamentalny błąd we wczesnych obliczeniach, tych najważniejszych. Zacznijmy od samego jej odkrycia, które było bezprecedensowe, przyznasz. Siedemdziesięcioletni okres obiegu, nikt wcześniej nie mógł jej opisać, zgadza się?

- Mówi coraz szybciej, wypluwa słowa jedno za drugim. - Borstner próbował się skontaktować z Laboratorium Napędu Odrzutowego NASA, dzwonił do Departamentu Obrony, chciał to wyjaśnić, ale... został po prostu olany. Zignorowali go, Palace. Totalnie!

- Andreas - rzucam zdecydowanym tonem, lecz zamiast rozwalić mu komputer, pochylam się, marszcząc nos na odór, jaki tworzą pot i przetrawiony alkohol, i wyłączam monitor.

Andreas unosi głowę, spogląda na mnie wytrzeszczonymi oczami.

- Palace?

- Nie pracujesz nad żadnymi ciekawymi sprawami, Andreas? Mruży powieki, wyraźnie zaskoczony. Jakby słowo „sprawa” pochodziło z obcego języka, który znał, ale dawno temu.

- Czy pracuję nad sprawami?

- Tak. Nad sprawami.

Spoglądamy sobie w oczy, grzejnik w rogu gulgotce, podkreślając panującą w pokoju ciszę. Nagle pojawia się Culverson.

- Henry Palace - rzuca, stojąc w progu w trzyczęściowym garniturze, pod krawatem, z ciepłym uśmiechem na twarzy. - Człowiek, którego mi trzeba.

Cieszy mnie, że mogę odwrócić się od Andreasa, on chyba też jest z tego zadowolony, w każdym razie już wymacuje przycisk, by ponownie włączyć monitor.

Culverson przywołuje mnie, machając żółtym świstkiem.

- Wszystko w porządku, synu?

- Tak. Wjechałem w drzewo. O co chodzi?

- Znalazłem tego dzieciaka.

- Jakiego dzieciaka?

- Tego, którego szukałeś.

Jak się okazuje, Culverson słyszał, jak wczoraj wydzwaniałem w poszukiwaniu tego wsiowego głupka, męża mojej siostry. Potem, jak to on, dusza nie człowiek, zajął się sprawą i podzwonił gdzie trzeba, a ponieważ jest o wiele lepszym śledczym, niż ja kiedykolwiek będę, znalazł drania.

- Nie wiem, co powiedzieć. - Wzdycham.

- Nie ma o czym mówić - zapewnia mnie, wciąż szczerząc zęby. - Znasz mnie, wiesz, że lubię wyzwania. Zanim jednak rozpląniesz się w podzięcie, rzuć okiem na to, co odkryłem.

Wsuwa mi w dłoń zmiętą karteczkę, a ja czytam, co na niej zapisano, i wydaję głośny jęk. Przez moment nic się nie dzieje.

Culverson się uśmiecha, Andreas ogląda swój film i załamuje spocone ręce.

- Powodzenia, detektywie - mówi Culverson, klepiąc mnie po ramieniu. - Baw się dobrze.

* * *

Myli się.

Mówię o Andreasie.

Tak samo jak ten cały Borstner, bloger, pamflecista czy kim tam naprawdę jest ten drań, który budzi w ludziach płonne nadzieje.

Takich jak on jest więcej, ale wszyscy się mylą, co mnie irytuje, gdyż Andreas ma swoje obowiązki i robotę do wykonania. Obywatele na nim polegają, podobnie jak na mnie.

Mimo to jakiś czas później, pod koniec dnia, zatrzymuję się ponownie przy jego biurku i raz jeszcze oglądam nagranie z Laboratorium Napędu Odrzutowego NASA. Pochyliam się, w gruncie rzeczy nawet garbię, wysilając wzrok. Nie zauważam żadnego odchylenia ani przeskoku w animacji sugerującego błąd danych. Maja nie zbacza z kursu, cały czas leci jak po sznurku. Zmierza prosto do celu, bezbłędnie, nieprzerwanie od czasów przed moim urodzeniem.

Nie będę udawać, że rozumiem cały ten naukowy bełkot, niemniej wiem, że są ludzie, którzy to ogarniają. Mamy wiele obserwatoriów: Arecibo, Goldstone i całą resztę, a do tego z milion, jeśli nie więcej astronomów amatorów śledzących nieustannie lot asteroidy.

Peter Zell pojmował stojącą za tym naukę, śledził wszystkie doniesienia, siedział w domu i przyswajał w milczeniu szczegóły tego, co się dzieje, robił notatki, podkreślał najważniejsze liczby.

Odtwarzam raz jeszcze to nagranie, patrzę, jak asteroida okrąża Słońce, a potem przyśpiesza gwałtownie, prąc prosto

do celu i... Bum!

3.

- Proszę jechać dalej.

Żołnierz ma idealnie kwadratową szczękę, ostre smutne spojrzenie. Jego twarz wydaje się chłodna i obojętna w cieniu szerokiego czarnego hełmu ozdobionego charakterystycznym logo Gwardii Narodowej. Wskazuje mi kierunek lufą broni, która wygląda na półautomat, M-16, jeśli się nie mylę. Jadę dalej. Tego ranka zapiąłem ponownie łańcuchy, trzykrotnie sprawdzając każde łącze i nie zostawiając żadnych luzów. Thom Halburton, nasz mechanik, stwierdził, że wóz powinien jeździć bez problemów pomimo wgniecenia. I jak na razie ma rację.

Choć jestem góra pół kilometra od centrum Concord i wciąż widzę z jednej strony iglicę wieńczącą budynek stanowego parlamentu, a z drugiej billboard reklamujący Outback Steakhouse, znajduję się już w innym świecie. Zasięki z drutu kolczastego, jednokondygnacyjne, pozbawione okien budynki z cegły, asfaltowe drogi dojazdowe oznaczone białymi albo żółtymi strzałkami. Betonowe słupy. Wieże strażnicze. Zielone drogowskazy z wymalowanymi tajemniczymi akronimami. Mnóstwo żołnierzy. Mnóstwo karabinów maszynowych.

Ustawa regulująca prawo w czasie bezpośrednio przed upadkiem asteroidy zawiera sporo tak zwanych czarnych paragrafów, czyli utajnionych rozdziałów dotyczących przepisów dla wszelkiej maści służb mundurowych. Prawdziwa zawartość tychże fragmentów ustawy nie jest znana nikomu prócz tych, którzy ją pisali, czyli członków komisji połączonych sił Kongresu i Senatu, oraz najwyższych dowódców armii i ich kolegów z pokrewnych służb, no i kilku ważniaków ze sfer rządowych.

Wszyscy jednak, mówię oczywiście o policjantach, zdają sobie sprawę, że siły zbrojne Stanów Zjednoczonych uległy daleko idącej reorganizacji: otrzymały znacznie szersze uprawnienia i środki.

Co zrozumiałe, kwatera główna Gwardii Narodowej stanu New Hampshire jest ostatnim miejscem, które chciałbym odwiedzić w ten ponury wietrzny piątkowy poranek, zwłaszcza że tkwię po uszy w sprawie pewnego morderstwa.

Dzięki, Nico. Jestem twoim dłużnikiem.

O dziesiątej czterdzieści trzy wysiadam z chevroleta przed aresztem, pozbawionym okiem niskim budynkiem, na którego dachu rośnie las anten. Dzięki Culversonowi i jego kontaktom dostałem pięć minut, które rozpoczną się dokładnie za kwadrans jedenasta.

Poważna i niezbyt urokliwa kobieta w mundurze oficera rezerwy przygląda się z pół minuty mojemu identyfikatorowi, zanim kiwnie w końcu głową i wskaże krótki korytarz wiodący do masywnych metalowych drzwi z niewielkim kwadratowym okienkiem z grubego pleksiglasu na samym środku.

- Dzięki - rzucam, a ona mruczy coś pod nosem, odwraca się i zastyga znów na swoim miejscu.

Zaglądam przez okienko i widzę go. Derek Skeve siedzi po turecku pośrodku celi, oddychając wolno, ale głęboko.

Na litość boską, ten facet medytuje!

Zwijam dłoń w pięść i stukam w okienko.

- Hej, Skeve. - Puk, puk. - Derek.

Czekam sekundę, po czym znowu się dobijam.

- Hej. - Głośniej, ostrzej. - Derek!

Skeve, wciąż nie otwierając oczu, unosi palec, jak nie przy mierzając recepcjonistka w przychodni, która akurat rozmawia przez telefon. Wściekłość rozpala mi policzki. Mam tego dość, mogę już wracać do domu. Niech ten dureń siedzi w ancylu do przylotu Mai, dostrajając swoje czakry. Tak będzie lepiej

dla nas wszystkich. Powinienem odwrócić się na pięcie, rzucić zdawkowe podziękowanie milusiej pani oficer przy drzwiach, zadzwonić do Nico, przekazać jej złe wieści i podjąć na nowo poszukiwania zabójcy Petera Zella.

Znam jednak swoją siostrę i znam siebie. Cokolwiek jej dzisiaj powiem, jutro i tak tutaj przyjadę.

Walę więc w okienko, dopóki więzień nie wyplącze się z pozycji lotosu i nie wstanie. Skeve ma na sobie przybrudzony kombinezon ozdobiony z przodu literami GNNH, mocno niepasujący do jego długich brudnych dredów, przez które kojarzy mi się z rowerowym posłańcem – którym nawiasem mówiąc, kiedyś był, tylko przez chwilę, jak to on. Policzki zdobi mu kilkunniowa szczecina zarostu.

- Henry - rzuca, uśmiechając się błogo. - Jak się masz, bracie.

- Coś ty nawywijał, Derek?

Skeve wzrusza obojętnie ramionami, jakby ta kwestia go nie dotyczyła.

- Jest, jak jest. Zostałem gościem kompleksu militarno-przemysłowego.

Rozgląda się po celi: gładkie ściany z betonu, wąska prosta prycza pod jedną ścianą, metalowy sedes pod przeciwległą.

Pochyliam się do przodu, czuję dotyk pleksiglasu na policzku.

- Mógłbyś wyrażać się precyzyjniej?

- Jasne. Ale co mam jeszcze powiedzieć? Zostałem aresztowany przez żandarmów.

- Tak, Derek. To widzę. Za co?

- Chyba oskarża się mnie o prowadzenie wszędołazu na gruntach należących do rządu.

- Tak brzmi zarzut czy tylko tak ci się wydaje?

- Wydaje mi się, że tak brzmi zarzut. - Uśmiecha się krzywo, tak że chętnie dałbym mu po gębie, gdybym tylko mógł.

Cofam się od okienka, nabieram tchu, by się uspokoić, po czym spoglądam na zegarek. Jest dziesiąta czterdzieści osiem.

- No dobra, Derek. Czy wjechałeś quadem na teren bazy w jakimś konkretnym celu?

- Nie pamiętam.

Nie pamięta. Spoglądam na niego, stojącego w celi, wciąż kpiąco uśmiechniętego. To doskonała linia obrony dla ludzi, którzy są głupkami albo takich udają.

- W tej chwili nie jestem policjantem, Derek. Jestem twoim przyjacielem... - Milknę, po czym zaczynam jeszcze raz. - Jestem przyjacielem Nico. To moja siostra, bardzo ją kocham. Ona natomiast zakochała się w tobie. Dlatego przyjechałem, by ci pomóc. Zaczynaj więc od samego początku i opowiedz mi dokładnie, co się stało.

- Och, Hank - rzuca, jakby mi współczuł. Jakby moje prośby były w jego oczach zwykłą dziecinadą. - Naprawdę chciałbym móc to zrobić.

- Chciałbyś?

To szaleństwo. Szaleństwo i już.

- Kiedy zostaniesz postawiony w stan oskarżenia?

- Nie wiem.

- Masz chociaż adwokata?

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz? - Zerkam na zegarek. Zostało trzydzieści sekund, już słyszę głośnie człapanie rezerwistki, która właśnie idzie, by mnie stąd wyprowadzić. Jednego nie można odmówić żołnierzom: uwielbiają działać według harmonogramów.

- Derek, przejechałem taki kawał drogi, by ci pomóc.

- Tak, to bardzo miłe z twojej strony, ale wiesz, ja w sumie o nic cię nie prosiłem.

- To prawda, za to Nico mnie błagała. Bo jej na tobie zależy.

- Wiem. Czyż to nie cudowna dziewczyna?

- Czas minął, proszę pana.

To strażniczka. Rzucam więc pośpiesznie w kierunku okienka:

- Derek, nie zdołam ci pomóc, jeśli nie dowiem się, o co tu chodzi.

Jego krzywy uśmiech staje się na moment szerszy, z oczu bije sama dobroć, a potem mój szwagier odwraca się, podchodzi do pryczy i kładzie się na niej, podkładając obie ręce pod głowę.

- Wszystko rozumiem, Henry. Chciałbym ci powiedzieć, ale to tajemnica.

I na tym kończymy. Czas minął.

* * *

Miałem dwanaście lat, a Nico tylko sześć, gdy wyprowadziliśmy się z domu na Rockland i przenieśliśmy na farmę przy Little Pond Road, leżącą mniej więcej w połowie drogi do Penacook. Nathanael Palace, mój dziadek, który dopiero co przeszedł na emeryturę po czterdziestu latach pracy w bankowości, miał szeroki wachlarz zainteresowań: kolekcjonował makiety kolejowe, strzelał, budował ściany z kamienia. Jako dorastający młodzieniec, raczej odludek i mól książkowy, nie byłem tym specjalnie zainteresowany, ale dziadek zmuszał mnie, bym dzielił jego pasje. Z kolei Nico, wiecznie wystraszona samotniczka, którą strasznie to wszystko pasjonowało, była przez niego ignorowana. Pewnego razu zdobył zestaw modeli samolotów z okresu drugiej wojny światowej, usiedliśmy więc we trójkę w piwnicy, gdzie musiałem tkwić całą godzinę, ponieważ dziadek stwierdził, że nie puści mnie, dopóki nie przykleję prawidłowo obu skrzydeł do miniaturowego kadłuba. W tym czasie uzdolniona w tym kierunku Nico musiała siedzieć pod ścianą, czekając na swoją kolej. Trzymała więc garść pomniejszych części modelu, najpierw z ekscytacją, potem z niepokojem, a na końcu ze łzami w oczach.

To chyba była wiosna, niedługo po tym, jak wprowadziliśmy się do niego. Tak właśnie nas traktował, mnie i ją, tamtymi czasami. Przeżyliśmy z nim wiele wzlotów i upadków.

- Zatem pojedziesz tam znowu?

- Nie.

- Dlaczego? Culverson mógłby ci załatwić kolejne widzenie. Może w poniedziałek.

- Nico.

- Henry.

- Nico! - Pochyliam się mocniej, wrzeszcząc do leżącej na fotelu pasażera komórki, którą ustawiłem na głośnik zewnętrzny. Zasięg mam marny, od przekaźnika do przekaźnika, co nie polepsza sytuacji. - Posłuchaj mnie...

Ale ona nie zamierza słuchać.

- Jestem pewna, że go po prostu nie zrozumiałeś. Wiem, że potrafi być dziwny.

- To prawda.

Stoję na parkingu obok tego, co zostało z centrum handlowego Capitol, kilka przecznic od Main Street, opodal brzegu rzeki Merrimack. Ostatnie sklepy w tym kompleksie spłonęły podczas zamieszek w Święto Prezydentów. Od tamtej pory w ruinach roi się od namiotów rozbitych przez bezdomnych i alkoholików. To tutaj Jeżyki zgarnęły pana Shepherdę, mojego niegdysiejszego zastępowego, za włóczęgostwo.

- Wszystko w porządku, Nico? Jadłaś coś?

- Nic mi nie jest. Wiesz, co ja obstawiam? - Coś jej jednak jest. Mówi tak zachrypniętym głosem, jakby od zniknięcia Dereka nie robiła nic innego, tylko odpalała jednego papierosa od drugiego. - Sądzę, że on nie chciał nic mówić w obecności strażników.

- To nie tak - odpowiadam. - Nie, Nico.

Jestem poirytowany. Opowiadam jej, jak łatwo tam się dostać, jak niewielu ludzi pilnuje Dereka.

- Naprawdę?

- Była tam tylko jedna kobieta, rezerwistka. Oni naprawdę mają gdzieś jakiegoś szczyła, który urządził sobie przejażdżkę po ich bazie.

- Dlaczego więc go nie wyciągnąłeś?

- Może dlatego, że zapomniałem magicznej różdżki - stwierdzam.

Nico wypiera rzeczywistość z równym uporem, z jakim jej durny mężulek odmawia współpracy. Taki ma charakter. Moja siostra była mistyczką od dziecka. Święcie wierzyła w istnienie wróżek i cudów, zawsze też pragnęła zaznać magii. Dlatego gdy niespodziewanie zostaliśmy osieroceni, nie chciała przyjąć tego faktu do wiadomości. Zdenerwowała mnie tym do białości, zerwałem się i biegając wokół niej, darłem się jak oszalały: „Oni oboje nie żyją! Koniec, kropka! Nie żyją, nie... ży... ją! Okay? Zero dwuznaczności!”.

Zrobiłem to podczas stypy po ojcu, gdy w naszym domu roiło się od przyjaciół i zatroskanych nieznanym. Nico spoglądała tylko na mnie, wydymając te swoje różowe usteczka. Jako sześciolatka nie rozumiała tak trudnego słowa jak „dwuznaczność”, lecz grobowej powagi, z jaką je wyrzeszczałem, nie dało się z niczym pomylić. Żałobnicy przyglądali się parze rozpaczających sierot w absolutnym milczeniu.

Dzisiaj, teraz, w nowej rzeczywistości, Nico potrafi wypierać prawdę nie gorzej niż w dzieciństwie. Postanawiam więc zmienić temat.

- Nico, jesteś dobra z matmy. Czy liczba 12,375 może coś znaczyć?

- Czy może coś znaczyć? O co ci chodzi?

- Nie wiem. Może to coś w rodzaju pi albo...

- Nie, Henry - rzuca pośpiesznie, a potem kaszle. - Co teraz będzie?

- Daj spokój, Nico. Czy ty mnie w ogóle słuchasz? To wojsko, oni kierują się zupełnie innymi zasadami. Nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć.

Jeden z bezdomnych wytoczył się właśnie z namiotu, więc przywołuję go, machając dwoma palcami. Nazywa się Charles Taylor, chodziliśmy do tej samej szkoły.

- To cholera spadnie niedługo z nieba - mówi tymczasem moja siostra. - Zleci nam prosto na głowy. Nie chcę umierać samotnie, gdy to się stanie.

- Ona nie spadnie nam na głowy.

- Co?

- Wszyscy tak mówią, ale to... czysta arogancja. - Dość już mam tej sytuacji, powinienem na tym zakończyć rozmowę z Nico, lecz nie umiem. - Dwa obiekty poruszają się w przestrzeni po własnych, ale przecinających się orbitach, a w tym momencie, o którym mówisz, znajdują się dokładnie w tym samym miejscu w tym samym czasie. Nic nam nie spadnie na głowy. Zderzymy się z tą asteroidą, rozumiesz? - Wokół zapada nagle dziwna, dzwoniąca w uszach, niesamowita cisza, a ja zdaję sobie sprawę, że wyrzeczczalem ostatnie zdanie. - Nico?... Przepraszam. Nico, jesteś tam?

Odpowiada mi beznamiętnym tonem:

- Ja po prostu za nim tęsknię.

- Wiem.

- Zapomnij, że o cokolwiek cię prosiłam.

- Czekaaj.

- Nie przejmuj się mną. Zajmij się rozwiązywaniem tej swojej sprawy.

Rozłącza się, a ja siedzę w samochodzie roztrzęsiony, jakby mnie ktoś obił.

Bum!

* * *

Distant Pale Glimmers to serial science fiction. Półgodzinne odcinki pojawiają się co tydzień, mniej więcej od Bożego Narodzenia, i cieszą się ogromnym powodzeniem. U nas, w Concord, są wyświetlane w Red River, niezależnym kinie. Filmy opowiadają historię międzygalaktycznego pancernika John Adams, pilotowanego przez generał Amelie Chenoweth, którą gra bombowa Kristin Dallas. Ona też jest scenarzystką i reżyserką. John Adams przemierza odległe rejony wszechświata około roku dwa tysiące sto czterdziestego piątego. Podtekst tej produkcji jest aż nazbyt czytelny, wali człowieka obuchem między oczy: ci, którzy jakimś cudem przetrwają, odbudują cywilizację i powiodą ludzi między gwiazdy.

Poszedłem na ten film niedawno, jakoś na początku marca, razem z Derekiem i Nico. Niespecjalnie mi się spodobał.

Ciekawe, czy Peter oglądał go z nami podczas tego samego seansu? Może sam, a może z J.T. Toussaintem.

Założę się, że tak.

* * *

- Culverson?

- Tak?

- Jak niezawodne są łańcuchy śniegowe chevroleta?

- Nie rozumiem.

- Chodzi mi o łańcuchy. Śniegowe. Do samochodów. Są dobre, prawda? Nie spadają w większości przypadków?

Culverson wzrusza ramionami, nie odkładając czytanej gazety.

- Chyba tak.

Ja siedzę za własnym biurkiem, przed sobą mam błękitne bruliony ułożone równiutko jak od linijki. Staram się zapomnieć o siostrze i żyć własnymi problemami. Sprawą, którą prowadzę. Zginął człowiek.

- Są cholernie dobre - rzuca McGully ze swojego stanowiska, czemu towarzyszy łoskot przednich nóg krzesła zderzających się z posadzką, gdy pochyła się do przodu. Przyniósł sobie kanapkę pastrami z Works, serwetka robi w jego wypadku za śliniaczek, opadając aż na brzuch, wygląda jak piknikowy kocyk.

- W żadnym razie nie mogą spaść same, chyba że źle je zamontowałeś. Co się stało? Wpadłeś w poślizg?

- Tak. Wczoraj wieczorem. Przywaliłem w drzewo.

McGully wgryza się w kanapkę. Culverson mruczy pod nosem: „Jezu”, ale nie chodzi mu o wypadek, tylko o treść artykułu, który właśnie czyta. Andreasa wciąż nie ma, a nasz grzejnik pobrzękuje cicho, emanując fale ciepła. Warstwa śniegu na parapecie wciąż grubieje.

- Zapięcie tego cholerstwa jest naprawdę trudne. Poza tym trzeba je mocno dociągnąć. - McGully uśmiecha się, brodę ma upačkaną musztardą. - Nie zadręczaj się.

- Jasne. Ale wiesz, używam ich od dość dawna. Całą zimę jeździłem na patrole.

- A potem serwisowałeś wóz?

- Nie.

Culverson odkłada w tym momencie gazetę i spogląda za okno. Wstaję, zaczynam łązić w kółko.

- Ktoś mógłby je bez trudu poluzować, nie? Gdyby chciał.

McGully prycha wymownie, potem przełyka szybko spory kęs kanapki.

- U nas na parkingu?

- Nie, gdzieś na zewnątrz, gdy zostawiłem wóz na ulicy.

- Twierdzisz... - urywa i gapi się na mnie, na poły poważnie, na poły kpiąco - ...że ktoś chciał cię zamordować?

- No, w sumie tak.

- Luzując łańcuchy śniegowe? - McGully wybuchają śmiechem, kawałeczki pastrami buchają z jego rozwartych szeroko ust, sypią się na rozłożoną serwetkę, niektóre dolatują aż na blat

biurka. – Wybacz, chłopcze, ale nie chcesz chyba powiedzieć, że żyjemy w filmie sensacyjnym?

– Nie chcę.

– Jesteś może prezydentem?

– Nie.

Od trzech miesięcy ludzie wciąż próbują zabić prezydenta. To jeden z elementów naszej nowej, chorej rzeczywistości – na tym polega żart.

Spoglądam w kierunku Culversona, ale on wciąż błędzi myślami, wpatrując się w opadające wolno płatki śniegu.

– W takim razie bez urazy, przyjacielu – rzuca McGully – ale wątpię, by ktoś chciał cię zabić. Wszyscy mają cię gdzieś.

– No tak.

– To żaden przytyk. Dzisiaj wszyscy mają wszystko gdzieś.

Culverson wstaje raptownie, ciska gazetę do kosza.

– A ciebie co ugryzło? – pyta McGully, odwracając się do niego.

– Pakistańczycy. Chcą ją potraktować głowicą nuklearną.

– Co chcą potraktować głowicą nuklearną?

– Maję. Wydali coś w rodzaju oświadczenia. Nie pozostawiają przetrwania swojego dumnego i niezależnego narodu w rękach zachodnich imperialistów itepe, itede.

– Pakistańczycy, powiadasz? – mruczy McGully. – Poważnie? Sądziłem, że to Iranem powinniśmy się przejmować w tej kwestii, nie nimi.

– Dlaczego? Irańczycy mają złoża uranu, ale nie dysponują rakietami. Nie mogą niczego wystrzelić.

– A Pakistan może?

– Jakieś tam rakiety ma.

Zastanawiam się nad moimi łańcuchami śniegowymi, znów czuję, jak wóz ucieka mi w bok, przypominam sobie wstrząs i huk towarzyszące zderzeniu.

Culverson potrząsa głową.

- Nasz Departament Stanu odpowiedział im w stylu: tylko spróbujcie, a potraktujemy was głowicą nuklearną pierwsi.

- Cudnie - rzuca McGully.

- Dobrze pamiętam, że sprawdzałem niedawno te łańcuchy - wtrącam, więc obaj spoglądają w moim kierunku. - W poniedziałek z samego rana.

- Jezu, Palace!

- Zaraz, momencik. Założmy, że jestem mordercą. Założmy, że jakiś detektyw zaczyna pracować nad moją sprawą, i... i... - milknę, mając świadomość, że czerwienię się nieco - ...jest coraz bliżej mnie. Zależałoby mi na pozbyciu się takiego problemu, nie?

- Owszem - przyznaje McGully, a ja przez moment mam nadzieję, że wreszcie spoważniał, ale on odkłada resztki kanapki i oświadcza uroczyście: - A jeśli to był duch?

- Daj spokój.

- Czemu? Ja mówię całkiem poważnie. - Podchodzi do mnie. Z gęby jedzie mu marynatą. - To duch tego wisielca, który wścieka się na ciebie, że próbujesz udowodnić, że został zamordowany. Dlatego próbuje cię wystraszyć, żebyś porzucił jego sprawę.

- Jasne, McGully, jasne. Tylko jakoś nie uważam, żeby to był duch.

Culverson wyciąga „Timesa” z kosza na śmieci i raz jeszcze czyta ten sam artykuł.

- Tak, masz rację - stwierdza McGully, wracając do biurka i niedokończonego lunchu. - Najprawdopodobniej zapomniałeś podciągać zapięcia.

* * *

Kolejnym ulubionym żartem mojego ojca był ten, którym raził ludzi, gdy pytali go, dlaczego mieszkamy w Concord, skoro on pracuje w Saint Anselm College pod Manchesterem.

Udawał wtedy zaskoczenie i rzucał jakby nigdy nic: „Bo to Concord, u licha!”, jak gdyby to wystarczało za całe wyjaśnienie, jakby chodziło o Londyn albo Paryż.

Zaanektowaliśmy ten żart, Nico i ja, zwłaszcza w czasie okresu dorastania, który w przypadku mojej siostry nigdy tak naprawdę się nie skończył. Dlaczego nie można znaleźć knajpy, w której po dwudziestej pierwszej podadzą porządny stek? Dlaczego w każdym innym mieście stanu New Hampshire otwarto Starbucksa, zanim ta sieć trafiła do nas?

„Bo to Concord, u licha!”

Tak naprawdę rodzice zrezygnowali z przeprowadzki głównie przez wzgląd na pracę mojej mamy. Była recepcjonistką w miejscowej komendzie policji, siedziała za kuloodporną szybą w głównym holu, zajmowała się rejestrowaniem gości oraz przyjmowaniem skarg składanych przez pijaków, włóczęgów i ofiary przestępstw. Zamawiała także okolicznościowe torty w kształcie pistoletów dla odchodzących na emeryturę detektywów.

Zarabiała może połowę tego co ojciec, ale otrzymała tę pracę na długo przed tym, nim spotkała przyszłego męża, a zgodziła się za niego wyjść tylko pod warunkiem, że nie wyjadą z Concord.

Ojciec próbował być zabawny, gdy rzucał to swoje: „Bo to Concord, u licha!”, ale tak naprawdę nie obchodziło go zbytnio, gdzie mieszka. Kochał Peg na zabój i chciał być tam, gdzie ona.

* * *

Jest piątek, późno, około północy. Gwiazdy połyskują blado pomiędzy szarymi kłębami chmur. Siedzę na tylnej werandzie, patrzę na nieużytki, dawne pola uprawne przylegające do domów na naszej ulicy.

Siedzę i wmawiam sobie, że byłem szczery z Nico, że nic więcej nie zdołałbym zrobić.

Ale ona, na moje nieszczęście, ma rację. Kocham ją i nie chcę, by umierała samotnie.

Technicznie biorąc, nie chcę, by w ogóle umierała, ale w tej sytuacji nie mam tu wiele do gadania.

Wszystkie biura zostały już dawno zamknięte, ale i tak wchodzę do domu, podnoszę słuchawkę telefonu stacjonarnego i wybieram numer. Ktoś odbierze. To nigdy nie była firma, którą zamyka się na noc czy na weekend, a ta cała sprawa z asteroidą tylko dodała im pracy, jestem tego bardziej niż pewien.

- Halo - słyszę męski spokojny głos.

- Dobry wieczór. - Odchyłam głowę lekko do tyłu, nabieram głęboko tchu. - Chciałbym mówić z Alison Koechner.

* * *

W sobotę rano biegam, pokonuję osiem kilometrów nietypową trasą, którą sam sobie ułożyłem: docieram przez White Park do Main Street, potem wracam wzdłuż Rockingham, czując na czole kropelki potu zmieszanego z drobnym śniegiem. Od wypadku powłóczę lekko jedną nogą, doskwiera mi także ucisk w piersi, ale jak dobrze jest wyrwać się na zewnątrz, by pobiegać.

Okay. Mogłem zapomnieć o dopięciu jednego łańcucha, to mogło mi się zdarzyć, przyznaję. Działam w pośpiechu, jestem niespokojny. W takiej sytuacji łatwo o przeoczenie. Ale wszystkie cztery?

Po powrocie do domu włączam komórkę i widzę, że mam dwie kreski zasięgu, a także - i co chyba ważniejsze - że prze-gapiłem telefon od Sophie Littlejohn.

- O nie - mruczę, naciskając klawisz poczty głosowej. Byłem na zewnątrz przez trzy kwadransy, może godzinę. Pozwoliłem sobie na wyłączenie telefonu po raz pierwszy od tygodnia, po

raz pierwszy od ujrzenia zwłok Petera Zella w toalecie pirackiego McDonalda.

- Przepraszam, że tak późno do pana oddzwaniam - mówi pani Littlejohn na pozostawionym nagraniu bardzo naturalnym i spokojnym głosem. Przytrzymuję komórkę ramieniem, by otworzyć błękitny brulion i włączyć długopis. - Problem jednak w tym, że nie bardzo wiem, co panu powiedzieć.

Po tych słowach rozpoczyna czterominutową przemowę, w której powtarza to, co usłyszałem wcześniej od jej męża, gdy odwiedziłem ich dom w środę rano. Nigdy nie była zbyt blisko z bratem. Na wiadomość o asteroidzie Peter zareagował strasznie, stał się jeszcze większym odludkiem niż do tej pory. Pani Littlejohn czuje zawód z powodu jego samobójstwa, ale nie jest nim zaskoczona.

- Dlatego - dodaje - dziękuję panu za gorliwość i za troskę...
- Milknie, przez kilka sekund słyszę wyłącznie ciszę, myślę więc, że to już koniec nagrania, ale dobiega mnie jakiś pomruk, wspierający szept kogoś, kto stoi za nią, zapewne przystojnego męża Erika, po czym rozlegają się dalsze słowa: - Mój brat nie był szczęśliwym człowiekiem. Chcę jednak, by pan wiedział, że bardzo mi na nim zależało. Peter był bardzo smutnym człowiekiem, dlatego odebrał sobie życie. Proszę więcej do mnie nie dzwonić.

Piknięcie. Koniec wiadomości.

Siedzę, bębniąc palcami o wykładany glazurą blat kuchenny, ciepły pot po wysiłku stygnie na moim czole, staje się zimny. Pani Littlejohn nie wspomniała o adresowanym do niej liście samobójcy, a przecież stało tam wyraźnie: „Droga Sophie”. Wspomniałem o tym jej mężowi, a on, idę o zakład, na pewno jej to powtórzył.

Oddzwaniam ze stacjonarnego. Najpierw do domu, potem na komórkę, do szpitala i znów do domu.

Może nie odbiera, ponieważ nie rozpoznaje numeru, na wszelki wypadek wybieram więc te same połączenia ponownie, tym razem z komórki, tyle że w trakcie czekania na sygnał tracę zasięg. Jeszcze przez chwilę trzymam w dłoni durny kawał martwego tworzywa, po czym ciskam nim w złości na drugi koniec kuchni.

* * *

Nie dostrzeżesz tego w oczach ludzi, nie w taką pogodę, gdy wszyscy naciągają mocno czapki na głowy i patrzą pod nogi na oblodzone chodniki. Zauważysz to jednak w ich ruchach, w powłóczeniu nogami. Rozpoznasz tych, którzy nie przetrwają. O, jest samobójca. Tamten facet. Nie przetrwa. Ale ta nie odbierze sobie życia. Mówię o kobiecie idącej stanowczym krokiem z podniesioną głową. Ona wytrzyma, zrobi co w jej mocy, będzie się modlić do tego, w kogo lub w co wierzy, doczeka do samego końca.

Ze ściany dawnego biurowca kłuje w oczy graffiti: KŁAMSTWA KŁAMSTWA SAME KŁAMSTWA.

Idę do Somerset Diner na samotną kawalerską sobotnią kolację, ale zbaczam z trasy, by przejść obok McDonalda na Main Street. Obrzucam wzrokiem pusty parking, strumień ludzi wlewający się do wnętrza i wylewający na zewnątrz. Ci drudzy trzymają w dłoniach papierowe torby, z których unosi się para. Przy bocznej ścianie budynku stoi przepelniony kontener na śmieci, częściowo przesłaniający boczne wyjście. Zatrzymuję się na sekundę, wyobrażam sobie, że jestem mordercą. Mam wóz z silnikiem przerobionym na olej roślinny albo zwykły, z cudem zdobytym paliwem.

Mam ciało w bagażniku.

Czekam cierpliwie na nadejście północy. Na moment, w którym kończy się normalny wieczorny ruch, ale zanim pojawią

się pierwsze nocne marki. Wtedy restauracje świecą zazwyczaj pustkami.

W końcu, obrzuciwszy jeszcze jednym spojrzeniem pogrążony w mroku parking, otwieram bagażnik i wydaję z niego naszego przyjaciela. Podpieram ciało i ciągnę je za sobą. Razem wyglądamy jak para opierających się wzajemnie o siebie pijaków. Mijam śmietnik i wchodzę bocznymi drzwiami prosto do korytarzyka, przy którym znajduje się męski kibel. Zamykam zasuwkę, zdejmuję pasek...

Gdy docieram do mojej knajpki, Ruth-Ann wita mnie skinieniem głowy, po czym napełnia mój kubek kawą. W kuchni słuchają Dylana, Maurice podśpiewuje razem z nim tekst do *Hazel*. Odsuwam menu, otaczam się błękitnymi brulionami. Przetrawiam zebrane do tej chwili fakty.

Peter Zell zginął pięć dni temu.

Pracował w ubezpieczeniach.

Uwielbiał matematykę.

Miał obsesję na punkcie nadlatującej asteroidy, zbierał o niej informacje i śledził jej przelot na niebie. Gromadził wszystkie informacje na ten temat i trzymał je w pudełku opisanym z nieznanego mi jeszcze powodu liczbą 12,375.

Jego twarz. Zginął, mając siniaka pod prawym okiem.

Nie utrzymywał bliskich kontaktów z rodziną.

Jego jedynym przyjacielem był facet o nazwisku J.T. Toussaint, którego lubił w dzieciństwie i z którym z jakiegoś powodu postanowił odnowić znajomość.

Siedzę nad jedzeniem przez godzinę, czytając w kółko wszystkie notatki, mamrocząc do siebie pod nosem, rozganiając machnięciami ręki chmury dryfującego od strony sąsiednich stolików dymu tytoniowego. W którymś momencie Maurice wychodzi z kuchni w białym fartuchu, staje nade mną, podpierając się pod boki i rozczarowany spogląda na talerz.

- W czym problem, Henry? - pyta. - Znalazłeś biedroneczkę w jajecznicy czy co?

- Po prostu nie jestem głodny. Nie bierz tego do siebie.

- Wiesz, jak nie lubię marnować żarcia - rzuca Maurice, okraszając tę wypowiedź piskliwym chichotem, więc podnoszę głowę, wyczuwając nadchodzącą puentę. - Ale to przecież nie koniec świata!

Śmiech kucharza milknie, a on sam wtacza się z powrotem do kuchni.

Wyciągam portfel, wolno odliczam trzy dziesiątki za rachunek i dorzucam tysiąc dolarów napiwku. Knajpa musi sprostać cenom urzędowym albo zostanie zamknięta, dlatego robię co mogę, by ją wspomóc.

Potem zbieram swoje błękitne bruliony i je pakuję.

Generalnie wiem, że nic nie wiem.

4.

- Hej, Palace.

- Tak? - Mrużę oczy, chrząkam, pociągam nosem. - Kto mówi?

Odszukuję wzrokiem zegar. Piąta czterdzieści dwie. Niedzielny poranek. Cały świat realizuje plan Victora France'a. Jakie tam spanie, trzeba być zwartym i gotowym o każdej porze.

„Adwentowy kalendarz... zagłady”.

- Tu Trisha McConnell. Przepraszam, że cię budzę.

- Nic nie szkodzi. - Ziewam, przeciągam się. Nie rozmawiałem z posterunkową McConnell od kilku dni. - Co się dzieje?

- Naprawdę przykro mi, że cię niepokoję. Chciałam poinformować, że znalazłam telefon ofiary.

Dziesięć minut później jest już u mnie w domu - małe miasto, zero ruchu - i siedzimy przy rozchwierutanym stole kuchennym, który kołysze się za każdym razem, gdy ktoś podnosi bądź odstawia kubek kawy.

- Nie umiałam pozbyć się z myśli tego miejsca zdarzenia - wyznaje McConnell odziana w mundur od czapki po służbowe obuwie. Wzdłuż nogawek jej granatowych spodni biegną szare lampasy. Jest skupiona, zdeterminowana, to kobieta, która ma coś do powiedzenia. - Wciąż tłukło mi się po głowie.

- Mnie także - przyznaję półgłosem.

- Wszystko tam wydawało się takie... niewłaściwe. Wiesz, o czym mówię?

- Wiem.

- Zwłaszcza brak komórki. Wszyscy je przecież noszą. Na okrągło. Nawet teraz, prawda?

- Prawda. - Wszyscy poza żoną Danny'ego Dotsetha.

- Zatem... - McConnell podnosi palec dla wzmocnienia dramaturgii, a kącik jej ust wykrzywia się w przebiegłym uśmiechu. - Dwie noce temu, mniej więcej w połowie dyżuru w rewirze siódmym, w końcu na to wpadłam. Ktoś musiał ofierze podwędzić telefon.

Kiwam głową, powoli, z mądrą miną, jakbym dawał do zrozumienia, że też na to wpadłem, ale zlekceważyłem ten trop dzięki wiedzy, jaką dysponują tylko detektywi. W tym samym czasie okładam się mentalnie pięściami, ponieważ zupełnie zapomniałem o tym telefonie.

- Sądziś, że mógł go zabrać morderca?

- Nie, Hank. - Kucyk miota się tam i z powrotem, gdy McConnell zaprzecza stanowczym ruchem głowy. - Sam mówiłeś, że denat miał przy sobie portfel. Portfel i klucze. Gdyby ktoś zamordował go na tle rabunkowym, zabrałby to wszystko, prawda?

- Ktoś mógł go zabić tylko dla komórki - rzucam. - Dla czegoś, co w niej było. Numer. Zdjęcie. Albo informacje.

- Nie sądzę.

Wstaję, by odstawić kubki na blat. Stół za mną znów się chybocze.

- Uważam, że to nie był morderca, tylko ktoś przypadkowy, klient albo pracownik restauracji - mówi McConnell. - Jakiś człowiek ukradł komórkę z kieszeni denata.

- Okradanie zwłok to poważne przestępstwo.

- Owszem - zgadza się ze mną. - Ale ryzyko wpadki niewielkie, jak doskonale wiesz.

Zerkam na nią zza blatu, gdzie przelewam kawę z dzbanka do kubków.

- Słucham?

- Powiedzmy, że jestem zwykłym obywatelem. Nie kimś bezrobotnym albo spłukanym, ponieważ stać mnie na codzienną wizytę w restauracji.

- Okay.
- Mam robotę, ale nie najlepszą. Gdybym więc opchnęła komórkę komuś, kto zajmuje się odzyskiem kadmu, mogłabym sporo zarobić. Wystarczyłoby mi na miesiąc albo i dwa dobrego życia, kto wie, czy nie mogłabym rzucić roboty aż do samego końca. Mamy więc nagrodę, i to kuszącą.
- Tak, tak. - Podoba mi się sposób, w jaki to sobie układa.
- Stoję więc w tym McDonalddie, wiem, że gliny już jadą - kontynuuje McConnell. - Myślę sobie, jest dziesięć procent szans, że zostanę złapana.
- W sytuacji gdy gliniarze mają się pojawić na miejscu zdarzenia? Powiedziałbym, że dwadzieścia pięć procent.
- Jednym z nich jest Michelson, więc powiedzmy, że osiemnaście.
- Czternaście nawet. - Śmieje się, ja także, ale myślę o moim ojcu, o Szekspirze i o J.T. Toussaincie: motywy przeanalizowane pod kątem matrycy nowych czasów. - Jeśli jednak zostaniesz złapana, nie ma zmiłuj, masz sto procent szans, że zginięsz w więzieniu.
- Cóż - odpowiada, nadal pewna swego. - Jestem młoda. Jestem cwana. Decyduję się na podjęcie ryzyka.
- Dobra. Kupuję tę wersję - stwierdzam, dolewając mleka do swojej kawy. - Kto ukradł telefon?
- Ten dzieciak, który stał na kasie.
- Przypominam go sobie natychmiast, oślizgły typ, pryszczaty, z przekrzywionym daszkiem, spoglądający to na zniechęconego szefa, to na zniechęconych gliniarzy. I ta mina zdająca się obwieszczać wszystkim wokół: „Zrobiłem was w konia, palanty!”.
- A to gnojek - mruczę. - A to gnojek.
- McConnell promienieje. Wstąpiła do policji w lutym minionego roku, więc służyła - ile to będzie? - cztery miesiące, zanim

ktoś chwycił za siekierę i przywalił nią w sam środek łba ludzkości.

- Zameldowałam centrali, że opuszczam patrolowany teren, sam wiesz, jak teraz jest, nikt się niczym nie przejmuje, i pojechałam prosto do tego McDonalda. Wchodzę do środka, a ten dzieciak zaczyna uciekać, ledwie zobaczył moją minę. Przeskoczył przez ladę, dopadł do drzwi i gna jak wicher przez parking. Ale ja myślę sobie: nic z tego, przyjacielu. Nic z tego.

Rozbawiła mnie.

- Nic z tego.

- Wyciągam pistolet i ruszam w pościg za nim.

- Nie mów.

- Tak zrobiłam.

Niesamowite. Dwudziestoosmioletnia McConnell ma może metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, waży góra pięćdziesiąt kilogramów i wychowuje samotnie dwójkę dzieci. Teraz zrywa się na równe nogi i zaczyna chodzić po mojej kuchni, żywo gestykulując.

- Pognał na ten niewielki plac zabaw obok. Powiadam ci, gnojek był prędko jak ten Struś Pędziwiatr, śmigał równie szybko po żużlu, jak i po tej brei, w którą zamienia się śnieg. Krzyczę więc: „Policja! Policja! Stój, skurwielu!”.

- Nie mów, że naprawdę wrzeszczałaś: „Stój, skurwielu!”.

- Wrzeszczałam. Nie mogłam sobie tego odmówić. To była moja ostatnia szansa, żeby gonić podejrzanego, drąc się: „Stój, skurwielu!”.

McConnell zakuła łebka w kajdanki i przycisnęła go ostro tam, na miejscu, na placu zabaw przy West Street. Pękł raz-dwa. Opchnął komórkę paniusi o niebieskich włosach, nazwiskiem Beverly Markel, która ma taki geszeft obok zabitego dechami biura poręczyciela zaraz przy budynku sądu hrabstwa. Markel jest złociarą, skupuje monety i sztabki, ale na boku prowadzi także lombard. McConnell poszła tym tropem:

Beverly zdążyła już sprzedać feralną komórkę jakiemuś grubasowi imieniem Conrad, który skupuje baterie litowo-jonowe, bo zamierza się kontaktować z obcą rasą lecącą na Ziemię aż z Andromedy, by ocalić ludzkość i zabrać ją na pokłady swoich okrętów ratunkowych. McConnell złożyła owemu Conradowi wizytę, a on, gdy w końcu dotarło do niego, że przybyła nie z kosmosu, tylko z komendy policji, niechętnie oddał jej, o dziwo, wciąż nietknięty telefon.

Komentuję finał tej dramatycznej opowieści cichym, za to przeciągłym gwizdem aprobaty, a potem zaczynam bić brawo. McConnell w tym czasie wyjmuje rzeczoną komórkę i kładzie ją na stole pomiędzy nami: jest to płaski czarny smartfon, lśniący i gładki. Ta sama marka i model co mojego telefonu, więc przez moment mam wrażenie, że naprawdę należy do mnie i że Peter Zell zginął, jakimś cudem mając przy sobie moją własność.

- Cóż mogę powiedzieć... - Podnoszę telefon, czuję na dłoni jego chłód i wagę. Wydaje mi się, że trzymam w ręku jeden z organów wewnętrznych Zella, nerkę albo półkulę mózgową.
- Odwaliłaś kawał doskonałej policyjnej roboty.

Ona spogląda na własne dłonie, potem na mnie i tak to się kończy. Siedzimy w ciszy poranka, dwoje ludzi na tle jedyne go okna skromnej białej kuchni. Na zewnątrz słońce próbuje się przebić przez gęstą zasłonę wiszących bardzo nisko chmur. Mam z tego miejsca znakomity widok, zwłaszcza o świcie: sosnowy zagajnik, pola uprawne w oddali, tropy jeleni przecinające połacie dziewiczego śniegu.

- Będzie z ciebie kiedyś znakomity detektyw - stwierdzam.
- Wiem, wiem - odpowiada z uśmiechem, dopijając kawę. - Nie mam co do tego wątpliwości.

* * *

Po włączeniu komórki Petera Zella widzę zdjęcie Kyle'a Littlejohna, jego siostrzeńca szalejącego na lodzie, z twarzą zakrytą maską hokejową i szeroko rozstawionymi łokciami.

Dzieciak musi być przerażony, myślę i przymykam oczy, by odpędzić od siebie ten obraz. Trzymaj się tematu, nakazuję sobie. Nie rozpraszaaj się.

Moje pierwsze spostrzeżenie jest takie, że na liście ostatnich połączeń, obejmującej trzy miesiące, są dwie rozmowy opisane imieniem i nazwiskiem Sophie Littlejohn. Pierwsza została przeprowadzona w minioną niedzielę za piętnaście dziesiąta rano i trwała tylko dwanaście sekund, akurat tyle, ile trzeba, by usłyszeć zgłoszenie automatycznej sekretarki albo by Sophie odebrała, rozpoznała głos brata i odłożyła słuchawkę. Druga rozmowa trwała trzynaście sekund, a odbyła się w poniedziałek, w dniu śmierci Zella, tym razem o wpół do dwunastej przed południem.

Wyciągam błękitny brulion i zapisuję w nim wszystkie te informacje, ołówek sunie po papierze z cichym skrobaniem, w tle słyszę bulgot zaparzonej kawy, drugiej tego dnia.

Kolejna obserwacja jest taka, że w ciągu tych samych trzech miesięcy Peter łączył się siedmiokrotnie z innym numerem, opisanym jako J.T.T. Większość rozmów miała miejsce w poniedziałki popołudniami, być może chodziło o umówienie się na kolejny seans *Distant Pale Glimmers*. Ostatnie połączenie, przychodzące, trwało minutę i czterdzieści sekund. Rozmawiali w zeszły poniedziałek kwadrans po trzynastej.

Ciekawe... Ciekawe... Bardzo ciekawe. Dzięki raz jeszcze, posterunkowa McConnell.

Trzecie spostrzeżenie sprawia, że serce zaczyna bić mi mocniej. Nie ruszam się z miejsca, nawet gdy słyszę natarczywe pikanie ekspresu do kawy. Siedzę przy stole i gapię się tępo na ekran smartfona, a w głowie mam okropny mętlik. Albowiem zauważyłem na liście nieopisany numer, z którym Peter Zell

połączył się na całe dwadzieścia dwie sekundy o dwudziestej drugiej w noc swojej śmierci.

I rozmowę z poprzedniego wieczora, z tym samym odbiorcą i o tej samej godzinie, ale trwającą aż czterdzieści dwie sekundy.

Przewijam listę jeszcze raz, palce tańczą na ekranie komórki, szybko, coraz szybciej. Każdego wieczora ten sam numer. Równo o dziesiątej. Wszystkie połączenia wychodzące. Żadne nie trwało dłużej niż minutę.

Telefon Petera Zella łapie zasięg w moim domu, całe dwie kreski, podobnie jak mój. Dzwonię więc na ów tajemniczy numer i ktoś odbiera już po dwóch sygnałach.

- Halo.

Moja rozmówczyni odzywa się niewyraźnie, prawie szeptem, jest zmieszana - a ja to doskonale rozumiem. Nie co dzień dzwoni do człowieka nieboszczyk.

Ale i tak rozpoznaję ją bez trudu.

- Pani Eddes? Mówi detektyw Henry Palace z miejscowej komendy policji. Obawiam się, że musimy odbyć kolejną rozmowę.

* * *

Przychodzi wcześniej, ale ja i tak zdołałem ją uprzedzić. Zauważa mnie bez trudu i natychmiast zbliża się do łóżka, którą zajmuję. Podnoszę się z siedziska, choć nie do końca, to taki miły gest podpatrzony u ojca, a ona siada naprzeciwko mnie. Zanim opadnę z powrotem na siedzisko, wyrażam podziękowanie za to, że przyszła. Dodaję też, że musi mi powiedzieć wszystko, co wie o Peterze Zellu i niejasnych okolicznościach jego śmierci.

- Mój Boże - rzuca łagodnym tonem, biorąc do ręki gruby jałospis w błyszczącej okładce. - Nie traci pan czasu, jak widzę.

Potakuję, po czym raczę ją kolejną przemową twardziela, z której wynika dobitnie, że musi mi powiedzieć wszystko, co wie. Wcześniej mnie okłamała, pominęła istotne detale, więc daję jej do zrozumienia, że nie będę tolerował kolejnych uników i wykrętów. Naomi Eddes spogląda na mnie, unosząc wysoko brwi. Usta ma pomalowane ciemnoczerwoną szminką, w niemal okrągłych oczach czai się mrok. Kopuła jej nagiego ciemienia lśni w blasku lamp.

- Co będzie, jeśli tego nie zrobię? - pyta z pełnym spokojem, spuszczać wzrok na kartę dań. - To znaczy jeśli nie powiem panu wszystkiego?

- Problem w tym, że jest pani kluczowym świadkiem. - Przećwiczyłem tę kwestię kilkakrotnie z samego rana, mając jednak nadzieję, że nie będę musiał jej wygłaszać. - Zważywszy na zdobyte informacje i fakt, że pani numer przewija się wielokrotnie w telefonie ofiary... - Powinienem bardziej się do tego przyłożyć; zgrywanie twardziela wychodzi mi znacznie lepiej przed kimś takim jak Victor France. - I mając na względzie, że podczas naszej ostatniej rozmowy postanowiła pani zataić tę informację. Krótko mówiąc, mogę panią zgarnąć.

- Zgarnąć?

- Aresztować. Zgodnie z prawem stanowym. I federalnym też. Kodeks karny stanu New Hampshire, w paragrafie... - Wyciągam nerwowym ruchem paczuszkę cukru z pojemniczka stojącego na środku stołu. - Musiałbym sprawdzić, który to paragraf, ponieważ nie pamiętam.

- Okay - odpowiada z poważną miną. - Rozumiem. - Uśmiecha się, oddycha głębiej, ale to jeszcze nie koniec. - Na jak długo?

- Na... - Także spuszczam wzrok, nie patrzę jej w oczy. Przekazuję złe wieści paczuszce cukru. - Na całą resztę czasu.

- Zatem innymi słowy, jeśli nie zacznę natychmiast śpiewać - stwierdza - wrzuci mnie pan do ciemnego lochu i pozwoli

w nim gnić, dopóki nie przyleci Maja i nie rozpieprzy całego świata. Dobrze pana zrozumiałam?

Przytakuję w milczeniu, a gdy podnoszę głowę, zauważam na jej twarzy rozbawienie.

- Cóż. Wątpię, aby był pan do tego zdolny.

- Dlaczego?

- Moim zdaniem pan chyba na mnie leci.

Nie wiem, co na to powiedzieć, naprawdę nie wiem, ale moje palce wyzywają się na krawędzi tej nieszczęsnej paczuszki z cukrem. Ruth-Ann przychodzi z odsieczą. Nalewa mi świeżej kawy do kubka, potem przyjmuje od Naomi zamówienie na niesłodzoną mrożoną herbatę. Widząc przede mną wysypaną kupkę cukru, krzywi się, ale odwraca bez słowa i znika w kuchni.

Zwracam się do Naomi:

- W poniedziałek rano poinformowała mnie pani, że nic pani nie łączyło z Peterem Zellem. Okazuje się, że to nieprawda.

Wydyma wargi, prychna.

- Nie możemy zacząć od innego tematu? - pyta. - Nie chce pan wiedzieć, dlaczego jestem łysa?

- Nie. - Przewracam kartkę błękitnego brulionu i cytuję: - Detektyw Palace: „Jest pani asystentką pana Gompersa?”. Pani Eddes: „Niech pan da spokój. Jestem sekretarką”.

- Spisał pan to wszystko? - Rozwija serwetę ze sztucami, zaczyna się bawić widelcem.

- Detektyw Palace: „Czy znała pani dobrze ofiarę?”. Pani Eddes: „Szczerze powiedziawszy, wątpię, abym zauważyła jego nieobecność. Jak już wspomniałam, nie byliśmy ze sobą zżyci”.

- Odkładałam brulion, pochylałam się nad blatem i wyjmuję jej widlec z dłoni, jakbym był troskliwym rodzicem. - Skoro nie byliście ze sobą zżyci, dlaczego wydzwaniał do pani co wieczór?

Odbiera sztuciec.

- Dlaczego nie pyta pan o moją łysinę? Sądzi pan, że mam raka?

- Nie, proszę pani. - Przyglądam węża. - Na podstawie obserwacji gęstości i podwinięcia pani rzęs mogę przypuszczać, że miała pani piękne długie włosy. Uznała pani jednak, że w obliczu zbliżającego się końca szkoda marnować czas na ich pielęgnację. Całe to czesanie, mycie i co tam wy, kobiety, robicie jeszcze z nimi.

Patrzy na mnie, potem gładzi dłonią blady czerep.

- Jest pan bardzo domyślny.

- Dziękuję. - Kłaniam się jej lekko. - A teraz wracajmy do Petera Zella.

- Najpierw zamówienie.

- Pani Eddes!

Unosi ręce w błagalnym geście.

- Proszę.

- No dobrze. Najpierw zamówienie.

Jestem taki zgodny, ponieważ już wiem, że będzie mówić. Wyzna mi wszystko, co zataiła wcześniej, czuję, że to tylko kwestia czasu. Budzi się więc we mnie ta dziwna nerwowość, to mrowienie towarzyszące niecierpliwemu wyczekiwaniu, jakbym szedł na randkę, mając świadomość, że skończy się na całowaniu - może nawet na czymś więcej - tylko muszę wykazać się cierpliwością.

Naomi zamawia kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorem, co Ruth-Ann kwituje zwięźłym: „Dobry wybór, moja droga”. Ja proszę o omlet z trzech jaj i pełnoziarnistego tosta, co zostaje skomentowane uwagą, że mają w menu wiele dań nieskładających się wyłącznie z jajek.

- Zamówiliśmy - rzucam, gdy kelnerka odchodzi.

- Jeszcze minutkę. Porozmawiajmy o panu. Kto jest pana ulubionym piosenkarzem?

- Bob Dylan.

- A ulubiona książka?

Upijam łyk kawy.

- Teraz czytam *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego* Gibbona.

- No tak - mruczy - ale ja pytałam o ulubioną.

- *Strażnicy*, to taka powieść graficzna z lat osiemdziesiątych.

- Znam ten tytuł.

- Dlaczego Peter Zell wydzwaniał do pani codziennie o dwudziestej drugiej?

- Sprawdzał, czy jego zegarek dobrze chodzi.

- Pani Eddes!

- Był uzależniony od morfiny.

- Co takiego?

Przyglądam się jej profilowi - obróciła się właśnie bokiem, by wyrzeć przez okno - i nie mogę się otrząsnąć ze zdziwienia. Czuję się tak, jakby powiedziała, że Peter Zell był indiańskim wodzem albo generałem Armii Czerwonej.

- Uzależniony od morfiny?

- Tak, to chyba była morfina. W każdym razie jakiś opiat. Ale nie teraz... już nie... to znaczy on nie żyje... ale ja... - Milknie, potoczność znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, potrząsa więc głową i zaczyna mówić wolniej. - Przez jakiś czas, jeszcze w ubiegłym roku, był uzależniony od czegoś, ale potem przestał brać.

Kontynuuje, a ja słucham uważnie, zapisując każde słowo, które pada z jej ust, mimo że najbardziej chłonna część mojego umysłu czepia się jak rzep nowej informacji - uzależniony od morfiny albo jakiegoś innego opiatu, ale tylko przez pewien czas - i zaczyna ją przeżuwać, wysysać do szpiku i decydować, czy warta jest strawienia. Czy to może być prawda.

- Zell nie miał skłonności do korzystania z życia, jak pan zapewne już zauważył - mówi Naomi. - Żadnego alkoholu. Żadnych prochów. Nawet nie palił. Nie miał nałogów.

- Zgadza się.

Peter grywał za to w Dungeons & Dragons. Układał w kolejności alfabetycznej opakowania płatków śniadaniowych. Wpisywał w tabele dane i analizował je.

- Zeszłego lata, gdy doszło do tego wszystkiego, chyba poczuł, że powinien coś zmienić. - Uśmiecha się ponuro. - Nowy styl życia. Tak przy okazji, opowiedział mi o tym jakiś czas później. Nie byłam świadoma jego wyborów, gdy je podejmował.

Zapisuję: „Minione lato. Zmiana stylu życia”. Pytania cisną mi się na usta, ale zmuszam się do milczenia, siedzę w bezruchu, pozwalając jej mówić, skoro już zaczęła.

- Ale wie pan - ciągnie Naomi - ten romans z substancjami odurzającymi chyba nie poszedł po jego myśli. A może raczej: zaczęło się nieźle, lecz skończyło marnie. Jak zwykle, wie pan.

Przytakuje, jakbym wiedział, choć znam ten temat wyłącznie z materiałów szkoleniowych i kryminałów. Osobiście jestem taki jak Peter: piwko od czasu do czasu, a nawet to niekoniecznie. Zero trawki, zero fajek, zero gorzały. Od zawsze. Chuderlawy szesnastoletni kandydat na policjanta siedzący w knajpie z zaczytanym egzemplarzem *Gry Endera*, podczas gdy jego kumple palą na parkingu blanty albo dzielą się zawartością fioletowego ceramicznego bongo, a potem wracają ujarani i weseli do lokalu - tego lokalu. Nie wiem dlaczego. Chyba po prostu nie pociągają mnie tego typu sprawy.

Dostajemy zamówione dania, więc Naomi przerywa, by zająć się dekonstrukcją kanapki. Układa na talerzu trzy stosiki: warzywa tu, pieczywo tam, bekon na sam skraj. Ja natomiast jestem wewnętrznie rozedrgany, nie mogę przestać myśleć o nowych kawałkach układanki, które spadły mi prosto z nieba. Próbuje zrozumieć ich znaczenie i spasować je, zupełnie jak w tej starej grze wideo.

Asteroida.

Pudełko na buty.

Morfina.

J.T. Toussaint.

Wreszcie 12,375. Dwanaście przecinek trzysta siedemdziesiąt pięć czego?

Uważaj, Henry, napominam się. Słuchaj. Podążaj za tropami.

- Mniej więcej w październiku Peter przestał brać - kontynuuje Naomi, przechylając głowę i przymykając oczy.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

- Okay.

- Ale wiem, że cierpiał.

- Syndrom odstawienia.

- Tak. Próbował to ukryć, ale nie zdołał.

Notuję, usiłując ulokować te wszystkie wydarzenia na linii czasu. Stary Gompers opowiadał mi tubalnym głosem przepojonym żniem i apatią o tym, że Peter wyciął numer w pracy, wydarł się na jakąś nieszczęsną dziewczynę. Tę przebraną za asteroidę. W Halloween.

Naomi nie przestaje mówić.

- Odstawienie morfiny jest trudne, właściwie prawie niemożliwe. Dlatego zaoferowałam mu pomoc. Powiedziałam, żeby nie wychodził z domu przez jakiś czas.

- Okay...

„Tydzień?“, powiedział Gompers. „Może dwa? Myślałem już, że zrezygnował na dobre, ale on nieoczekiwanie wrócił. Pojawił się bez słowa wyjaśnienia i znów był taki jak przedtem”.

- Ja tylko zaglądałam do niego każdego ranka, gdy szłam do pracy. Czasami w porze lunchu. Upewniałam się, czy niczego mu nie brakuje. Przynosiłam upraną pościel albo zupe, czegokolwiek potrzebował. Nie miał żadnej rodziny. Ani przyjaciół.

Jakoś tak na tydzień przed Świętem Dziękczynienia, dodaje Naomi, Peter znów był na chodzie. Nogi miał wciąż jak z waty, ale był gotów wrócić do pracy i analizowania danych.

- To wtedy zaczął dzwonić do pani co wieczór?

- Cóż, noc to najtrudniejszy czas, a on był przecież samotny. Dlatego kazałam mu się meldować każdego wieczora. Dzięki temu ja wiedziałam, że nic mu nie jest, a on miał świadomość, że ktoś czeka, by usłyszeć jego głos.

- Każdego wieczora?

- Kiedyś miałam psa - stwierdza. - To było o wiele bardziej uciążliwe.

Przeżuwam to, co od niej usłyszałam, żałując, że Naomi nie sprawia wrażenia całkowicie szczerzej.

- Dlaczego powiedziała mi pani, że nie byliście zżyci?

- Bo nie byliśmy. Przed minioną jesienią, zanim doszło do tego wszystkiego, nie zamieniliśmy ze sobą słowa.

- Skąd więc tyle poświęcenia dla obcego faceta?

- Musiałam coś zrobić. - Spuszcza wzrok. - Przecież on cierpiał.

- To prawda, ale poświęciła mu pani mnóstwo wysiłku i czasu. I to w takim okresie.

- Właśnie. O to chodzi. - Przestaje się rozglądać, patrzy prosto na mnie, oczy jej błyszczą, jakby chciała mnie sprowokować, żebym podważył taki naciągany motyw, jakim jest zwykła ludzka dobroć. - W takim okresie.

- Skąd miał siniec?

- Ten pod okiem? Nie wiem. Jakies dwa tygodnie temu przyszedł z nim do pracy, twierdząc, że spadł ze schodów.

- Uwierzyła mu pani?

Wzrusza ramionami.

- Jak już wspomniałam...

- ...nie byliście zżyci.

- Tak.

Nagle nabieram ochoty, by pochylić się nad stołem, chwycić ją za dłonie i powiedzieć, że będzie dobrze, że wszystko będzie dobrze. Ale nie mogę czegoś takiego zrobić. To byłoby

nie w porządku. Nie mogę jej powiedzieć, że będzie dobrze, ponieważ nie będzie i ponieważ muszę zadać jeszcze jedno pytanie.

- Naomi - zaczynam i zauważam w jej oczach błysk. Po raz pierwszy zwróciłem się do niej po imieniu. - Co robiłaś na parkingu przed restauracją tamtego ranka?

Iskierki w jej oczach gasną, twarz tężeje, policzki bledną. Żałuję, że o to zapytałem. Żałuję, że nie jesteśmy zwykłą parą, że nie zamówimy zaraz deseru.

- Często o tym mówił. Przez telefon, zwłaszcza w okolicach grudnia. Odstawił prochy, byłem przekonana, że to zrobił, ale wciąż nie był do końca szczęśliwy. Z drugiej strony, kto dzisiaj ma powody do prawdziwego szczęścia? Czy w tych okolicznościach w ogóle można mówić o szczęściu?

- Chyba nie. Zatem chcesz powiedzieć, że wspominał o tym McDonaldzie?

Naomi kiwa głową.

- Tak. Pytał, czy znam to miejsce. Twierdził, że gdyby miał odebrać sobie życie, to właśnie tam. Tylko spójrz, mówił. - Milczę, z głębi lokalu dobiega dzwonięcie łyżeczek o kubki. Słyszę też szmery melancholijnych rozmów. - W każdym razie gdy nie pojawił się w pracy, pomyślałam, że pójdę do tego McDonalda. Wiedziałam. Wiedziałam, że tam go znajdę.

Z radia w kuchni dobiegają takty otwierające *Mr Tambourine Man*.

- Hej - rzuca Naomi. - To przecież Dylan. Lubisz ten kawałek?

- Nie. Podobają mi się tylko jego piosenki z lat siedemdziesiątych i to, co nagrał po tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym.

- To niedorzeczne.

Zbywam ją wzruszeniem ramion. Słuchamy przez minutę. Muzyka gra. Naomi odgryza kawałek pomidora.

- Moje rzęsy, tak?

- Tak.

* * *

To najpewniej nieprawda.

Ta kobieta mnie zwodzi, z niewiadomych jeszcze powodów kieruje na niewłaściwe tory.

Z perspektywy moich dotychczasowych odkryć sama myśl, że Peter Zell eksperymentował z twardymi narkotykami - nie wspominając już o znalezieniu do nich dostępu i zapłaceniu niesamowicie wysokiej ceny oraz o ryzyku naprawdę surowej kary według przepisów ustanowionych po pojawieniu się Mai - wydawała się bardziej niż niedorzeczna. Jedna szansa na milion, chciałoby się powiedzieć. Z drugiej strony, jak widać, nawet przy tak minimalnym prawdopodobieństwie coś może się wydarzyć. W przeciwnym razie mówilibyśmy o zerowych szansach. Wszyscy to teraz podkreślają. Statystycy występujący w programach telewizyjnych, naukowcy zeznający przed Kongresem, każdy próbuje to jakoś wytłumaczyć, każdy desperacko stara się nadać temu jakiś sens. Tak, szanse na zderzenie były astronomicznie małe. Statystycznie biorąc, bliskie zera. Ale nawet tak nikłe prawdopodobieństwo wystąpienia kolizji asteroidy z Ziemią okazało się bardziej niż wystarczające.

Wracając do tematu. Nie mogę uwierzyć, że znów mnie okłamała. Sam nie wiem dlaczego. Przymykam powieki i znów ją widzę, spojrzenie tych wielkich ciemnych oczu, smutne, ale pewne. Opuszcza wzrok na własne dłonie, usta jej nieruchomieją... Z niewiadomego powodu jestem przekonany, że Naomi była ze mną szczerą.

Kwestia zażywania morfiny przez Petera Zella krąży wolno po mojej głowie, mijając orbitujące obok myśli o pozostałych nowo odkrytych faktach: na przykład o obsesji ofiary na punkcie McDonalda jako miejsca popełnienia samobójstwa. I co dalej, detektywie? Facet został zamordowany, a zabójca podrzy-

cił jego zwłoki właśnie w to samo, wybrane przez ofiarę miejsce? Jakie są na to szanse?

Dzisiaj pada zupełnie inny śnieg: z nieba sypią się wolno wielkie tłuste płatki, które dokładają swoje do zasp pokrywających sporą część parkingu.

- Wszystko w porządku, Hank? - pyta Ruth-Ann, wsuwając do kieszeni fartucha studolarówki pozostawione przeze mnie na blacie. Robi to, nie patrząc nawet na nominały.

- Nie wiem. - Kręcę głową. Wyglądając przez okno na opustoszały parking, podnoszę do ust kubek, by dopić kawę. - Mam wrażenie, że nie zostałem stworzony na takie czasy.

- No nie wiem, chłopcze - odpowiada. - Moim zdaniem tylko ty z nas wszystkich do nich pasujesz.

* * *

Budzę się o czwartej nad ranem, wyrwany z abstrakcyjnego snu o zegarach i klepsydrach, i kołach do ruletki. Nie mogę ponownie zasnąć, ponieważ nagle mnie olśniło, nagle coś zrozumiałem. Znalazłem kolejny element układanki.

Wkładam blezer i spodnie, nastawiam kawę, wsuwam do kabury służbowy pistolet.

Po mojej głowie krążą wolno słowa: jakie są na to szanse?

Będę miał sporo roboty, gdy wstanie dzień.

Muszę zadzwonić do Wilentza. Muszę pojechać na Hazen Drive.

Spoglądam na księżyc, wielki, jasny i zimny. Czekam na świt.

5.

- Przepraszam! Dzień dobry. Witam. Mógłbyś sprawdzić dla mnie tę próbkę?

- Owszem. Tym właśnie się tutaj zajmujemy. Daj mi chwilę, okay?

- Potrzebuję tej analizy na wczoraj.

- Czy nie poprosiłem, abyś dał mi chwilę? - gdera niechętnie.

To asystent asystenta, przed którym ostrzegła mnie doktor Fenton. Człowiek, który zawiaduje teraz laboratorium przy Hazen Drive. Jest młody, rozczochrany i jak zwykle spóźniony, w dodatku patrzy na mnie tak, jakby nigdy wcześniej nie widział gliniarza. Człapie w kierunku biurka, wskazując mi rząd pomarańczowych plastikowych krzesel, ale odmawiam.

- Naprawdę potrzebuję tej analizy.

- Stary. Daj mi tę pieprzoną chwilę.

Trzyma w ręku torbę pełną pączków, tłuszcz przesiąknął przez całe jej dno. Sam wygląda na zaspanego albo mocno skacowanego.

- Proszę pana?

- Dopiero co wszedłem do biura. Człowieku, chyba nie ma jeszcze dziesiątej.

- Jest za piętnaście jedenasta. A ja czekam tutaj od dziewiątej.

- Tak, cóż, nadchodzi koniec świata.

- Owszem - odpowiadam. - Słyszałem.

Dzisiaj minie tydzień od śmierci Petera Zella, a ja w końcu mam coś, czego mogę się ucześcić. Szczegół. Ideę. Bębnię palcami po blacie biurka toksykologa, gdy on, dysząc przez sze-

roko otwarte usta, opada ciężko na obrotowy fotel. Potem kładę przed nim fiolkę z ciemną krwią zaczerpniętą z serca Petera Zella, tę, którą wyjąłem rankiem z lodówki i schowałem w przenośnej lodówce używanej czasami do noszenia lunchu.

- Stary, daj spokój. Ona nie jest nawet opisana. - Unosi fiolkę, by spojrzeć na nią w świetle lampy halogenowej. - Nie ma na niej nalepki ani daty. Przecież to może być syrop czekoladowy.

- Ale nie jest.

- Może i tak, ale nie tak wyglądają nasze procedury.

- Nadchodzi koniec świata - rzucam, a on patrzy na mnie kwaśno.

- Musi być na niej nalepka, no i ktoś musi zlecić analizę. Kto ją zleca?

- Doktor Fenton - odpowiadam.

- Poważnie?

Opuszcza fiolkę, mruży zaczerwienione oczy i mierzy mnie wzrokiem. Drapie się po głowie, zasypując blat łupieżem.

- Poważnie - zapewniam go. - Twierdziła, że macie tutaj straszny burdel. Że zamówienia giną wam nieustannie.

Stąpam po cienkim lodzie i jestem tego świadomy. Ale raz koźie śmierć. Facet gapi się na mnie, wydaje się lekko przestraszony. W tym momencie zauważam, że zaciskam pięści i zęby. Muszę się dowiedzieć, czy ofiara miała morfinę w krwi. Muszę się dowiedzieć, czy Naomi Eddes mówiła prawdę. Tak przypuszczam, ale wolę się upewnić.

- Przyjacielu, proszę cię - rzucam półgłosem. - Zbadaj tę krew. Po prostu to zrób.

* * *

- Bracie? - zagaduje mnie brodaty okularnik w średnim wieku, gdy przechodzę przez School Street, by dostać się z parkingu na komendę, po drodze analizując kolejne rozwiązania, ustalając chronologię zdarzeń. - Słyszałeś już dobrą nowinę?

- Tak - odpowiadam, uśmiechając się uprzejmie. - Oczywiście. Dziękuję.

Chcę jak najszybciej wejść do środka, powiedzieć kolegom, co odkryłem, ustalić plan działania. Najpierw jednak muszę wpaść do biura Wilentza, sprawdzić wyniki wyszukiwania, o które poprosiłem go tego ranka za piętnaście dziewiąta. Niestety, brodaty maniak religijny nie odpuszcza, a gdy podnoszę w końcu wzrok, widzę, że jego bracia i siostry przybyli w sile, mam przed sobą całe stado odzianych w długie czarne płaszcze wiernych, ślących uśmiechy na wszystkie strony, ściskających w rękach wymięte ulotki.

- Nie obawiaj się - rzuca zwyczajnie wyglądająca kobieta, która wyrasta przede mną. Ma lekkiego zęza, na zębach ślady czerwonej szminki.

Wszyscy są ubrani podobnie, poza nią jeszcze trzy kobiety i dwaj mężczyźni. Wszyscy szczerzą zęby w drapieźnych uśmiechach, wszyscy ściskają w dłoniach cienkie ulotki.

- Dzięki - odpowiadam już bez uśmiechu. - Naprawdę dziękuję...

To nie Żydzi, ich rozpoznaję po charakterystycznych kapeluszach. I nie Świadkowie Jehowy, którzy w milczeniu wyciągają w twoim kierunku swoje pisemka. Kimkolwiek są, robię to co zawsze w takiej sytuacji: wbijam wzrok we własne buty i próbuję iść dalej.

- Nie obawiaj się - powtarza kobieta, a pozostali formują za jej plecami nierówny półokrąg, blokując mnie jak hokeiści bramkę. Cofam się o krok, omal nie spadając z chodnika na jezdnię.

- Prawdę mówiąc, nie czuję obawy. Ale dziękuję za troskę.

- Nie wolno odrzucać prawdy - mamrocze kobieta, wciskając mi ulotkę do ręki. Spoglądam na zadrukowany kawałek papieru tylko po to, by uniknąć nawiedzonego wzroku, i widzę na okładce zaznaczony czerwoną obwódką wytłuszczony tekst:

WYSTARCZY SIĘ MODLIĆ. Wydrukowano to na górze strony i drugi raz na dole: WYSTARCZY SIĘ MODLIĆ!

- Przeczytaj - nakłania mnie druga kobieta, przysadzista Afroamerykanka owinięta cytrynowym szalem ozdobionym srebrną broszką. Gdziekolwiek spojrzę, znad grubego odzienia szczerzą się do mnie rozanielone gęby. Otwieram więc ulotkę i przechodzę do sedna.

JEŚLI ŚLEPOTĘ JEDNEGO CZŁOWIEKA MOŻE ULECZYĆ MODLITWA TUZINA WIERNYCH, TO MILION WYSTARCZY, BY ZAPOBIEC ZAGŁADZIE LUDZKOŚCI.

Nie przekonuje mnie to stwierdzenie, ale czytam dalej. Ulotka obiecuje, że jeśli większość z nas odrzuci życie w grzechu i uklęknie przed wiekuistą światłością Boga, to wielka kula ognia minie Ziemię i zniknie za horyzontem, nie czyniąc nikomu krzywdy. Miło by było. Chcę tylko dostać się do swego biura. Składam więc ulotkę i wpycham ją ponownie do rąk kobiety, tej z lekkim zezem i śladami szminki na zębach.

- Nie, dziękuję.

- Proszę ją zatrzymać - upiera się, podczas gdy pozostali nalegają chórem: - Przeczytaj!

- Czy mogę pana o coś zapytać? - odzywa się Afroamerykanka, ta w szalu i z broszką. - Jest pan człowiekiem wierzącym?

- Nie. Ale moi rodzice wierzyli w Boga.

- Niech Pan im błogosławi. Gdzie są teraz?

- Nie żyją - odpowiadam. - Zostali zamordowani. Proszę mnie przepuścić.

- Zostawcie go w spokoju, szakale! - grzmi ktoś za moimi plecami. Zerkam przez ramię, moim wybawcą jest detektyw McGully, nadchodzący z otwartym piwem w dłoni i cygarem sterczącym spomiędzy zębów. - Chcecie się do kogoś modlić, to módlcie się do Bruce'a Willisa z *Armagedonu*. - McGully salutuje mi, a potem pokazuje wyprostowany palec pikietującym wyznawcom.

- Kpij z nas, grzeszniku, to nie zmieni faktu, że wszelki występek zostanie ukarany - rzuca święta od umazanych szminką zębów do mojego kolegi, cofając się przed nim. Jedna z trzymanyh przez nią ulotek ląduje na chodniku. - Będziesz musiał stawić czoło ciemności, młodzieńcze.

- Wiesz co, siostró? - mówi McGully, podając mi piwo, by uformować z dłoni tubę. - Ty też!

* * *

- To chyba wartość w procentach.

- Ale co?

- Ta liczba - odpowiadam. - Dwanaście przecinek trzysta siedemdziesiąt pięć setnych procent.

Krążę wokół biurka, trzymając pod pachą jak piłkę pudełko po butach Petera Zella pełne wycinków o asteroidzie, w których pozakreślał albo popodkreślał wszystkie liczby. Pokazuję je swoim kolegom, wyjaśniając, co odkryłem, co chyba odkryłem. McGully siedzi z pochmurną miną, jak zwykle na krześle odchyłonym mocno do tyłu, i obraca w dłoniach opróżnioną z samego rana butelkę piwa. Culverson tkwi za biurkiem w odprasowanym srebrzystym garniturze, w zamyśleniu sączy kawę z kubka. Andreas przycupnął w swoim mrocznym kącie, głowę ma opuszczoną, oczy zamknięte, pewnie śpi. Bo to Concord, u licha!

- Gdy pojawiły się pierwsze informacje o Mai, Peter natychmiast zaczął je śledzić.

- Peter to ten twój wisielec?

- Tak, ofiara.

Wyciągam pierwszy wycinek prasowy datowany na drugi kwietnia, w którym szanse na zderzenie wynoszą jeszcze 1:2 128 000, i podaję go Culversonowi.

- A tu jest inny, o kilka dni późniejszy. - Wyjmuję pomięty kawałek papieru i czytam: - „Choć odkryty obiekt wydaje się

sporej wielkości, jego średnicę szacuje się na sześć i ćwierć kilometra, to astronomowie z programu Spaceguard twierdzą, że szanse kolizji z Ziemią są niemal zerowe. Doktor Kathy Goldstone, wykładowczyni astrofizyki Uniwersytetu Arizony, określa je mianem „pomijalnych”. Peter Zell podkreślił oczywiście „sześć i ćwierć kilometra”.

Sięgam po następny wycinek i po kolejny. Zell śledził nie tylko wyliczenia dotyczące Mai, ale także jej trajektorię, szacowaną gęstość i skład. W pudełku gromadził też doniesienia na temat wszelkich zmian społecznych, prawnych i ekonomicznych będących skutkiem pojawienia się asteroidy. Tu także interesowały go dane liczbowe, zapisywał je na odwrocie kartek, wykonywał jakieś działania – w postaci długich kolumn liczb, z których wiele było opatrzonych wykrzyknikami – i dodawał to wszystko do tworzonego wzorca.

- A niech to – rzuca nagle Culverson.
- A niech to co? – interesuje się McGully. – O czym mówisz?
- Widzisz... on... – zaczynam, ale Culverson mnie ubiega.
- Perspektywa śmierci w wyniku globalnego kataklizmu może być postrzegana przez osobę zażywającą narkotyki jako wymówka na swoją korzyść.
- Otóż to – wtrącam.
- Otóż co? – dopytuje się McGully.
- Wisielec naszego kolegi szacował ryzyko.

Promienieję. Culverson kiwa mi głową z aprobatą, a ja zamykam wieczko pudełka. Dochodzi wpół do dwunastej, koniec zmiany, więc z szatni znajdującej się kilka pomieszczeń dalej słyszymy szmery rozmów funkcjonariuszy wracających z patroli. Naszych młodych Jeżyków z długimi pałkami. Hałasują, wyzywiają się nawzajem, piją napoje energetyczne z wąskich puszek, wkładają kamizelki kuloodporne. Szykują się do wyjścia na zewnątrz, chętni mierzyć z broni do szabrowników, zapęłnić izbę wytrzeźwień.

- Mam taką teorię, że Zell podjął decyzję na bardzo wczesnym etapie kryzysu. Uznał, że jeśli szanse na zderzenie przekroczą ustalony przez niego poziom, spróbuje czegoś nielegalnego i niebezpiecznego, czegoś, co wcześniej wydawało mu się zbyt ryzykowne.

Na początku czerwca prawdopodobieństwo przekroczyło zakładany próg, więc Zell udał się do domu swojego dawnego przyjaciela J.T. Toussainta, który wiedział, skąd skombinować narkotyki. Nawalili się obaj jak stodoły.

Potem jednak - pod koniec października - Zell zaczął źle reagować, odechciało mu się eksperymentów albo zabrakło mu narkotyków. Wkroczył w fazę odstawienia.

W tym momencie McGully unosi wolno rękę, kpiarskim ruchem, zupełnie jak nastolatek, który pragnie uprzykrzyć życie nauczycielowi matematyki.

- Halo, detektywie. Przepraszam. Niby jak ta niewątpliwie tragiczna opowieść czyni z faceta ofiarą morderstwa?

- Tego nie wiem. Mówię tylko o tym, co do tej pory odkryłem.

- Okay. Cudnie! - McGully wstaje z hukiem od biurka. - Jedźmy więc do domu tego całego Toussainta i zrobmy mu kipisz.

Zerkam na Culversona, potem na McGully'ego, czując przyspieszone bicie serca.

- Myślisz?

- Jasne. - Wygląda na ucieszonego, co natychmiast przywodzi mi na myśl filozoficzną kwestię nowej ery rzuconą przez McConnell: „To była moja ostatnia szansa, żeby gonić podejrzanego, drąc się «Stój, skurwielu!»”. - Nie mamy pewności, że on jest naprawdę winny - protestuję i odwracam się do Culversona w nadziei, że będzie przeciwny moim obiekkcjom, że usłyszę coś w stylu: „Ależ mamy, synu”, jednakże on milczy za swoim biurkiem głęboko zamyślony.

- Czy jest winny? - prycha McGully. - Chryste, człowieku, masz go na tacy. To facet, który produkuje zakazane substan-

cje, handluje nimi. Automatyczna ciupa. Paragraf dziewiąty, zgadza się, mistrzu? Nakryłeś go na składaniu fałszywych zeznań. Paragraf sam nie wiem który, niech będzie nawet bury.

- Hm, ja tylko przypuszczam, że załatwiał te prochy, nie wiem nic na pewno. - Odwołuję się do Culversona, jedyne go dorosłego w tym pomieszczeniu. - Może powinniśmy wystąpić o nakaz? Na przykład na przeszukanie domu?

- Nakaz? - McGully wyrzuca ręce w górę, wzywając na świadka nasz pokój, niebo, zaspanego Andreasa, który właśnie rozwiera powieki, by spojrzeć na coś, co trzyma na biurku.

- Zaraz, chwila, wiecie co? Facet jeździ wozem przerobionym na olej roślinny? Przyznał się do tego, nie?

- Owszem, i co z tego?

- Jak to co? - McGully uśmiecha się od ucha do ucha, wykonuje tryumfalny gest. - Do paragrafu osiemnastego dodano niedawno trzy kolejne artykuły dotyczące reglamentacji surowców naturalnych. - Doskakuje do biurka, chwyta gruby segregator w czarnej okładce ozdobionej flagą USA. - Prosto z drukarni, amigos. Jeśli nasz kolega dodaje do oleju po frytkach choć kroplę ropy, jego pojazd łamie przepisy.

Potrząsam głową.

- Nie mogę aresztować go za złamanie przepisu, który nie istniał w momencie popełnienia wykroczenia.

- No tak, agencie Ness, pan jak zwykle jest praworządny. - Pokazuje mi oba wyprostowane palce i jeszcze wywala język na dokładkę.

- Masz jeszcze jeden problem - dodaje Culverson. Wiem, co zaraz usłyszę, i jestem na to gotowy. A nawet troszkę podekscytowany. - Twierdziłeś wczoraj, że ten cały Toussaint ma czyściuteńką kartotekę. Ciężko pracuje. Stara się. Dlaczego więc Zell pomyślał właśnie o nim, gdy wpadł na pomysł, że zacznie ćpać?

- Doskonałe pytanie - stwierdzam. - Patrzcie.

Pokazuję wydruk, który dostałem od Wilentza tuż przed tym, nim wszedłem na piętro. To kartoteka ojca Toussainta. Sprawdziłem go, ponieważ tknęło mnie coś, co usłyszałem i zanotowałem dzień wcześniej. Toussaint powiedział o swoim ojcu: „Tak, był artystą. Między innymi...”. Obserwuję Culversona, gdy przebiega wzrokiem raport. Roger Toussaint, alias Roster Toussaint, alias Marcus Kilroy, alias Toots Keuring. Posiadanie. Posiadanie z zamiarem dystrybucji. Posiadanie z zamiarem dystrybucji. Posiadanie. Udostępnianie nieletnim. Posiadanie.

Nic więc dziwnego, że Peter Zell, powziąwszy decyzję o zakupie narkotyków – gdy szanse na zderzenie przekroczyły zakładany przez niego próg – przypomniał sobie o przyjacielu z dawnych lat, ponieważ ojciec tamtego był dilerem.

Culverson potakuje w końcu, wstaje ociężale z krzesła. McGully zrywa się jak błyskawica. Serce wali mi jak oszalałe.

- Dobra - rzuca Culverson. - Jedziemy.

Kiwam głową, na moment zapada cisza, po czym ruszamy jednocześnie w kierunku drzwi, trzech policjanci gotowi do działania, sprawdzający, czy broń jest w ukrytych pod płaszczami kaburach. Czuję takie uniesienie, że gdzieś tam głęboko, w trzewiach, rodzi się obawa. Oto chwila, o której marzyłem przez całe życie – trzech detektywi ruszają na akcję, zwarci i gotowi, adrenalina zaczyna buzować w ich żyłach.

McGully zatrzymuje się po drodze przy biurku Andreasa.

- A pan, panie śliczny, nie idzie z nami? – pyta, ale ostatni pracownik wydziału kryminalnego nigdzie się nie wybiera.

Siedzi nieruchomo, z kubkiem wystygłej kawy tuż obok łokcia, z fryzurą przypominającą ptasie gniazdo, i gapi się bezmyślnie w pomietą ulotkę głoszącą: WYSTARCZY SIĘ MODLIĆ.

- Daj spokój, kolego. - McGully nie ustępuje, zabiera mu obiekt adoracji. - Nowy znalazł śmiecia, którym trzeba się za-

jąc.

- No chodź - dodaje Culverson, a ja powtarzam za nim te dwa słowa.

Andreas odwraca głowę, może o centymetr, i coś mamrocze.

- Coś powiedział? - pytam.

- A jeśli oni mają rację? - powtarza Andreas głośniej. - Ci... Ci... - wskazuje ulotkę, czym doprowadza mnie do pasji.

- Nie mają. - Stanowczym ruchem kładę mu dłoń na ramieniu. - Możemy teraz o tym nie myśleć?

- Nie myśleć o tym? - powtarza po mnie płaczliwie Andreas.

- Nie myśleć o tym?

Przewracam szybkim ruchem kubek stojący na blacie jego biurka, brązowa ciecz zalewa ulotkę, stojącą obok niej popielniczkę, dokumenty i klawiaturę.

- Hej! - woła Andreas, gdy go odciągam od biurka i odwracam. - Hej!

- Wiesz, co teraz robię? - rzucam, przyglądając się kawie zmierzającej ku skrajowi blatu. - Myślę sobie: „Och, nie! Kawa zaleje zaraz podłogę! To takie straszne! Porozmawiajmy o tym!”.

Kawa przelewa się przez krawędź blatu, ścieka po ściance biurka, ochlapuje buty Andreasa i tworzy sporą kałużę na parkiecie.

- Spójrz tylko - dodaję. - Gadaniem niczego nie powstrzymaliśmy.

* * *

Wszystko wygląda tak samo jak przedtem.

Psia buda, cierniste zarośla, dąb, drabina oparta o krawędź dachu. Biały piesek wabiący się Houdini krąży bojaźliwie wokół jej podstawy, na szczycie natomiast wielki J.T. Toussaint naprawia kolejne gonty. Pracuje w pozycji klęczącej, w tych samych brązowych spodniach i czarnych buciorach. Zerka przez

ramię, gdy słyszy chrzęst żwiru na podjeździe, a ja w tym samym momencie dostrzegam w jego oczach błysk, coś na kształt zaskoczenia, jakim zwierzę ukryte w norze reaguje na pojawienie się myśliwych.

Wysiadam z wozu pierwszy, prostuję plecy i poprawiam kołnierz płaszcza, jedną dłonią osłaniam oczy przed blaskiem zimowego słońca, drugą unoszę w geście powitania.

- Dzień dobry, panie Toussaint - wołam. - Mam do pana jeszcze kilka pytań.

- Co? - dziwi się.

Podnosi się z klęczek, łapie równowagę i staje na dachu. Słońce podświetla jego wyprostowaną sylwetkę, otaczając ją dziwnym jasnoszarym halo. Za moimi plecami trzaskają drzwi wozu, McGully i Culverson także wysiadają. Toussaint na ich widok wzdryga się, cofa o krok, potyka.

Unosi ręce, by odzyskać równowagę, a ja słyszę, jak McGully wrzeszczy: „Broń!”, więc odwracam się, by powiedzieć: „Nie, to nie pistolet”, ponieważ to nie jest pistolet. „To tylko dozownik uszczelnacza!”

Ale McGully i Culverson już sięgnęli po broń, unieśli służbowe sig-sauery P229.

- Nawet nie drgnij, dupku! - drze się McGully, ale Toussaint nie może zamrzeć w bezruchu. Jego buty straciły przyczepność na stromym dachu, więc macha rękoma, wytrzeszczając oczy ze strachu. McGully wciąż wrzeszczy, więc dołączam do niego.

- Nie, nie, nie! Nie strzelaj! - Panikuję, ponieważ nie chcę, by go zabili. Muszę poznać prawdę.

Toussaint okręca się na pięcie, próbuje schronić się za szczytem dachu, ale McGully naciska spust; ułomek cegły odpryskuje od komina, Toussaint się odwraca i spada z wysokości na ziemię.

* * *

- Twój dom cuchnie jak psie gówno.
- Skupmy się na sprawie, McGully.
- Okay, ale przecież mówię prawdę. Capi tu niemożliwie.
- Proszę.

J.T. Toussaint zaczyna coś mówić, a może tylko pojękuje, więc McGully każe mu się zamknąć i znów zapada cisza. Olbrzym leży jak długi na brudnym dywanie w salonie, twarzą do dołu, krwawi z czoła w miejscu, w którym przywalił podczas upadku. McGully siedzi mu na plecach, paląc cygaro. Culverson opiera się o kominek, a ja krążę nerwowo, świadom, że wszyscy patrzą teraz na mnie, ponieważ to moje przedstawienie.

- Dobra, utnijmy sobie pogawędkę - rzucam, czując silny dreszcz przebiegający przez całe ciało. Wyzbywam się resztek adrenaliny naprodukowanej podczas strzelaniny i biegu przez zabłocone podwórze.

Spokój. Tylko spokój.

- Panie Toussaint, wychodzi na to, że podczas ostatniej rozmowy pominął pan kilka bardzo istotnych szczegółów pańskich relacji z Peterem Zellem.

- Właśnie - potakuje McGully, przesuwając się nieznacznie, by zwiększyć ucisk na krzyż leżącego. - Ty dupku!

- McGully? - rzucam, próbując zasugerować bez mówienia tego wprost, by odpuścił, on jednak przewraca tylko oczami.

- Naćpaliśmy się raz czy dwa i tyle - odpowiada Toussaint. - Okay? Braliśmy razem, ja i Petey. Naszprycowaliśmy się kilka razy.

- Kilka razy - powtarzam.

- Tak.

Kiwam wolno głową.

- Dlaczego mnie okłamałeś, J.T.?

- Dlaczego cię okłamał? - dziwi się McGully, przenosząc na mnie wzrok. - Może dlatego, że jesteś gliniarzem, niedojdo.

Stojący przy kominku Culverson prycha z rozbawienia, a ja zaczynam żałować, że nie zostawili mnie sam na sam z J.T. W tym salonie. Gdybyśmy rozmawiali w cztery oczy, wyśpiewałyby mi wszystko. Jak podczas normalnej rozmowy pomiędzy dwoma facetami.

Toussaint zerka na mnie, przywalony ciężarem McGully'ego nie może się bardziej ruszyć.

- Przyjechał pan do mnie, ponieważ pańskim zdaniem został zamordowany.

- Powiedziałem, że popełnił samobójstwo.

- Czyli skłamał pan - ripostuje. - Nie prowadzicie dochodzeń w sprawach samobójców. Zwłaszcza teraz.

Culverson znów prycha w identyczny sposób, więc zerkam w jego kierunku i widzę, że się krzywi: „Celnie cię podsumowałem”, mówi jego mina. McGully strzepuje kawał popiołu na dywan podejrzanego.

Toussaint ignoruje ich obu, skupia wzrok na mnie, nie przestając mówić.

- Skoro przyszedł pan do mnie w poszukiwaniu zabójcy, to gdybym panu powiedział, że braliśmy te pieprzone środki przeciwbólowe, uznałby pan, że to ja go zabiłem, prawda?

- Niekoniecznie.

Myślę: tabletki. Pastyłki. Maleńkie lśniące barwne kapsułki wysypujące się na spoconą dłoń. Próbuję sobie wyobrazić mojego agenta ubezpieczeniowego, jak się stacza, popada w uzależnienie.

- J.T... - zaczynam.

- Nieważne - warczy. - Już po mnie. Koniec, kropka.

- No - potwierdza radośnie McGully, a ja z całych sił życzę sobie, aby się wreszcie zamknął.

Choćby dlatego, że wierzę Toussaintowi. Naprawdę. Przynajmniej jakąś częścią siebie. Okłamał mnie z tego samego powodu, dla którego Victor France zmarnował wiele godzin na wę-

szenie wokół warsztatu przy Manchester Road, by dostarczyć mi żądane informacje: w naszych czasach każde oskarżenie wiąże się z surowymi konsekwencjami. Każdy wyrok to dożywocie, a nawet kara śmierci. Gdyby J.T. ujawnił całą prawdę o tym, co łączyło go z Zellem, zgniłby w więzieniu. Tymczasem nadal nie mam powodu, by uznać, że to on zabił Petera.

- McGully. Zejdź z niego.

- Co takiego? - obrusza się mój kolega. - Wykluczone.

Obaj zerkamy instynktownie w kierunku Culversona; wszyscy mamy niby tę samą rangę, ale to on jest najstarszy. Wychwytyjemy jego zdawkowe skinienie głowy. McGully patrzy na mnie spode łba, podrywa się jednak z pleców podejrzanego, ociążałe jak jakiś goryl powstający z ziemi. Ruszając w stronę sofy, celowo przydeptuje palce Toussainta. J.T. podnosi się z trudem na kolana, na co Culverson rzuca cicho: „To wystarczy”, sam muszę więc przyklęknąć, aby spojrzeć przesłuchiwanemu w oczy. Jakimś cudem udaje mi się odezwać do niego spokojnie, wręcz przymilnie:

- Powiedz mi więcej.

Długa cisza.

- On... - zaczyna McGully, ale milknie, gdy podnoszę ostrzegawczo dłoń, nie spuszczać z oka podejrzanego.

- Proszę - odzywam się ponownie. - Ja chcę tylko poznać prawdę, panie Toussaint.

- Nie zabiłem go.

- To wiem - mówię, ponieważ tak myślę. W tym momencie, spoglądając mu w oczy, nie wierzę, że zabił Petera. - Chcę jedynie wiedzieć, jak było naprawdę. Powiedział pan, tabletki. Skąd pan je wziął?

- To nie ja je załatwiłem. - Toussaint patrzy na mnie zdziwiony. - Peter je przyniósł.

- Co?

- Przysięgam na Boga, że to prawda - odpowiada, widząc w moim spojrzeniu sceptycyzm. - Klęczymy naprzeciw siebie na podłodze jak para religijnych fanatyków albo pokutników. - Mówię poważnie. Facet pojawił się na moim progu z dwiema buteleczkami pełnymi prochów. Siarczan morfiny. Po sześćdziesiąt miligramów w kapsułce, po sto kapsułek w buteleczce. Powiedział, że chce zażyć narkotyki w bezpieczny i efektywny sposób.

- Tak powiedział? - prycha McGully, sadowiąc się na sofie z bronią wycelowaną w Toussainta.

- Tak.

- Proszę patrzeć na mnie - mówię. - Proszę powiedzieć, co wydarzyło się później.

- Odparłem, że nie ma problemu, ale musi się nimi ze mną podzielić. - Podnosi głowę, rozgląda się wokół, spod na wpół przymkniętych powiek przebłyskuje nerwowość, wyzwanie, duma. - Co miałem zrobić, u licha? Harowałem całe życie... zapieprzałem każdego dnia od ukończenia szkoły. Mój stary był śmieciem, a ja nie chciałem skończyć jak on. - Jego masywne ciało drży, podkreślając emocje towarzyszące tym słowom. - A tu nagle pojawia się to gówno, normalnie jak grom z jasnego nieba. Nikt już nie chce niczego budować, kamieniołom zostaje zamknięty, a ja zostaję bez roboty, bez perspektyw, nic, tylko czekać na zasraną śmierć. Dwa dni później pod moimi drzwiami zjawia się Peter Zell z wiadrem opiatów. Co wy byście zrobili na moim miejscu?

Patrzę na klęczącego przede mną, wstrząsanego dygotem wielkoluda, który wbija wzrok w ziemię. Spoglądam na stojącego przy kominku Culversona, który kręci ze smutkiem głową. Słyszę piskliwe dźwięki, przenoszę więc wzrok na sofę i McGully'ego, który odłożywszy pistolet, ruchami rąk naśladuje grę na skrzypcach.

- Okay, J.T. - rzucam znowu. - Co było dalej?

Toussaint z łatwością pomógł Zellowi bezpiecznie i efektywnie zażywać siarczan morfiny, oszukiwać okres półtrwania i odmierzać ilości tak, aby zminimalizować ryzyko przypadkowego przedawkowania. Milion razy widział, jak jego ojciec to robi, jak zażywa rozmaite leki: oskrobuje je z polewy, rozkrusza, waży i umieszcza pod językiem. Gdy zużyli zawartość obu buteleczek, Peter zorganizował kolejne.

- Nie wspominał nigdy, skąd je ma?

- Nie... - Pauza, może półsekundowe wahanie, gdy patrzę mu prosto w oczy. - Naprawdę. To trwało aż do października. Skądkolwiek brał te prochy, źródło w końcu wyszło.

Po październiku, kontynuuje Toussaint, nadal trzymali się razem, wspólnie chodzili na seanse *Distant Pale Glimmers*, czasem też wpadali na piwko po pracy. Zastanawiam się nad każdym nowym detalem, rozważam je kolejno, próbując ustalić, co może być prawdą.

- A ostatni poniedziałek?

- Co?

- Co się wydarzyło w zeszły poniedziałek wieczorem?

- To, co powiedziałem. Obejrzeliliśmy film, obaliliśmy kilka browarów i zostawiłem go tam.

- Jest pan pewien? - pytam. - Jest pan pewien, że to już wszystko?

Cisza. Spogląda na mnie, chyba zamierza dodać coś jeszcze. Widzę, jak jego umysł ostro pracuje za fasadą kamiennej maski. Chce mi powiedzieć coś jeszcze.

- McGully - rzucam. - Jaka jest kara za psucie paliwa?

- Śmierć - odpowiada McGully, a ja widząc, że oczy Toussainta robią się okrągłe, potrząsam głową.

- Poważnie pytam.

- To leży w gestii organów ścigania - odpowiada Culverson.

- Okay - mówię, skupiając wzrok na podejrzanym. - Musimy pana zwinąć. Postaram się jednak, by został pan ukarany dwu-

tygodniowym aresztem. – Podnoszę się i wyciągam do niego rękę, by pomóc mu wstać. – Góra miesięcznym. Bułka z masłem.

Wtedy wtrąca się McGully:

– Albo rozstrzelamy gościa na miejscu.

– McGully... – Odwracam się od Toussainta na sekundę, chcąc spojrzeć w kierunku Culversona, aby wyperswadował naszemu koledze te głupie żarty, i zanim zdążę przenieść ponownie wzrok na podejrzanego, ten jest już w ruchu, wystrzelił jak z procy, trafiając mnie z byka w pierś, przy tej masie zadziałał jak taran. Padam na plecy, McGully zrywa się z sofy, Culverson także rusza się z miejsca, sięgając po broń. W dłoni Toussainta pojawia się model stanowego parlamentu. Culverson, choć już wymierzył, nie strzela, podobnie jak McGully, ponieważ podejrzany siedzi na mnie, przysuwa to cholerstwo do mojego oka pozłacaną iglicą w dół. Nagle robi się ciemno.

– A to skurwysyn – rzuca McGully.

Toussaint złazi ze mnie, słyszę, jak biegnie do drzwi. Wrzeszczę: „Nie!”, krew leje się z mojej twarzy, dłońmi zakrywam oczy.

– Nie strzelajcie! – krzyczę, ale jest już za późno, obaj wypalają. Wizg kul nade mną, bardziej je słyszę, niż widzę, potem krzyk Toussainta i łomot, z jakim się przewraca.

Za drzwiami kuchni Houdini czeka jak oszalały, skowyczy i warczy, okazując wściekłość i zdziwienie.

* * *

„Halo, detektywie. Przepraszam. Niby jak ta niewątpliwie tragiczna opowieść czyni z faceta ofiarą morderstwa?”

Te słowa odbijają się echem w opustoszałych nagle zakamarkach mojego umysłu, gdy zwijam się z bólu, leżąc w szpitalu. Rzucone sarkastycznym tonem pytanie McGully’ego na komendzie, zanim pojechaliśmy do domu podejrzanego.

J.T. Toussaint nie żyje. McGully postrzelił go trzykrotnie, a Culverson raz, więc facet zmarł, nim zdążył dojechać do szpitala.

Twarz mnie boli. Cierpię potwornie. Może Toussaint zaatakował mnie tą popielniczką, ponieważ wcześniej zamordował swojego przyjaciela Petera. Nie, wątpię, by to była prawda.

Uważam, że rzucił się na mnie ze strachu. Wokół niego było za dużo gliniarzy, McGully go straszył, ja uspokajałem, ale on i tak miał pietra, że jak już go przymkniemy za to durne wykroczenie z przerabianiem silnika, zgnije w więzieniu i na pewno nie wyjdzie przed trzecim października. Skalkulował szanse i podjął ryzyko, jak Peter, ale w przeciwieństwie do mojego agenta ubezpieczeniowego przegrał.

McGully postrzelił go trzykrotnie, Culverson raz. Zimny trup.

- Pół centymetra wyżej i byłoby po oku - stwierdza lekarka, młoda kobieta. Jasne włosy ma uczesane w kucyk, nosi adidasy, a rękawy jej białego fartucha są wysoko podwinięte.

- Okay - odpowiadam.

Nakłada na mój prawy oczodoł gruby opatrunek i przykleja go plastrami.

- Doszło do złamania dna oczodołu - dodaje - w związku z tym może pan odczuwać drętwienie całego policzka.

- Okay - powtarzam.

- Oraz średnią, a nawet silną diplopię.

- Okay.

- Przez diplopię rozumiemy podwójne widzenie.

- Aha.

W trakcie tej rozmowy w mojej głowie kołacze się wciąż pytanie: „Niby jak ta niewątpliwie tragiczna opowieść czyni z faceta ofiarą morderstwa?”. Niestety, chyba znam odpowiedź. Wolałbym, aby tak nie było, ale co zrobić.

Lekarka nie przestaje mnie przeproszać, a to za brak doświadczenia, a to za przepalone żarówki, których nie ma czym

zastąpić, i ogólnie za niedobór środków usmierzających ból. Wygląda przy tym na dziewięciolatkę, chyba nie skończyła nawet stażu. Mówię jej, że nie szkodzi, że rozumiem. Nazywa się Susan Wilton.

- Pani doktor - zagaduję, gdy nawlekła już jedwabną nitkę i zszywa ranę na policzku, krzywiąc się, jakby naprawiała własną twarz, nie moją. - Pani doktor, czy popełniłaby pani samobójstwo?

- Nie - odpowiada. - Chociaż... Może. Gdybym wiedziała, że pozostało mi już tylko cierpienie. Ale tak nie jest. Podoba mi się moje życie, wie pan. Gdybym jednak była kimś innym, kimś, kto jest okropnie nieszczęśliwy, wtedy pewnie mogłabym pomyśleć: co będę tak siedzieć i czekać na najgorsze?

- Racja - odpowiadam. - Święta racja.

Potem nieruchomieję, pozwalając jej zszyć ranę.

Pozostała już tylko jedna zagadka. Jeśli Toussaint mówił prawdę, a uważam, że tak właśnie było, to Peter zaopatrywał ich obu w tabletki. Skąd je jednak brał?

Ostatni element tej układanki, i chyba wiem, gdzie go znaleźć.

* * *

Sophie Littlejohn wygląda równie niepokojąco jak jej brat, nawet teraz, gdy gapi się na mnie zza grubego łańcucha przez szparę pomiędzy drzwiami a futryną. Ma taką samą nieproporcjonalnie małą zuchwę, wydatny nos i szerokie czoło, nawet jej okulary są równie niemodne. Włosy nosi ścięte krótko, po chłopięcemu, sterczą jej tu i ówdzie zupełnie jak Peterowi.

- Tak? - pyta.

Kiedy tak na siebie patrzymy, przypominam sobie, że nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Do tego dochodzi mój obecny wygląd: gruby opatrunek nałożony na oko przez doktor Wilton, otaczająca go sinożółta opuchlizna.

- Jestem detektyw Henry Palace, proszę pani, z miejscowej komendy policji - wyjaśniam. - Obawiam się, że... - Urywam, ponieważ drzwi się zatrzasnęły. Zaraz jednak słyszę grzechot łańcucha i moment później znów się otwierają.

- W porządku - rzuca Sophie, kiwając głową ze stoickim spokojem, jakby od zawsze wiedziała, że ta chwila nadejdzie. - W porządku.

Zabiera mój płaszcz, po czym wskazuje ten sam niebieski fotel, na którym siedziałem podczas ostatniej wizyty. Wyjmuję brulion, ona zaś w tym czasie wyjaśnia, że męża nie ma niestety w domu, ponieważ musiał zostać po godzinach. Jedno z nich często zostaje w pracy dłużej. Bezwyznaniowe usługi duchowe Erika Littlejohna stały się codziennością, pełni je bowiem każdego wieczora, a uczęszcza na nie tak wiele osób z personelu szpitala, że musiał wynieść się z kaplicy w piwnicy i zaanektować audytorium na piętrze. Sophie rozgaduje się bez powodu, ale ja to doskonale rozumiem, taka jest jej ostatnia linia obrony przed rozpoczęciem właściwej rozmowy. Ja, słuchając, myślę sobie, że tak musiały wyglądać oczy Petera, gdy jeszcze żył: ich spojrzenie było czujne, analityczne, wyrachowane, lekko smutne.

Uśmiecham się, zmieniam pozycję na wygodniejszą, pozwalam się wygadać Sophie, a w końcu zadaję jej pytanie, które jest raczej stwierdzeniem:

- Dała mu pani cały bloczek recept.

Wbija wzrok w turecki dywan, potem znów patrzy mi w oczy.

- Ukradł mi je.

- Aha - rzucam. - Okay.

Leżąc w szpitalu z obrażeniami twarzy, zastanawiałem się nad tą kwestią dobrą godzinę, aż nagle doznałem olśnienia. Brakowało mi tylko absolutnej pewności. Musiałem skorzystać z wiedzy doktor Wilton, ponieważ ona znała się na tym lepiej: czy położne mogą wypisywać leki?

Okazuje się, że mogą.

- Przepraszam, powinnam była wcześniej o tym wspomnieć - przyznaje półgłosem Sophie.

Za rozsuwanymi drzwiami łączącymi salon z ogrodem zauważam Kyle'a, który razem z innym dzieciakiem, też ubranym w zimowy kombinezon, bawi się teleskopem. Obaj skąpani są w niezwykłym świetle lamp ogrodowych. Minionej wiosny, gdy szanse na zderzenie były wciąż minimalne, zapanował istny boom na astronomię, ludzie nagle zaczęli się interesować nazwami planet, ich orbitami, dzielącymi je odległościami. Tak jak po jedenastym wrześniu wszyscy umieli wymienić z pamięci każdą prowincję Afganistanu i różnice między szyitami a sunnitami. Kyle i jego kolega używają teraz teleskopu jak maczugi i okładają się nim na zmianę, oczywiście na niby, śmiejąc się na cały głos w zmierzchające niebo.

- To było w czerwcu. Na początku czerwca - zaczyna Sophie, więc odwracam się znów do niej. - Peter zadzwonił niespodziewanie, powiedział, że chciałby umówić się na lunch. Odparłam, że chętnie się z nim zobaczę.

- Zjedliście lunch u pani w gabinecie?

- Tak - przyznaje.

Zjedli, nadrobili zaległości, odbyli bardzo przyjemną pogawędkę, jak na brata i siostrę przystało. Wspominali filmy, które obejrzeliby w dzieciństwie, rodziców, dorastanie.

- Wie pan, takie rodzinne sprawy.

- Wiem, proszę pani.

- Było bardzo miło. Pewnie dlatego tak mnie zabolalo, gdy odkryłam, po co Peter tak naprawdę przyszedł. Nigdy nie byliśmy sobie zbyt bliscy. A potem on nagle dzwoni jakby nigdy nic. Pomyślałam wtedy, pamiętam to doskonale, że jak to szaleństwo dobiegnie końca, może uda nam się zaprzyjaźnić. - Unosi rękę, by obetrzeć łzę z kącika oka. - Szanse na zderze-

nie były wtedy stosunkowo niewielkie. Wciąż można było myśleć o przyszłości i snuć plany.

Czekam cierpliwie. Trzymam otwarty błękitny brulion na kolanach.

- No więc... - odzywa się znowu Sophie. - W moim zawodzie stawiamy na holistyczne podejście do pacjentki, z lekami stykamy się najczęściej podczas odbierania porodów, w okresie ciąży nie są one potrzebne.

Zatem dopiero po wielu tygodniach zorientowała się, że w prawej górnej szufladzie jej biurka brakuje bloczka z receptami. A kilka kolejnych tygodni zajęło jej dojście do tego, że to sprawka brata. Że kradzieży dokonał podczas umówionego i jakże miłego lunchu. W tym momencie Sophie przerywa opowieść, unosi wzrok ku sufitowi i kręci głową, jakby się obwiniła.

Ja natomiast wyobrażam sobie Petera, spokojnego agenta ubezpieczeniowego, w chwilowym porywie brawury, gdy podejmuje brzemienną w skutki decyzję - prawdopodobieństwo zderzenia przekracza już próg 12,375 procent - i wykorzystując nieobecność siostry, która wyszła do toalety albo zajrzeć do pacjentki, spocony jak diabli podnosi się z krzesła, otwiera szufladę...

Kyle i jego kompan wybuchają na zewnątrz śmiechem. Ja nie spuszcza jednak wzroku z Sophie.

- Zatem rozgryzła to pani w październiku.

- Tak - potwierdza, zerkając na mnie ukradkiem, lecz nie pytając, skąd wiem. - Wściekłam się. Naprawdę. Na rany Chrystusa, przecież wciąż jesteśmy ludźmi, czyż nie? Powinniśmy się więc zachowywać jak ludzie, dopóki nie nastąpi koniec. - Gniew w jej głosie jest autentyczny. Potrząsa głową w rozgoryczeniu. - Zdaję sobie sprawę, że to brzmi niedorzecznie.

- Nie, proszę pani. Wcale nie.

- Wygarnęłam wszystko Peterowi, a on przyznał się do kradzieży, i to by było na tyle. Nie... przykro mi to mówić... nie rozmawiałam z nim od tamtej pory.

Kiwam głową. Miałem rację. Należy mi się medal. Czuję, że powinienem już iść. Muszę jednak poznać całą prawdę. Po prostu muszę.

- Dlaczego nie powiedziała mi pani tego wcześniej? Dlaczego nie odbierała pani moich telefonów?

- Cóż, chodzi o to... Ja podjęłam decyzję. Postanowiłam, że...
- zaczyna, ale w tym momencie od strony drzwi wejściowych słyszę głos Erika, który mówi: „Kochanie”.

Stoi w progu, nie wiem jak długo, śnieg zdążył zasypać kawałek podłogi.

- Nie - odzywa się Erik ponownie.

- To już nie ma znaczenia.

- Mylisz się. Witam ponownie, detektywie. - Wchodzi, płatki śniegu na skórzanym płaszczu topnieją błyskawicznie. - Kazałam jej skłamać. Jeśli więc mają być tego konsekwencje, powinny spaść na mnie.

- Nie sądzę, by ktoś musiał za cokolwiek odpowiadać. Zwyczajnie chcę poznać prawdę.

- Okay. Zatem prawda wygląda tak, że nie widziałem sensu w informowaniu pana o kradzieży dokonanej przez Petera i zabroniłam Sophie to robić.

- Wspólnie podjęliśmy tę decyzję.

- Zmusiłem cię do jej podjęcia.

Erik Littlejohn kręci głową, patrząc na mnie twardo, niemal surowo.

- Powiedziałem jej, że nie powinna panu o tym mówić.

- Dlaczego?

Spoglądam mu w oczy, ale nie robi to na nim wrażenia.

- Co było, to było. Incydent z bloczkiem recept Sophie nie miał nic wspólnego z późniejszą śmiercią Petera, nie widzia-

łem więc powodu, aby wspominać o tym policji. – Słowo „policja” wymówił tak, jakby był to jakiś abstrakcyjny koncept, coś nie z tego świata, w odróżnieniu ode mnie, od człowieka z krwi i kości, który siedzi w jego salonie z otwartym błękitnym brulionem na kolanach. – Wyjawienie tego policji wydało mi się równoznaczne z przekazaniem szczegółów prasie, opinii publicznej.

– Mojemu ojcu – szepcze Sophia. – O to tak naprawdę mu chodzi.

Jej ojcu? Szperam w pamięci, przyglądając węża. Przypominam sobie raport posterunkowej McConnell: ojciec Petera, Martin Zell, przebywa w domu opieki Pleasant View, zdiagnozowano u niego początki demencji.

– Ciężko przeżył wiadomość o samobójstwie Petera – dodaje Sophie. – Jak by się czuł, wiedząc, że jego jedyny syn został narkomanem?

– Po co męczyć człowieka? – dodaje Erik. – Zwłaszcza w tych okolicznościach... Dlatego kazałem żonie przemilczeć pewne szczegóły. To była moja decyzja i ja biorę za nią pełną odpowiedzialność.

– Okay – przerywam mu. – Okay.

Wzdycham. Jestem zmęczony. Oko mnie boli. Czas stąd iść.

– Mam jeszcze jedno pytanie – zwracam się do Sophie. – Wydaje się pani przekonana, że Peter popełnił samobójstwo. Mogę zapytać dlaczego?

– Dlatego, że mi o tym powiedział – wyznaje półgłosem.

– Co? Kiedy?

– Tego samego dnia. Gdy jedliśmy lunch w moim gabinecie. Wtedy to już trwało, jak pan wie. O jednym przypadku trąbili na wszystkich kanałach. Mówię o Durham. O tej szkole podstawowej.

– Tak, pamiętam... – Facet, który wychował się w Durham, na wybrzeżu, wrócił do rodzinnej miejscowości, by powiesić się

w szatni swojej dawnej klasy. Znalazł go tam jego były znienawidzony nauczyciel.

Sophia przyciska opuszki palców do powiek, Erik staje za nią, kładzie jej dłonie na ramionach w pokrępowującym geście.

- Tak czy inaczej Pete, to znaczy Peter, powiedział mi, że gdyby on miał wybierać, zrobiłby to w McDonalddie. Tym na Main Street. Wtedy uznałam to za żart. Ale... ale chyba mówił poważnie.

- Tak, proszę pani. Na to wygląda.

No i proszę, McGully. Niby jak ta niewątpliwie tragiczna opowieść czyni z faceta ofiarę morderstwa? Odpowiedź brzmi: ni-jak.

Kosztowny pasek, czerwony pikap, nic z tego nie ma znaczenia. Gdy eksperyment z zażywaniem narkotyków okazał się fiaskiem - gdy Peter został nakryty na kradzieży, a co ważniejsze, na akcie zdrady - pozostał mu jedynie wstyd i niekończący się ból odstawienia, a wszystkiego tego doznawał w obliczu nadchodzącego końca świata. Właśnie dlatego aktuariusz Peter Zell dokonał ostatnich obliczeń, kolejnej analizy zysku i wiążącego się z nim ryzyka, a potem odebrał sobie życie.

Bum!

- Detektywie?

- Tak?

- Dlaczego pan nie notuje?

Erik Littlejohn przygląda mi się podejrzliwie, jakby uważał, że coś przed nim ukrywam.

Głowa mnie boli. Salon zaczyna falować. Widzę dwie Sophie i dwóch Erików. Jak nazwała tę dolegliwość doktor Wilton? Diplopia?

- Przestał pan notować to, co mówimy.

- Nie. Ja tylko... - Przełykam ślinę, wstaję. - Sprawa zamknięta. Przepraszam, że państwa niepokoiłem.

* * *

Pięć, sześć godzin później. Nie wiem dokładnie, o której; w każdym razie w środku nocy.

Andreas i ja jesteśmy na zewnątrz, razem daliśmy nogę z Pannucciego, baru mieszczącego się w piwnicy przy Phenix Street. Uciekliśmy przed harmidrem, smrodem dymu tytoniowego i ponurą atmosferą spelunki. Stoimy pośrodku zaśnieżonego chodnika, żaden z nas nie miał ochoty na nic mocniejszego. Andreas został dosłownie oderwany od swojego biurka przez McGully'ego i zmuszony do świętowania mojego pierwszego sukcesu. Chociaż tak naprawdę nie rozwiązałem żadnej sprawy, ba, w ogóle nie było żadnej sprawy, jeśli się dobrze zastanowić. Tak czy inaczej, tam na dole było okropnie, smród dymu papierosowego mieszał się z oparami alkoholu, pochłonięty na cały regulator telewizor zagłuszał rozmowy. Ludzie tłoczyli się między pokrytymi graffiti filarami, które jako jedyne powstrzymują tę rudę przed zawaleniem. Nie mówiąc już o tym, że jakiś mądrała puszczał bez przerwy utwory Elvise Costello *Czekając na koniec świata*, Toma Waitsa *Ziemia skończyła z wrzaskiem* i ten nieśmiertelny kawałek R.E.M.

Na zewnątrz znów zaczyna śnieżyć, wielkie grube płatki sypią się z nieba, rykoszetując od ceglanych ścian. Wsuwam dłoń głęboko w kieszenie, odchylam mocno głowę i gapię się w niebo zdrowym okiem.

- Słuchaj... - rzucam do Andreasa.

- Taaa?

Waham się. Nienawidzę takich momentów. Andreas wyciąga camela z paczki, a ja patrzę na płatki śniegu rozpuszczające się na jego czuprynie.

- Przepraszam - mówię, gdy udaje mu się zapalić papierosa.

- Za co?

- Za rozlanie twojej kawy.

Uśmiecha się sztywno, potem zaciąga dymem.

- Nie ma sprawy - odpowiada.

- Ale...

- Serio, Henry. Kogo to obchodzi?

Na schodach prowadzących do baru pojawia się gromadka nastolatków, śmieją się jak szaleni, wystrojeni w dziwaczne preapokaliptyczne ciuchy. Jedna z dziewczyn ma na sobie szmaragdową suknię balową i tiarę, jej chłopak nosi się po go-tycku na czarno. Inny dzieciak, trudnej do ustalenia płci, włożył workowate szorty na kraciaste rajtuzy, a szelki podprowadził chyba zawodowemu klaunowi. Zza otwieranych drzwi bucha muzyka, chyba jakiś kawałek U2, cichnie jednak niemal natychmiast, gdy wejście zostaje ponownie zamknięte.

- W gazetach piszą, że Pakistańczycy chcą rozpieprzyć ją na strzępy - odzywa się Andreas.

Próbuję sobie przypomnieć, który utwór U2 traktuje o końcu świata. Przenoszę wzrok z dzieciaków na ulicę.

- Tak. Twierdzą, że rozgryźli problem, i wiedzą, jak to zrobić. A my mówimy, że im na to nie pozwolimy.

- Tak, słyszałem.

- Widziałem konferencję prasową. Sekretarza stanu i sekretarza obrony. I kogoś jeszcze. Oświadczyli, że jeśli Pakistańczycy spróbują, my spuścimy na nich atomówki pierwsi, zanim zdążą wystrzelić swoje rakiety. Dlaczego mielibyśmy zrobić coś takiego?

- Nie wiem. - Czuję pustkę wewnątrz. Zimno mi. Andreas wygląda na wycieńczonego.

- To przecież jakieś szaleństwo.

Oko zaczyna mnie boleć, policzek mi drętwieje. Po wyjściu od Littlejohnów zadzwoniłem do Dotsetha, a on łaskawie przyjął moje przeprosiny za marnowanie jego cennego czasu, po czym zażartował, jak to on, że nie wie, z kim rozmawia ani o jaką sprawę chodzi.

Andreas chce powiedzieć coś jeszcze, ale przerywa mu dźwięk klaksonu dobiegający gdzieś z prawej. Z miejsca, w którym Phenix Street mija szczyt wzniesienia i zaczyna opadać ku Main Street. Głośny, żywiłowy odgłos klaksonu miejskiego autobusu, który nabiera prędkości, pędząc w dół. Dzieciaki zaczynają wrzeszczeć i wiwatować, machają w jego kierunku, a ja i Andreas patrzymy na siebie. Komunikacja miejska została zawieszona już dawno temu, ale nawet wcześniej żadna nocna linia nie biegła wzdłuż Phenix Street.

Autobus zbliża się szybko, jadąc dwoma kołami po chodniku, ruszam więc w jego stronę, wyszarpuję służbowy pistolet z kabury i mierzę w szeroką przednią szybę. To jest jak sen: wokół mrok, olbrzymi autobus oznaczony świecącym napisem: „Zjazd do zajezdni”, który mknie prosto na nas niczym okręt widmo. Jest już tak blisko, że możemy zobaczyć kierowcę, to młody chłopak, tuż pod dwudziestce, biały, ma na głowie odwróconą daszkiem do tyłu bejsbolówkę, niechlujny zarost pod nosem i szeroko rozwarte oczy, spojrzenie podekscytowane tą przygodą. Jego kumpel, czarnoskóry, też dwudziestoparolatek noszący podobną czapkę, stoi w otwartych przednich drzwiach, wychyla się i wrzeszczy: „Juhuu!”. Każdy z nas chciał kiedyś zrobić coś szalonego: te dwa matole, jak widać, przez całe życie marzyły o przejażdżce kradzionym autobusem.

Dzieciaki stojące obok nas wyją, zwijając się ze śmiechu. Andreas gapi się prosto w oślepiający blask reflektorów, a ja stoję z pistoletem w garści i zastanawiam się, jak to rozegrać. Może najlepiej nic nie robić, pozwolić im odjechać.

- A co tam! - rzuca nagle Andreas.

- Co powiedziałaś?

Jest już jednak za późno. Odwraca się, rzuca niedopałek w kierunku baru i wskakuje przed maskę rozpędzonego autobusu.

- Nie... - Starcza mi czasu, by wypowiedzieć tylko tę jedną, przesyconą smutkiem sylabę.

Dobrze to sobie wyliczył. Wektory człowieka i autobusu skrzyżowały się w przestrzeni, choć ich masy i prędkości były diametralnie różne. Bum!

Autobus hamuje z przeraźliwym piskiem, czas zamiera, tworząc stopklatkę: dziewczyna w sukni balowej kryje twarz w ramieniu gota, ja stoję z rozdziawioną gębą, mierząc z broni, jak dureń, w bok autobusu, który zatrzymał się pod zwariowanym kątem - tylnymi kołami na chodniku, a przednimi na jezdni. Andreas ześlizguje się po masce i pada na ziemię. Ludzie wybiegają tłumnie z baru, wokół słyszę podniesione głosy i krzyki. Porywacz autobusu i jego kumpel wytaczają się na zewnątrz i stają przy drzwiach, skąd gapią się z niedowierzaniem na zwłoki Andreasa.

Nagle u mojego boku pojawia się Culverson, czuję stanowczy ucisk na nadgarstku, automatycznie opuszczam rękę z pistoletem wzdłuż boku. McGully przepycha się przez tłum, wrzeszcząc na cały głos: „Policja!” i wymachując odznaką. W drugiej dłoni trzyma piwo, pomiędzy jego zębów sterczy cygaro. Przykłęka na środku jezdni, przykładając dwa palce do szyi Andreasa. Culverson i ja stoimy pośrodku oniemiałego tłumu, obłóczki marznęcej pary wydobywają się z naszych ust. Głowa naszego kolegi wydaje się nienaturalnie przekręcona, złamał kark. Nie żyje.

- Co o tym sądzisz, Palace? - pyta McGully, zrywając się na równe nogi i spoglądając w moim kierunku. - To samobójstwo czy morderstwo?

CZĘŚĆ TRZECIA

Pobożne życzenia

Wtorek, 27 marca

Rektascensja 19 11 43,2

Deklinacja -34 36 47

Elongacja 83,0

Delta 3,023 j.a.

1.

- Boże Wszechmogący! Henry Palace, co się z tobą porobiło?

To podsumowanie, padające z ust dawnej sympatii, której nie widziałem od sześciu lat, wydaje mi się wyjątkowo nietaktowne, ale zaraz uzmysławiam sobie, jak wygląda moja twarz, moje oko. Unoszę dłoń, poprawiam gruby opatrunek, przyglądam węża, wyczuwając przy okazji szczecinę pokrywającą szczękę.

- Miałem ostatnio kilka gorszych dni - odpowiadam.

- Przykro mi to słyszeć.

Jest wpół do siódmej rano. Andreas nie żyje, Zell nie żyje, Toussaint nie żyje. Ja natomiast stoję pośrodku Cambridge, na kładce biegnącej w poprzek rzeki Charles, gaworząc niezobowiązująco z Alison Koechner. Dzień jest zadziwiająco przyjemny, temperatura skoczyła do ponad dziesięciu stopni na plusie, zupełnie jakby przekroczenie granicy stanu Massachusetts było równoznaczne z dotarciem na drugą, cieplejszą półkulę. Łagodne powiewy wiatru, blask wstającego słońca, szum wody pod naszymi stopami, wszystko to sprawiałoby mi radość, ale nie w tym życiu, nie tu i teraz. Gdy przymykam oczy, widzę jedynie śmierć: Andreas rozplaszczony na masce autobusu, J.T. Toussaint leżący pod ścianą z podziurawionym kulami tułowiem, Peter Zell wiszący w łazience restauracji.

- Miło cię znowu widzieć, Alison.

- Naprawdę? - pyta.

- Naprawdę.

- Nie drążmy tego tematu.

Dzika platanina włosów w odcieniu rudej orchidei została przycięta na dorosłą modłę i spięta w kok szpilkami. Alison ma

na sobie szare spodnie, szary blezer i małą złotą broszkę w klapie. Wygląda niesamowicie.

- Zatem... - Wyciąga z wewnętrznej kieszeni niewielką kopertę. - Ten cały Skeve to jakiś twój przyjaciel?

- Nie - odpowiadam natychmiast, unosząc palec. - To mąż Nico.

Alison spogląda na mnie, unosząc znacząco brew.

- Nico wyszła za mąż?

- Asteroida. - To jedno słowo wystarcza za wyjaśnienie. Spontaniczny ślub. Ślub z przymusu. Ogromnego przymusu. Alison przytakuje, rzuca zdawkowe: „No, no”. Nico miała dwanaście lat, gdy się poznały, ale już wtedy nie wyglądała na osobę, która może się kiedykolwiek ustatkować. Palła ukradkiem papierosy, podkradała dziadkowi piwo z lodówki w garażu, bez przerwy miała problemy z fryzurą i dyscypliną.

- Dobrze. Zatem ten twój szwagier, Skeve, jest terrorystą.

Wybucham śmiechem.

- Nie. Skeve nie jest żadnym terrorystą. To idiota.

- Część diagramu Venna, zawierająca obie te kategorie, może być naprawdę pojemna.

Wzdycham, opieram się biodrem o pordzewiałą poręcz kładki. Pod nami przepływa łódź wiosłowa, prując wąskim dziobem spokojne wody, jej załoga pojekuje z wysiłku, zanim zniknie pod mostem. Podziwiam te dzieciaki, którym chce się wstać przed szóstą, by wiosłować zawzięcie, walczyć o formę i trzymać się programu. Naprawdę je podziwiam.

- Co byś pomyślał - pyta Alison - gdybym ci powiedziała, że rząd Stanów Zjednoczonych już dawno temu przewidział możliwość wystąpienia podobnego kryzysu i przygotował plan ratunkowy? Że kazał wybudować, w tajemnicy rzecz jasna, schrony gwarantujące przetrwanie, oczywiście tam, gdzie nie wystąpią skutki uderzenia asteroidy? Miejsce, do którego zo-

staną wysłane najjaśniejsze umysły ludzkości, by odtworzyć nasz gatunek?

Unoszę dłoń do twarzy, rozmasowuję policzek, który zaczyna nie tylko cierpnąć, ale i boleć.

- Powiedziałbym, że to szaleństwo. Hollywoodzka bzdura.

- I miałbyś rację. Ale są ludzie, którzy w to wierzą.

- Na litość boską!

Przypominam sobie Dereka Skeve'a leżącego na wąskiej pry-
czy, z tym durnym uśmiechem na ustach. „Chciałbym ci powie-
dzieć, ale to tajemnica”.

Alison otwiera białą kopertę, rozkłada trzy kartki równie ja-
snego papieru i podaje mi je, a ja nagle czuję ochotę, by po-
wiedzieć: „Wiesz co, zapomnijmy o nim. Mam sprawę morder-
stwa do rozwiązania”. Rzecz w tym jednak, że to nieprawda.

Trzy kartki zapisane gęsto na maszynie, żadnych znaków
wodnych, pieczęci agencji, tylko tu i owdzie plamy po korekto-
rze. W dwa tysiące ósmym roku Dyrektoriat Strategicznego
Planowania Sił Lotniczych Stanów Zjednoczonych doprowadził
do spotkania wybranych pracowników szesnastu agencji rzą-
dowych, wliczając w to DHS, DTRA i NASA. Tematem burzy
mózgów był „globalny kataklizm”, który miał nastąpić „w rela-
tywnie krótkim czasie” - wypisz, wymaluj 2011GV₁ - i sposób
zapobieżenia mu. Rozważono wszelkie możliwości: nuklearne
kontruderzenie, powolną operację zepchnięcia obiektu z do-
tychczasowej orbity, atak kinetyczny. Ostatecznie uczestnicy
doszli do wniosku, że w razie najgorszego pozostanie skupić
się na obronie cywilnej.

Ziewam, ale brnę dalej. Jestem wciąż na pierwszej stronie.

- Alison?

Przewraca nieznacznie oczami, jest to tak znajomy, łagodnie
sarkastyczny gest, że momentalnie ściska mi się serce.

Moja była sympatia wyrywa mi papiery z ręki.

- Wystąpiła różnica poglądów. Astrofizyczka z Lawrence Livermore National Laboratory, niejaka doktor Mary Catchman, nalegała na to, by rząd podjął działania zapobiegawcze i wybudował schrony na Księżycu. Gdy pojawiła się Maja, parę osób uznało, że Departament Obrony zrealizował te zalecenia, a co za tym idzie, że te schrony istnieją.

- Schrony?

- Tak.

- Na Księżycu?

- Tak.

Mrużę powieki przed blaskiem bladego wciąż słońca i natchmiast widzę oczami wyobraźni Andreasa rozplaszczonego na masce autobusu, zsuwającego się z niej powoli. WYSTAR-CZY SIĘ MODLIĆ.

Tajne rządowe schrony. Ludzka niezdolność do zmierzenia się z faktami jest gorsza od samego zagrożenia. Naprawdę.

- Powiadasz więc, że Derek krążył quadem po bazie, ponieważ szukał czego... Planów? Kapsuł ratunkowych? Gigantycznej procy?

- Czegoś w tym rodzaju.

- To jeszcze nie czyni z niego terrorysty.

- Wiem, ale tak to zakwalifikowano. Od chwili gdy przyklepiono mu tę etykietkę, nie da się nic zrobić. Tak teraz działa wojskowy wymiar sprawiedliwości.

- Wiesz, nie przepadam za tym gnojkiem, ale Nico go kocha. Naprawdę nie da się nic...

- Nic. Nic a nic. - Alison rzuca długie spojrzenie na rzekę, wioślarzy, kaczki, chmury sunące wzdłuż brzegu. Nie jest pierwszą dziewczyną, z którą się całowałem, ale pozostała tą, z którą robiłem to dotychczas najczęściej. - Wybacz. To nie moja specjalność.

- A jaka jest twoja specjalność?

Nie odpowiada. Wiedziałem, że tak będzie. Pozostaliśmy w kontakcie, wymienialiśmy się okazjonalnie adresami mailowymi, co kilka lat podawaliśmy sobie nowe numery telefonów. Stąd wiem, że stacjonuje w Nowej Anglii i że pracuje dla agencji rządowej, działając na szczeblu dla mnie nieosiągalnym. Zanim zaczęliśmy się spotykać, chciała zostać weterynarzem.

- Masz jeszcze jakieś pytania?

- Nie. - Zerkam na rzekę, później znów przenoszę wzrok na nią. - Czeka. Tak. Przyjaciel zapytał mnie, dlaczego nie pozwolimy Pakistańczykom rozwalić tej asteroidy, skoro mają na to ochotę.

Alison wybucha śmiechem pozbawionym wesołości, po czym zaczyna drzeć trzymane w ręku kartki.

- Przekaż swojemu przyjacielowi - odzywa się, rwąc dokument na coraz mniejsze kawałki - że gdyby to zrobili, co nie wchodzi w grę, mielibyśmy do czynienia nie z jednym wielkim kamieniem, a z tysiącami mniejszych, choć równie niszczycielskich. Z setkami tysięcy napromieniowanych asteroid.

Nie odpowiadam. Alison wysypuje podrobiony papier za balustradę, do rzeki, po czym odwraca się do mnie i uśmiecha.

- Nad czym to pan pracuje, detektywie? - pyta.

- Nad niczym - odpowiadam, odwracając wzrok. - Naprawdę.

* * *

Ale i tak opowiadam jej o Zellu, nie umiem się powstrzymać. Idziemy aleją Johna F. Kennedy'ego, od Memorial Drive aż do placu Harvarda. Wyłuszczam jej wszystko, od początku do końca, a na koniec proszę, jak zawodowiec zawodowca, by wyraziła swoją opinię.

Docieramy do kiosku, w którym kiedyś sprzedawano gazety; teraz jest opleciony bożonarodzeniowymi lampkami, w środku pomrukuje niewielki generator, prychając i charcząc od czasu

do czasu jak miniaturowy czołg. Szyby kiosku zostały zaczer-
nione, a na drzwiach ktoś wywiesił dwa kawałki kartonu
z wielkim czarnym napisem: DOKTOR KAWA.

- Cóż - mówi Alison, gdy otwieram przed nią drzwi. - Nie ma-
jąc przed oczami materiału dowodowego, mogę powiedzieć, że
doszedłeś do słusznych wniosków. W dziewięćdziesięciu pięciu
takich przypadkach na sto delikwent okazuje się samobójcą.

- Owszem - przyznaję.

We wnętrzu przerobionego kiosku jest ciemno, za źródło
światła służy kilka nagich żarówek i kolejne choinkowe lamp-
ki. Zauważam jednak staromodną kasę oraz ekspres do kawy,
przysadzisty i połyskujący, zaparkowany niczym czołg na środ-
ku czarnej lady.

- Witajcie, istoty ludzkie - rzuca właściciel tego przybytku,
brodaty Azjata, góra dziewiętnastolatek, w kapelutku i okula-
rach w rogowej oprawie. Salutuje Alison z uśmiechem na twa-
rzy. - Miło mi, jak zawsze zresztą.

- Dziękuję, doktorze Kawa - odpowiada moja była. - Kto pro-
wadzi?

- Niech sprawdzę...

Spoglądam tam gdzie on, na siedem papierowych kubków
ustawionych w szeregu na samym końcu lady. Na każdym wy-
pisano nazwę kontynentu. Porusza kilkoma z nich, potrząsa,
na koniec liczy wzrokiem wsypane do nich ziarna kawy.

- Antarktyda. Bezkonkurencyjnie.

- Pobożne życzenia - wzdycha Alison.

- Co ty nie powiesz, siostrze.

- Dwie zwykle.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - pada odpowiedź.

Pracuje szybko, ustawia dwie filigranowe filiżanki, zanurza
końcówkę parownika w stalowym kubku z mlekiem i włącza
ekspres.

- Najlepsza kawa na świecie - zapewnia mnie Alison z przekonaniem.

- A co z tą pięcioprocentową szansą? - rzucam, gdy ekspres zaczyna grzechotać i bulgotać.

Alison uśmiecha się pod nosem.

- Wiedziałam, że o to zapytasz.

- Tak się zastanawiam.

- Henry - mówi Alison, gdy chłopak podaje nam dwie miniaturowe filiżanki kawy. - Mogę ci coś powiedzieć? Możesz pracować nad tą sprawą w nieskończoność, możesz odkryć wszystkie wiążące się z nią sekrety, możesz odtworzyć życie tego faceta aż do chwili narodzin jego, jego ojca czy dziadka, ale ten świat i tak się skończy.

- Tak. Wiem. - Siedzimy w kącie tego erzacu kawiarni, skuleni przy skołowanym przez doktora Kawę plastikowym stoliku karcianym. - Ale co z tymi pięcioma procentami z twojej analizy?

Wzdycha i raz jeszcze raczy mnie tym lekko sarkastycznym wywróceniem oczu.

- Te pięć procent wygląda tak... Ten facet, jak mu tam, Tous-saint... Żeby zaatakować cię popielniczką i spróbować ucieczki, i to w obecności trzech uzbrojonych detektywów, musiał być naprawdę zdesperowany.

- McGully groził mu wcześniej egzekucją.

- W żartach.

- Bał się. Nie wiedział, że to żarty.

- Tak, tak. - Przekrzywia głowę to w jedną, to w drugą stronę, zagłębiając się w myślach. - Ale ty groziłeś mu w tym samym czasie aresztem z powodu jakiegoś pomniejszego naruszenia prawa.

- Na dwa tygodnie. Przeróbka silnika. Drobnostka - precyzuję.

- Tak - mruczy. - Ale z powodu tej drobnostki chcieliście przeszukać jego dom, zgadza się?

Alison przerywa, by napić się kawy. Ja swojej na razie nie ruszam, tylko gapię się na moją byłą. O, Henry, myślę sobie. Henry. Cholera. Ktoś nowy wchodzi do kawiarni, młoda dziewczyna, studentka. Doktor Kawa rzuca oczywiście: „Witaj, isto to ludzka”, odpala maszynę, a dziewczyna wrzuca ziarenko kawy do kubka oznaczonego napisem EUROPA.

- To tylko pięcioprocentowe prawdopodobieństwo - podsumowuje Alison. - Ale sam wiesz, co ludzie mówią o prawdopodobieństwie.

- Tak - odpowiadam, delektując się kawą, która jest naprawdę pyszna. - Tak, tak, tak.

* * *

Buzuję. Czuję to. Ta kawa, ten poranek... Pięć procent szans. Dziewięćdziesiątką trójką na północ. Dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, ósma rano, ani jednego samochodu na drodze.

Gdzieś pomiędzy Lowell a Lawrence komórka chwyta trzy kreski zasięgu, więc dzwonię do Nico, budzę ją i przekazuję złe wieści. Derek wplątał się w coś naprawdę szalonego, więc nie zostanie zwolniony.

Pomijam większość szczegółów. Nie używam słowa terrorysta. Nie wspominam o tajnej organizacji ani o schronach na Księżycu. Powtarzam tylko to, co Alison powiedziała o obecnym wojskowym systemie sprawiedliwości: raz przyczepiona etykieta wystarcza, by zatrzymać kogoś w areszcie na dobre.

Stawiam sprawę najdelikatniej, jak umiem, ale też jasno: jest, jak jest, nic więcej nie możemy zrobić - w duchu przygotowując się na płaczliwą, wściekłą, nawet nienawistną replikę.

Moja siostra jednak milczy, odsuwam komórkę od ucha, by sprawdzić, czy nadal mam zasięg.

- Nico?

- Tak, jestem tutaj.

- Czy... Czy to znaczy, że rozumiesz?

Jadę na północ, ciągle na północ, mijam granicę stanu. Witamy w New Hampshire. Żyj wolnym lub zgiń.

- Tak - odpowiada Nico, po czym przerywa, by wydmuchnąć powoli dym papierosowy. - Rozumiem.

- Wygląda na to, że Derek spędzi resztę życia na terenie tej bazy.

- Rozumiem, Henry - powtarza z naciskiem, jakbym chciał rozdrapywać rany. - Rozumiem. Jak udało się spotkanie z Alison?

- Słucham?

- Jak ona wygląda?

- No... dobrze - rzucam. - Wygląda naprawdę dobrze.

W tym momencie rozmowa skręca jakimś cudem na inne tory, Nico mówi mi, jak bardzo lubiła kiedyś Alison, po czym oboje zaczynamy wspominać dawne dobre czasy: dorastanie, pierwsze dni na farmie dziadka i późniejsze wydarzenia, takie jak zakradanie się do piwnicy z dziewczynami i chłopakami. Za oknem wozu przemyka monotony krajobraz. Przez chwilę znów rozmawiamy ze sobą tak jak kiedyś, dwoje dzieciaków, brat i siostra, w prawdziwym świecie.

Chwilę po zakończeniu tej rozmowy docieram do celu. Mijam południową część Concord, ale zasięg mam wciąż wyjątkowo dobry, więc korzystam z okazji i wybieram kolejne połączenie.

- Pan Dotseth?

- Cześć, młodzieńcze. Słyszałem, co przydarzyło się Andreasowi. Chryste.

- Wiem, wiem. Proszę posłuchać, zamierzam jeszcze raz tam się rozejrzeć.

- Zamierzasz rozejrzeć się gdzie?
- Na posesji przy Bow Bog Road. Tam, gdzie próbowaliśmy dokonać aresztowania podejrzanego w sprawie wisielca.
- Nieźle wam poszło. Poza tym, że zastrzeliliście faceta.
- Tak, proszę pana.
- Hej, a słyszałeś już, młodzieńcze, o tych dwóch głupkach z Henniker? Para szczyli jechała na tandemie, ciągnąc za sobą na lince walizkę, taką na kółkach. Zatrzymała ich stanowa policja, okazało się, że w walizce mieli pełno escopetas, tych małych meksykańskich obrzynów. Mówimy o broni wartej pięćdziesiąt tysięcy, z którą paradowały jakieś dzieciaki.
- No, no.
- Po obecnych cenach, oczywiście.
- Tak. Zatem, panie Dotseth, zamierzam pojechać tam jeszcze raz i trochę się rozejrzeć.
- Zamierzasz rozejrzeć się gdzie?

* * *

Zabezpieczenie paskudnej chałupy J.T. Toussainta taśmą policyjną wykonano w wyjątkowo niechlujny sposób. Ktoś przeciągnął żółty pas celofanu pomiędzy filarami werandy, kilkakrotnie, ale luźno, więc zwisał smętnie, łopocząc przy każdym porywie wiatru, potem przymocował go do konara pobliskiego dębu, a na koniec przywiązał do słupka skrzynki na listy. Dzień później wygląda to naprawdę smętnie, jak nieuprzątnięte dekoracje po dawno zapomnianym przyjęciu urodzinowym.

Dom powinien zostać przeszukany przez mundurowych funkcjonariuszy z patrolówki, ponieważ wymagają tego procedury, ja jednak wątpię, czy tak się stało. Po pierwsze, wskazuje na to niedbałość, z jaką zabezpieczono miejsce zdarzenia, a po drugie - wewnątrz domu wydaje się nietknięte. Wszystkie meble w salonie stoją tam, gdzie je zostawiliśmy. Nie mam więc problemu z wyobrażeniem sobie rozkoszującego się kanapką

z jajkiem i kiełbasą posterunkowego Michelsona, który przechadza się po czterech małych pokojach, podnosząc jedną ręką poduchy na sofie, zaglądając do lodówki, ziewając i mając to wszystko gdzieś.

Sześć sporych plam zaschniętej poczerniałej krwi tworzy długi archipelag na pokrytej grubą wykładziną podłodze salonu w miejscu, gdzie łączy się ona z parkietem przedpokoju. Krew z rozcięcia pod moim oknem, krew z rozbitej głowy Toussainta i paru ran postrzałowych, które doprowadziły do jego śmierci.

Omijam je z dużą ostrożnością, potem stoję na samym środku pomieszczenia, obracam się wolno, dzieląc ten dom - mentalnie, rzecz jasna - na sektory, jak polecają Farley i Leonard, abym mógł rozpocząć prawdziwe przeszukanie. Sprawdzam budynek milimetr po milimetrze, czolgając się nawet, by niezdarnie wpełznąć pod łóżko Toussainta. Wyciągam składaną drabinę ze schowka i wspinam się po niej pod sufit, by odsunąć jedną z płyt, sprawdzić, co się za nią kryje, nie znajduję jednak niczego prócz izolacji i składowiska pradawnego kurzu. Grzebię w garderobie ofiary - czego ja w niej właściwie szukam? Wieszaka na bajeranckie paski z jednym pustym haczykiem? Planów toalety McDonalda przy Main Street? Sam już nie wiem.

Znajduję - majtki, koszule, ogrodniczki. Dwie pary butów. Poza tym nic.

Pięć procent, jak wyliczyła Alison. Pięć procent szans.

Wąskie drzwi za spiżarnią prowadzą na krótkie, pozbawione poręczy betonowe schody. Ponura piwnica, jedyna żarówka, którą zapala się pociągnięciem za kawałek sznurka. Naprzeciw wejścia stoi zepsuty bojler, w którym urządzono legowisko dla psa. Wielka poducha do spania, kolekcja pogryzionych gumowych zabawek, wylizana do czysta miska na karmę i druga, do ćwierci wysokości wypełniona brudną wodą.

- Biedaczysko - mówię na głos i wtedy się pojawia.

Jakby za sprawą czarów na szczycie schodów staje Houdini. Małeńki kudłaty psiak, wyszczerzone poźółkłe kły, wielkie oczy, kręcona, mocno brudna sierść.

Co mam z nim począć? Znajduję resztki bekonu i smażę je szybko, a potem, gdy Houdini je pałaszuje, opadam ciężko na kuchenne krzesło i wyobrażam sobie że Peter Zell jest tu ze mną, siedzi naprzeciw, bez okularów, które spoczywają obok na blacie, i skupia całą uwagę na poprawnym wciągnięciu nosem rozdrobnionej na pył zawartości tabletki przeciwbólowej.

Nagle od strony wejścia dobiega głośny huk zatrzaskiwanych drzwi. Krzesło wali się głośno na podłogę, gdy podnoszę się raptownie. Houdini przerywa jedzenie, zaczyna warczeć, a ja zrywam się do biegu, pędzę najszybciej jak umiem, mijam salon, przedpokój, otwieram drzwi i krzyczę: „Policja!”.

Nic, cisza, biały trawnik, szare chmury.

Gnam w stronę ulicy, tracę równowagę, ale niemal natychmiast ją odzyskuję, ślizgam się pod koniec, jakbym jeździł po lodzie. Drę się: „Policja!”, najpierw w jednym kierunku, potem w drugim, dysząc ciężko. Ktoś był w domu przez cały czas razem ze mną, zakradł się w poszukiwaniu tego samego co ja, ale uciekł i zniknął.

- Niech to - mruczę pod nosem.

Odwracam się, wpatruję w ziemię, próbując odróżnić odciśnięte w tej brei ślady stóp intruza od moich własnych. Z nieba sypią się znów wielkie płatki śniegu, leniwie, jeden za drugim, jakby wcześniej ustaliły, w jakiej kolejności spadną. Serce pozwoli mi się uspokaja.

Houdini pojawia się w progu, oblizuje pyszczek. Nadal jest głodny.

Zaraz... Przechyliłam głowę, przyglądam się domowi, drzewu, trawnikowi.

- Chwileczkę.

Co kryje buda, skoro Houdini mieszka w starym bojlerze?

* * *

Odpowiedź jest prosta: tabletki i nie tylko. Jest tam także cała masa innego towaru.

Brązowe koperty pełne buteleczek leków, w każdej po kilkadziesiąt trzydziesto- i sześćdziesięciomiligramowych pigułek, na których wyciśnięto nazwę albo logo producenta. Zdecydowana większość to morfina o zmodyfikowanym uwalnianiu, ale znajduję też oksykodon, hydromorfon, lidokainę. Sześć takich kopert, w sumie kilkaset pigułek w każdej. Niewielki karton pociętego na małe kawałki pergaminu. Moździerz do rozniania tabletek, zwyczajny, jaki można kupić w każdej aptece. Drugi karton, wsadzony do foliowego worka, w nim papierowa torebka z supermarketu skrywająca pistolet, za który dziś można by dostać kilka tysięcy dolców. Są też fiolki pełne jakiejś ciemnej cieczy i kilkadziesiąt próżniowo zapakowanych strzykawek. W kolejnej papierowej torbie znajduję gotówkę. Grube pliki studolarówek.

Dwa tysiące, trzy tysiące.

Przestaję liczyć przy pięciu tysiącach. Ręce mi się za bardzo trzęsą. W każdym razie widzę tutaj mnóstwo kasy.

Wracam do wozu po rolkę świeżej taśmy. Rozwijam ją, zabezpieczam jak trzeba, ciasno, mocno. Houdini drepcze za mną do granic posesji, a potem staje obok, dysząc. Nie zapraszam go do chevroleta, ale też nie robię nic, by go powstrzymać przed wskoczeniem do środka.

* * *

- Rewir. Bracie. No nie uwierzysz, jak ci powiem. - McGully stoi przy lekko uchylonym oknie, w pokoju wyczuwam słodka-ciężki zapach. - Jacyś jajcarze w Henniker jadą tandemem, ciągną za sobą na sznurku walizkę na kółkach...

- Słyszałem już o tym.

- Tak? - mruczy. - Szkoda.

- Palisz marihuanę?

- Tak sobie pociągam. To był naprawdę ciężki tydzień. Zastrzeliłem faceta, pamiętasz? Chcesz zajarać?

- Nie, dzięki.

Mówię mu o wypadzie do domu Toussainta. Mówię, jak się dowiedziałem, że coś jeszcze jest na rzeczy. Słucha mnie ze szklistym wzrokiem, od czasu do czasu zaciągając się dymem z cienkiego blanta i wydmuchując go przez uchylone okno. Nie widzę nigdzie Culversona, biurko Andreasa zostało opróżnione, monitor stoi ekranem do ściany, telefon wypięto z gniazdka. Wydawać by się mogło, że od lat nikt tutaj nie siedział.

- Zatem ten śmieć cały czas nas okłamywał - podsumowuje McGully. - Mogłem się tego domyślić. To diler, uzależnił swojego przyjaciela, a ten się powiesił.

- Z tym że to Zell załatwił prochy. To on ukradł siostrze bloczek recept.

- No tak. - Szczerzy zęby, drapie się po brodzie. - Ale czekaj no... Wiesz co? Kogo to teraz obchodzi?

- Racja - przyznaję. - Celną uwagę.

- Ej. Czy to nie ten pieprzony kundel z miejsca zbrodni?

- Może... - odpowiadam.

- Może co? - obrusza się McGully, a ja zaczynam krążyć nerwowo po pokoju z psem podążającym moim śladem.

- Może było tak: Peter przyniósł Toussaintowi te tabletki w czerwcu. Zaczęli się spotykać, ćpali razem, ale Zell w końcu odpuścił, no i J.T. został z tym sam. W pewnym momencie zaczął sprzedawać nadwyżki i tak zarobił sporą kasę. A że klientów przybywało, znalazł nowego dostawcę.

- Tak! - wykrzykuje podniecony McGully i wali pięścią w stół.

- To pewnie ta sama osoba, która chciała cię zabić, rozpinając łańcuchy śniegowe.

Spoglądam na niego i widzę, że kpi ze mnie. Siadam za własnym biurkiem.

Nie ma sensu mówić mu o nieoczekiwanym trzaśnięciu drzwi w trakcie przeszukania, gdyż uzna, że to zmyśliłem, albo powie, że to duchy. Tymczasem ja wiem, że niczego nie zmyślam i że duchy nie istnieją. Ktoś próbował mnie powstrzymać przed znalezieniem tych narkotyków i na pewno nie był to J.T. Toussaint, ponieważ J.T. Toussaint spoczywa w kostnicy pod budynkiem miejskiego szpitala.

Houdini węszy pod biurkiem Andreasa, układa się tam do snu. Moja komórka dzwoni.

- Halo! Detektyw Palace?

To Naomi Eddes, wydaje się zdenerwowana, a na dźwięk jej głosu i ja staję się niespokojny, jak jakiś dzieciak.

- Tak, to ja. Witam. - Czuję na sobie wzrok McGully'ego, więc wstaję z krzesła i podchodzę do okna. - W czym mogę pomóc?

- Ja tylko... - Słyszę serię trzasków, serce skacze mi do gardła na myśl, że straciłem zasięg.

- Halo! Czy...

- Jestem tu wciąż. Ja... przypomniałam sobie o czymś, co może pomóc w pana dochodzeniu.

2.

- Dobry wieczór - rzuca, a ja odpowiadam tymi samymi słowami, po czym mierzymy się wzrokiem przez kilka sekund.

Naomi Eddes przyszła w jaskrawoczerwonej sukience ozdobionej na przodzie rzędem czarnych guzików. Ja za to wyglądam strasznie, jestem tego pewien. Żałuję, że nie wpadłem do domu, by zamienić „służbowe” ciuchy, czyli szarą marynarkę i niebieski krawat, na coś bardziej odpowiedniego, skoro mam zjeść kolację w towarzystwie damy. Problem jednak w tym, że wszystkie moje marynarki są szare, a krawaty niebieskie.

Naomi mieszka w Concord Heights, na południe od Airport Road, na nowo wybudowanym osiedlu, gdzie wszystkie ulice wzięły nazwy od owoców. Jej dom stoi przy Ananasowej, a wszystkie budynki na zachód od Kiwi pozostały niewykończone z powodu nadciągającej katastrofy. Drewniane szkielety sterczą w niebo niczym wykopane kości dinozaurów, dachy tylko w połowie są pokryte gontem, wnętrza już dawno zdewastowano, nigdy nie używane kuchnie ograbiono z miedzi i mosiądzu.

- Nie może pan wejść - stwierdza, wychodząc na werandę z kurtką przerzuconą przez ramię. Szybko naciąga czapkę na gładko ogoloną głowę. Nigdy wcześniej nie widziałem podobnego nakrycia głowy, to coś jakby damska wersja filcowego kapelusza. - Straszny mam bałagan. Dokąd idziemy?

- Powiedziałaś... - Naomi kieruje się w stronę mojego wozu, więc ruszam za nią, ślizgając się na skrawkach czarnego lodu, który pokrywa podjazd. - Powiedziałaś, że masz dla mnie informacje mogące pomóc w rozwiązaniu sprawy Petera.

- Bo mam - odpowiada. - A przynajmniej tak uważam. Choć to nie tyle informacje, ile... coś jakby idea. Co ci się stało w twarz?

- Długo by opowiadać.

- Boli cię?

- Nie.

- To dobrze.

Powiedziałem prawdę, zranione oko nie dało mi się we znaki ani razu od rana, lecz gdy tylko słowo „nie” opuściło moje usta, prawą stronę twarzy przeszyło mi pulsujące ukłucie bólu promieniujące z pękniętego oczodołu, zupełnie jakby rana próbowała mnie ukarać za łgarstwo. Mrużę zdrowe oko, przetrzymuję falę nudności, a gdy podnoszę głowę, zauważam, że Naomi stoi przy drzwiach od strony pasażera, po staroświecku czekając, aż je przed nią otworzę, więc obiegam maskę, by to zrobić. Zanim zdążę wrócić na swoją stronę, ona już siedzi w fotelu i wyciąga rękę do komputera pokładowego, lecz pomimo wyraźnej fascynacji tym sprzętem nie dotyka ekranu.

- Cóż to za idea?

- Jak to działa?

- To najzwyklejszy komputer. Dzięki niemu wiem, gdzie są w danym momencie wszyscy pozostali policjanci.

- Co to znaczy DZ?

- Dowódca Zmiany. O jakiej idei mówisz?

- To pewnie nic takiego.

- Okay.

Spogląda za okno albo na własne widmowe odbicie w szybie.

- Może porozmawiamy o tym podczas kolacji? - rzuca.

Następnie oprotestowuje pomysł udania się do Somerset Diner, a prócz tej restauracji mamy do wyboru tylko któryś z barów szybkiej obsługi, jedną ze spelunek albo Panerę. Słyszałem o otwartej wciąż dobrej restauracji w Bostonie, której właściciele dali sobie radę z cenami urzędowymi dzięki sowi-

tym łapówkom. Tam człowiek może przeżyć miłe chwile przy stole nakrytym białym obrusem, ale z tego, co mi mówiono, musiałbym wydać wszystkie oszczędności, jakimi jeszcze dysponuję.

Tak więc lądujemy u pana Chow, rozdzieleni upapranym tłuszczem ceratowym obrusem, patrząc sobie w oczy znad kubków parującej herbaty jaśminowej.

- I jak tam leci?

- Słucham?

- Przepraszam, nie wiem, jak to powiedzieć w gliniarskim żargonie. - Uśmiecha się kpiąco. - Jaki jest status tej sprawy?

- Cóż... Właściwie ustaliliśmy podejrzanego.

- Naprawdę? I jak wam poszło?

- Nieźle.

Mógłbym jej powiedzieć więcej, ale nie chcę. Podejrzany zaatakował mnie modelem parlamentu stanowego. Podejrzany był też dilerem narkotyków i zaopatrywał ofiarę bądź był przez nią zaopatrywany. Podejrzany nie żyje. Naomi wydaje się usatysfakcjonowana swoją niewiedzą, zresztą jedzenie pojawia się bardzo szybko, a jest to obrotowa taca pełna pierogów, zup i kurczaka w orzechach nerkowca. Różowy neon za oknem przy naszym stole wyświetla rytmicznie dwa słowa: „Chow! Chow!”.

- Co to za idea dotycząca mojej sprawy?

- Wiesz co?

- Co?

Wiedziałem, że będzie to robić. Opóźniać, przewlekać, przeciągać. Dziwnie się czuję, jakbym ją dobrze znał.

- Daj mi godzinę.

- Godzinę?

- Henry, proszę, ja naprawdę... - Z jej oczu wyziera szczerść, z twarzy znika kpiący uśmieszek. Podoba mi się, i to bardzo, to czyste spojrzenie, blade oblicze, symetria ogolonej gło-

wy. – Wiem, zadzwoniłam, by powiedzieć, że mam coś do przekazania. Muszę jednak wyznać, że myślałam też o tym, jak miło by było zjeść kolację z drugim człowiekiem.

– Rozumiem.

– No wiesz – ciągnie wyjaśnienia. – Chciałam pokonwersować. Najeść się do syta bez rozmawiania o śmierci.

– Rozumiem – powtarzam.

– I zamierzam spróbować, chociaż nie mam pojęcia, czy to jest jeszcze możliwe.

– Rozumiem.

Unosi rękę, odpina ze smukłego bladego nadgarstka zegarek i kładzie go na ceracie pomiędzy nami.

– Godzina normalności. Stoi?

Wyciągam dłoń i kładę ją, tylko na moment, na jej rękę.

– Stoi.

* * *

Spełniamy jej zachciankę, siedzimy tam i pałaszujemy nie najlepszą, ale i nie najgorszą chińszczyznę, rozmawiając o normalnych sprawach.

Opowiadamy sobie o świecie, w którym dorastaliśmy, o tej dziwnej rzeczywistości sprzed pojawienia się asteroidy, o muzyce, filmach i programach telewizyjnych sprzed półtorej dekady: zespole NSYNC, serialach *Beverly Hills 90210* i *The Real World*, kinowym blockbasterze i *Titanicu*.

Naomi, jak się okazuje, przyszła na świat i dorastała na przedmieściach Gaithersburga w stanie Maryland, który nazywa Najbardziej Nijakim Stanem Ameryki. Uczęszczała do technikum przez kilka semestrów, ale rzuciła naukę, by zostać wokalistką „tragicznej, choć dobrze się zapowiadającej” punkrockowej kapeli, a potem, gdy w końcu zrozumiała, co chce naprawdę robić, wyjechała do Nowego Jorku, by ukończyć stu-

dia. Uwielbiam słuchać, jak mówi, w jej głosie jest tyle melodyki.

- Co to było? Co miało być twoim życiowym celem?

- Poezja. - Upija łyk herbaty. - Chciałam pisać wiersze, ale nie tylko w pamiętniczku. Pragnęłam zostać publikowaną, uznaną poetką. Nadal tego chcę, szczerze powiedziawszy.

- Żartujesz.

- Skądże. Zapisalam się na studia, pojechałam do Nowego Jorku, dorabiałam jako kelnerka, oszczędzałam każdy grosz. Jadłam chińskie zupki. Robiłam co trzeba. Wiem, co sobie myślisz.

- Tak? Co?

- Tyle starań, a i tak wylądowała w ubezpieczeniach.

- Nie. Wcale tak nie pomyślałam.

Tak naprawdę podczas prób schwytania grubego makaronu pałeczkami zajmuje mnie jedna jedyna myśl: oto typ osoby, jaki zawsze podziwiałem, oto ktoś, kto wyznacza sobie trudne do osiągnięcia cele i dąży do nich za wszelką cenę. Tak, wiem, dzisiaj każdy może gonić za swoimi marzeniami.

Dłuższa wskazówka na zegarku Naomi zatacza pełen krąg i sunie dalej, taca jest już pusta, resztki makaronu i puste opakowania po sosach leżące na naszych talerzach wyglądają jak wylinki dziwacznych gadów. Teraz ja opowiadam jej historię swojego życia. Mówię o ojcu profesorze, matce pracującej na posterunku policji, nie pomijam niczego, nawet szczegółów dotyczących ich śmierci, gdy miałem dwanaście lat.

- Oboje zginęli?

- Tak.

Odkłada pałeczki, a ja myślę: o cholera.

Nie wiem, dlaczego opowiedziałem jej o tym zdarzeniu, unoszę czajniczek, przecedzam resztkę herbaty. Naomi wciąż milczy, więc rozglądam się za naszą kelnerką, wskazuję jej palcem puste naczynie.

Opowiesz komuś taką historię jak ta o zabójstwie rodziców, a on natychmiast zaczyna ci się uważniej przyglądać, patrzy ci prosto w oczy, niby okazując współczucie, a tak naprawdę próbuje wejrzeć w głąb twojej duszy, sprawdzić, jakie blizny bądź skazy w niej pozostały. Dlatego właśnie nie wspomniałem o tym fakcie nikomu od wielu lat – traktując to jako zasadę – poza tym nie cierpię ludzi, którzy wyrażają swoją opinię na ten temat; nie cierpię ludzi, którzy wyrażają opinię o mnie.

Naomi jednak, co muszę jej oddać, komentuje moje zwierzenia zdawkowym „oj”. Nie dostrzegam błysku skandalizującej fascynacji w jej oczach, żadnych prób „zrozumienia”. Słyszę tylko tę jedną, szczerze brzmiącą sylabę. Oj.

- Zatem twoi rodzice zostali zamordowani, a ty poświęciłeś życie zwalczaniu przestępczości. Zupełnie jak Batman.

- Tak – przyznaję, uśmiechając się, i zanurzam ostatniego pierożka w podłużnej sosjerce wypełnionej sosem imbirowo-szalotkowym. – Jak Batman.

Kelnerka zabiera ze stołu obrotową tacę, my kontynuujemy rozmowę, neon miga i miga, aż w końcu gaśnie. Staruszkowie prowadzący restaurację wynurzają się z kuchni, pchając przed sobą wielkie szczotki, zupełnie jak w filmach. Po zamieceniu podłogi zaczynają ustawiać krzesła na stołach, więc wychodzimy.

* * *

- No dobrze. Wiesz, co to klauzula warunkowa?

- Nie mam pojęcia.

- Cóż, to w sumie ciekawa sprawa. Albo i nie. Sam musisz ocenić.

Naomi poprawia się na składanym plażowym leżaku, próbując przybrać wygodniejszą pozycję. Powinienem przeprosić ją jeszcze raz za to, że w moim salonie brak mebli z prawdziwego zdarzenia prócz tych plastikowych leżaków ustawionych

w półokrąg przy odwróconej do góry dnem skrzynce na mleko, ale zrobiłem to już tyle razy, że sama poprosiła mnie, bym przestał.

- Klauzula warunkowa w polisie ubezpieczenia na życie jest umieszczana na wypadek, gdyby ubezpieczony zmarł w ciągu dwóch lat od zawarcia umowy. W takim przypadku firma ma prawo zbadać okoliczności śmierci klienta, zanim wypłaci odszkodowanie.

- Okay - odpowiadam. - Czy wiele polis zawiera taką klauzulę?

- O tak - zapewnia mnie Naomi. - Wszystkie.
Dolewam jej wina.

- I zawsze są wykorzystywane?

- Tak.

- Hm - mruczę, przyglądając wąsa.

- Szczerze powiedziawszy, klienci Merrimacka mają wielkie szczęście - mówi Naomi - ponieważ większość znaczących towarzystw ubezpieczeniowych po prostu zwinęła interes i nie wypłaca żadnych odszkodowań. My w Merrimacku mówimy: „Tak, otrzymacie swoje pieniądze, ponieważ zawarliśmy umowę, a asteroida nie ma z tym nic wspólnego”. Nasz szef szefów, ten z Omahy, chyba cierpi na coś w rodzaju kompleksu Jezusa.

- Rozumiem - przytakuję. - Rozumiem.

Pojawia się Houdini, obwąchuje podłogę, przygląda się podejrzliwie Naomi, po czym znów ucieka. Zrobiłem mu legowisko w łazience, to rozpięty stary śpiwór, nic więcej, jeśli nie liczyć miseczki z wodą.

- Polityka naszej firmy nakazuje zdobyć stuprocentową pewność, że nie jesteśmy robieni w konia, ponieważ ostatnimi czasy nie brakuje prób wyłudzeń. No wiesz, oskubanie towarzystwa ubezpieczeniowego to chyba najprostszy sposób na zgarnięcie sporych pieniędzy przed końcem. Finguję śmierć matki,

zgarniam kasę, baluję na Bahamach. Z tego powodu wdrożyliśmy środki ostrożności.

- Czyli?

- Badamy każde roszczenie. Jeśli jest dyskusyjne, zostaje oddalone.

Tknięty nową myślą zamieram z butelką wina w dłoni. Henry, ty głupku. Ty totalny matole. Przypominam sobie bowiem szefa, bladego grubasa nazwiskiem Gompers, który siedzi w fotelu i mówi, że Zell pod koniec życia nie pracował już przy analizie ryzyka. Nikt nie kupował polis na życie, więc nie było co analizować. Zatem Peter, jak każdy inny pracownik firmy, został oddelegowany do badania roszczeń.

- To dość restrykcyjne zabezpieczenie, jeśli się dobrze zastanowić - dodaje Naomi - zwłaszcza w wypadku tych wszystkich ludzi, którzy nie próbują nas oszukać, a ich bliscy naprawdę odebrali sobie życie i na odszkodowanie trzeba czekać dodatkowo miesiąc albo dwa dłużej. Okropieństwo.

- Tak, tak - bąkam, a mój umysł pracuje na pełnych obrotach, myślę o Peterze, o tym, jak wyglądał w McDonalddie, o tych wybałuszonych oczach. Miałem wszystkie odpowiedzi jak na dłoni. Pierwszego dnia dochodzenia pierwszy świadek, którego przesłuchałem, wyłożył kawę na ławę.

- Zastanawiam się więc... - rzuca Naomi, a ja natychmiast skupiam na niej całą uwagę. - Zastanawiam się, czy Peter nie odkrył przypadkiem czegoś albo czy nie był bliski odkrycia... Sama nie wiem. Zdaję sobie sprawę z tego, jak głupio to brzmi. Wpadł na coś i od tego zginął?

- To wcale nie jest takie głupie.

Serio. Motyw. To mógłby być motyw. Henry, ty skończony durniu.

- Okay - odzywam się znów do Naomi, zajmując miejsce naprzeciwko niej. - Mów dalej.

Robi to: opowiada mi o sprawach, nad którymi pracował Peter, w większości z nich beneficjentami nie byli bliscy zmarłego, lecz osoby prawne. Przeróżne firmy ubezpieczały swoich prezesów w obawie przed stratami, jakie by poniosły w razie ich przedwczesnego zgonu. Słucham tego wszystkiego w milczeniu, ale po chwili dociera do mnie, że trudno mi się skupić – może z powodu nadmiaru wypitego wina, późnej pory, krwistej czerwieni warg Naomi i bladej poświaty bijącej od skąpanej w blasku księżyca czaszki. Wstaję więc znowu i zaczynam przechadzać się po salonie, krążę od telewizora do kuchennych drzwi i z powrotem. Naomi przygląda mi się, przechyliwszy głowę, wydaje się tym wszystkim rozbawiona.

- Zatem to jest twoja metoda odchudzania?

- Chodzenie pomaga – przyznaję. – Chciałbym zobaczyć, nad czym Peter ostatnio pracował.

- Okay.

- Jego biurko... – przymykam powieki, przypominam sobie tamten moment – nie widziałem na nim żadnej poczty przycho-
dzącej ani otwartych segregatorów.

- Nie mogło ich tam być – potwierdza Naomi – ponieważ przestaliśmy korzystać z komputerów i przeszliśmy całkowicie na papier. Gompers wymyślił nowy, wkurzający system. A może to był pomysł kogoś z biura regionalnego, sama nie wiem. W każdym razie każdego dnia na koniec pracy odkładamy dokumenty do szafy na akta i bierzemy je stamtąd następnego ranka.

- Czy są przypdzielane do konkretnych osób?

- Nie rozumiem pytania.

- Czy wszystkie dokumenty, nad którymi pracował Peter, znajdują się w jednym miejscu?

- Hm. Tego nie wiem.

- Okay – rzucam, szczerząc zęby. Czuję, że policzki mi płoną, oczy błyszczą. – To mi się podoba. Naprawdę.

- Zabawny facet z ciebie - stwierdza Naomi, a ja nagle nie mogę uwierzyć, że jest prawdziwa, że siedzi w moim domu na zdezelowanym leżaku w tej pięknej czerwonej sukience ozdobionej czarnymi guzikami.

- Ale ja mówię poważnie - odpowiadam. - Niewykluczone, że zmienię zawód. Spróbuję szczęścia w ubezpieczeniach. Mam przecież całą resztę życia przed sobą.

Naomi się nie śmieje.

- Nie. Nie. Nie ty. Jesteś wzorem policjanta, Hank - rzuca, wstając.

Patrzy mi prosto w oczy, kurczę się pod tym spojrzeniem, lecz nie spuszczam wzroku. Znienacka nachodzi mnie bolesna świadomość, że to koniec. Nigdy więcej się nie zakocham. To ostatni raz.

- Gdy nadleci asteroida, staniesz na jej drodze z wyciągniętą ręką i zawołasz: „Stój! Policja!”.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć, naprawdę.

Pochylam się, ona lekko unosi głowę i całujemy się, bardzo wolno, jakbyśmy mieli do dyspozycji całą wieczność. Mniej więcej w połowie pocałunku znowu pojawia się pies, trąca mnie w nogę, więc odkopuję go delikatnie. Naomi podnosi rękę, obejmuje mnie za szyję, wsuwa palce pod kołnierz koszuli.

Kończymy pierwszy pocałunek i natychmiast rozpoczynamy drugi, tym razem gwałtowniejszy, a gdy ponownie odrywamy się od siebie, Naomi proponuje, byśmy poszli do sypialni. Wyjaśniam przeproszającym tonem, że nie mam prawdziwego łóżka, tylko materac rozłożony na podłodze. Dodaję, że nie miałem czasu, by kupić porządne łóżko, a kiedy ona pyta, od jak dawna tu mieszkam, bąkam, że jakieś pięć lat.

- To już chyba go sobie nie kupisz - mamrocze, przytulając się mocniej.

- Chyba masz rację - odpowiadam szeptem, pociągając ją na ziemię.

* * *

Dużo później, w kompletnych ciemnościach, gdy sen zaczyna nam kleić powieki, szepczę do Naomi:

- Jaki rodzaj poezji?

- Villanella - odmrukuje, a ja mówię szczerze, że nie mam pojęcia, co to znaczy.

- Villanella to wiersz dziewiętnastowersowy - tłumaczy cicho, mruczając mi w szyję. - Pięć strof, każda rymowana, po trzy wersy. Lekko zmodyfikowany pierwszy i trzeci wers pierwszej strofy powtarzają się na przemian w każdej następnej strofie, aż do końca wiersza.

- Okay - odpowiadam, nie do końca przyswajając to, co usłyszałem, moją uwagę bowiem pochłaniają elektryzujące muśnięcia jej warg.

- Wiersz kończy się czterowersową strofą, w której trzeci i czwarty wers są powtórzeniem pierwszego i ostatniego z początkowej strofy.

- Aha - szepczę i dodaję zaraz: - Chyba będę potrzebował przykładu.

- Jest wiele naprawdę niezłych.

- Wyrecytuj jeden z tych, które sama napisałaś.

Jej cichy śmiech jest ciepłem rozlewającym się po moim obojczyku.

- Piszę dopiero pierwszy, ale nie jest jeszcze skończony.

- Pierwszy?

- Jeden, ale świetny. Skończę go przed październikiem. Taki mam plan.

- Aha.

Zamieramy w bezruchu i ciszy na krótką chwilę.

- Dobrze - odzywa się Naomi. - Wyrecytuję ci coś naprawdę znanego.

- Nie chcę znanego. Chcę twój.

- To wiersz Dylana Thomasa. Z pewnością już go słyszałeś. Ostatnio wielokrotnie trafiał do gazet.

Potrząsam głową.

- Rzadko czytam gazety.

- Dziwny z siebie człowiek, Henry.

- Ludzie często mi to mówią.

* * *

Budzę się w środku nocy, sam nie wiem dlaczego, i widzę Naomi stojącą w drzwiach, ma na sobie tylko bieliznę i właśnie wkłada przez głowę czerwoną sukienkę. Zauważa, że ją obserwuję, zamiera na moment, a potem uśmiecha się bez skrępowania i kończy się ubierać. Nawet w bladej poświacie lampy z przedpokoju dostrzegam, że nie ma szminki na ustach. Łysa i urocza, przypomina noworodka.

- Naomi?

- Hej, Henry. - Przymyka oczy. - Jest coś jeszcze - dodaje, otwierając je moment później.

Przesłaniam dłonią czoło, by widzieć ją lepiej. Skołtunioną pościel mam przy piersi, nogi zwisają mi lekko z materaca.

Naomi przysiadła na prowizorycznym łóżku obok moich stóp, plecami do mnie.

- Naomi? Co chciałaś mi powiedzieć?

- Nieważne.

Potrząsa raptownie głową, znów wstaje, rzuca w ciemność serię szybko wypowiedzianych słów:

- Chcę, żebyś wiedział, Henry, że bez względu na to, co... bez względu na to, jak to wszystko się skończy... przeżyłam naprawdę cudowną noc.

- Jasne - odpowiadam. - Ja też.

- Było cudownie. Nigdy tego nie zapomnę - dodaje. - Bez względu na to, jak to wszystko się skończy.

Zanim zdążę zareagować, pochyla się, całuje mnie mocno w usta i wychodzi.

3.

- Henry?

- Co? - pytam, siadając i rozglądając się wokół. - Halo?

Telefony budzą mnie tak często, że tym razem dłuższą chwilę zajmuje mi uświadomienie sobie, że wyjątkowo śniłem nie o Alison Koechner, lecz o Naomi Eddes. Moment później przychodzi olśnienie: to nie był sen - Naomi naprawdę tu jest, to znaczy była, bo nie widzę jej teraz nigdzie. Zasłony są rozsunęte, blade promienie słońca tworzą prostokątne żółtawe plamy na skotłowanej pościeli i starym materacu. W słuchawce słyszę wściekły kobiecy głos.

- Wie pan, jakie kary grożą obecnie za udawanie urzędnika państwowego?

O Boże, nie, tylko nie Fenton.

- Tak, proszę pani, wiem.

Krew. Próbką krwi. Hazen Road.

- Mimo to zacytuję je panu.

- Pani doktor...

- Podawanie się za urzędnika państwowego jest karane wyrokiem pozbawienia wolności od lat dziesięciu do dwudziestu pięciu, przy czym paragraf szósty stanowi, że osoba oskarżona o to przestępstwo zostaje automatycznie osadzona w więzieniu, gdzie będzie czekać na proces, który nigdy nie nastąpi.

- Znam ten przepis.

- Taka sama kara czeka każdego, kto utrudnia dochodzenie.

- Czy mogę to pani wyjaśnić?

- Nie, dziękuję. Jeśli jednak nie stawi się pan w kostnicy najpóźniej za dwadzieścia minut, trafi pan za kratki.

Potrzebuję dwu minut, by się ubrać, i kolejnych dwu, by zmienić opatrunek przesłaniający oko. Nim zamknę drzwi frontowe, rozglądam się raz jeszcze po salonie: leżaki, pusta butelka po winie. Brak najmniejszego śladu po Naomi, nie ma jej torebki, płaszcza, odcisków obcasów na wykładzinie. Nie wyczuwam nawet zapachu jej perfum.

Była tu jednak. Wystarczy, że przymknę powieki, a znów czuję, jak łaskocze opuszkami skórę na moim karku, jak przyciąga mnie do siebie. To nie był sen.

Dwadzieścia minut, powiedziała doktor Fenton i nie żartowała. Przekraczam dozwoloną prędkość na całej drodze do szpitala miejskiego.

* * *

Doktor Alice Fenton wygląda tak samo jak podczas naszego ostatniego spotkania w chłodnym sterylnym wnętrzu kostnicy, ma nawet ten sam wózek ze sprzętem medycznym. Otaczają nas te same ponure stalowe drzwiczki z szarymi klamkami; składzik na zwłoki potępionych emanujący smutkiem i grozą.

Doktor Fenton spogląda na zegarek, gdy do niej podchodzę.

- Osiemnaście minut i czterdzieści pięć sekund.

- Pani doktor, mam nadzieję, że... Mam nadzieję... Proszę posłuchać...

Nie wiem dlaczego, ale jąkam się płaczliwie. Chrząkam więc i próbuję sformułować sensowne wyjaśnienie, które ją zadowoli, chcę, by zrozumiała, dlaczego ukradłem próbkę krwi i kazałem ją przebadać niby z jej polecenia, jak wielką czułem pewność, że to sprawa związana z narkotykami, jak ważne było dla mnie ustalenie, czy Zell był uzależniony czy nie. To jednak nie ma już najmniejszego znaczenia, nigdy go nie miało, ponieważ w rzeczywistości chodziło o kwestię roszczeń ubezpieczeniowych. Tymczasem topię się pod połączonym naporem bijącego z jej oczu żaru i oślepiającego blasku lamp, a w do-

datku towarzyszy nam sam Peter, którego ciało wyciągnęła z zamrażarki i ponownie położyła na zimnej płycie stołu do sekcji.

- Przepraszam - tyle jestem w stanie z siebie wykrztusić. - Naprawdę bardzo panią przepraszam, pani doktor.

- Tak. - Twarz ukryta za idealnymi kręgami szkieł okularów pozostaje beznamiętna, nieporuszona. - Ja również.

- Słucham?

- Ja również pana przepraszam, powiedziałam. Jeśli sądzi pan, że powtórzę to po raz trzeci, to głęboko się pan myli.

- Nie rozumiem.

Doktor Fenton odwraca się do wózka i bierze do ręki jakiś dokument.

- To wyniki badań. Skłoniły mnie one do zrewidowania podejścia do tej sprawy.

- To znaczy? - pytam lekko drżącym głosem.

- Ten człowiek został zamordowany.

Szczęka mi opada, nic na to nie mogę poradzić. Gdy w głowie pojawiają mi się słowa, wypowiadam je na głos bez zastanowienia:

- Wiedziałem. O mój Boże, od początku wiedziałem.

Doktor Fenton poprawia na nosie okulary, które lekko jej się zsunęły, i zaczyna mówić:

- Przede wszystkim badania wykazały nie tylko bardzo wysokie stężenie alkoholu we krwi, ale także jego obecność w żołądku, co znaczy, że musiał sporo wypić na kilka godzin przed zgonem.

- To też wiedziałem - wtrącam. J.T. Toussaint podczas pierwszego przesłuchania przyznał, że po obejrzeniu kolejnego odcinka *Pale Distant Glimmers* skoczyli na kilka piw.

- Poza tym we krwi stwierdzono obecność znaczących ilości zakazanych substancji - informuje mnie doktor Fenton.

- To by się zgadzało - myślę na głos, pozostając o krok przed doktor Fenton dzięki wysiłonej pracy umysłu. - Morfina.

- Nie - zaprzecza patolożka, przenosząc na mnie zaciekawione, ale i lekko poirytowane spojrzenie. - Morfina? Nie. Nie stwierdzono śladu opiatów żadnego rodzaju. W jego krwi znaleźliśmy związek zwany kwasem 4-hydroksybutanowym.

Zerkam jej przez ramię na wydruk z laboratorium, wiotką kartkę pełną obliczeń i odhaczonych okienek, opatrzoną czymś niezwykle precyzyjnym charakterem pisma.

- Jaki kwas, przepraszam?

- GHB.

- Mówi pani o pigułce gwałtu?

- Niech pan przestanie gadać - fuka na mnie, zakładając lateksowe rękawiczki. - Proszę tu podejść i pomóc mi odwrócić zwłoki.

Wsuwamy dłonie pod zwłoki, unosimy je ostrożnie i obracamy brzuchem do blatu. Patrzymy teraz na przeraźliwie bladą połąć ciała otaczającą kręgosłup. Doktor Fenton przystawia do oka niewielki okular przypominający lupę, jakiej używają jubilerzy, opuszcza niezwykle mocną lampę wiszącą nad stołem i nakierowuje ją na zasiniałe otarcie zdobiące tył lewej łydki ofiary, tuż nad kostką.

- Wygląda znajomo? - pyta, więc pochylam się bardziej.

Wciąż rozmyślam o GHB. Potrzebuję mojego brulionu, muszę to wszystko zapisać. Muszę to dokładnie przeanalizować. Naomi, stojąc w drzwiach mojej sypialni, chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zmieniła zdanie i wyszła. Czuję nagle taką tęsknotę za nią, że kolana uginają się pode mną. Muszę oprzeć się o stół, chwycić jego krawędź obiema rękami.

Spokojnie, Henry.

- Za to właśnie najbardziej pana przepraszam - oświadcza beznamiętnym tonem doktor Fenton. - Tak bardzo śpieszyłam się z wydaniem orzeczenia o oczywistym samobójstwie, że nie

zbadalam należycie obrażeń znajdujących się w okolicach kostki ofiary.

- Okay. Ale co... - Milknę, nie mam bladego pojęcia, o czym ona mówi.

- Zanim znalazł go pan powieszonoego w McDonalddie, Peter Zell został pozbawiony przytomności, po czym ktoś włókł go za nogę. - Spoglądam na nią, niezdolny do wyduszenia słowa. - Najprawdopodobniej do bagażnika samochodu - kontynuuje patolożka, odkładając wyniki badań na wózek. - Tak pewnie trafił na miejsce, gdzie został powieszony. Jak już wspomniałam, zmieniłam diametralnie podejście do tej sprawy.

Widzę oczami wyobraźni błysk w gasnącym spojrzeniu Petera Zella, jego okulary, wszystko to niknące w mroku samochodowego bagażnika.

- Ma pan jakieś pytania?

Mam wyłącznie pytania.

- Co z jego okiem?

- Słucham?

- Gojący się ślad po uderzeniu. Na policzku pod prawym okiem. Ludziom mówił, że spadł ze schodów. Czy to możliwe?

- Możliwe, choć mało prawdopodobne.

- I jest pani całkowicie pewna, że w jego krwi nie było morfiny? Jest pani pewna, że nie zażył jej tej nocy, której zginął?

- Tak. Nie zażywał jej od co najmniej trzech miesięcy - potwierdza.

Muszę ponownie przemyśleć to wszystko, od samego początku do końca. Muszę ustalić chronologię zdarzeń, rozgryźć na nowo Toussainta i Petera Zella. To, że cały czas miałem rację, że odgadłem prawdziwą przyczynę śmierci, wcale mnie nie cieszy, bynajmniej nie nabieram przekonania o własnej nieomyślności. Wręcz przeciwnie, czuję niepewność, smutek, zmieszanie. Mam takie wrażenie, jakby to mnie wrzucono do bagażnika, jakby to mnie otaczał mrok, jakbym to ja spoglądał

z wytęsknieniem w wąską szczelinę, zza której widać blask dnia.

Opuściwszy kostnicę, przystaję na moment przy drzwiach oznaczonych krzyżem i muskając palcami ten symbol, przypominam sobie, że tyle osób czuje się ostatnimi czasy podle, że trzeba było zamknąć to miejsce i przenieść codzienne nabożeństwa do większej sali znajdującej się gdzieś nade mną. Tak to teraz wygląda.

* * *

Telefon dzwoni, ledwie wychodzę na parking szpitala.

- Jezu, Hank, gdzieś ty się podziewał?

- Nico?

Mam kłopoty ze zrozumieniem jej w tym harmidrze, jaki dobiega ze słuchawki.

- Musisz mnie uważnie posłuchać, proszę.

Hałas w tle się nasila, to coś jak wycie wiatru w niedomkniętym oknie.

- Nico, czy ty jesteś gdzieś na autostradzie?

Na parkingu też jest zbyt głośno, wracam więc do holu szpitala.

- Henry, posłuchaj.

Wiatr się wzmacnia, zaczynam w nim wyławiać znajome wycie... syren. Stłumione odległością, ale przebijające się coraz wyraźniej przez zawroty wietrzy. Wsłuchuję się w te dźwięki - syreny nie brzmią jednak jak nasze, policyjne. Czyżby to był radiowóz ze stanówki? Sam już nie wiem, czym jeżdżą teraz federalni szeryfowie.

- Nico, gdzie jesteś?

- Nie zostawię cię.

- O czym ty, u licha, mówisz?

Głos ma twardy jak stal: niby słyszę swoją siostrę, ale jakoś zmienioną. Jakby ktoś kazał jej czytać kwestie ze scenariusza.

Ryk w tle cichnie nagle, rozlega się trzaśnięcie drzwiczek, tupot stóp.

- Nico!

- Wróć. Nie zostawię cię.

Połączenie zostaje przerwane. Zapada cisza.

* * *

Pędzę w kierunku bazy Gwardii Narodowej stanu New Hampshire dwieście na godzinę, ile fabryka dała, komputer pokładowy zmienia wszystkie światła z czerwonych na zielone, abym zawsze miał wolną drogę. Silnik pochłania drogocenne paliwo jak gąbka wodę.

Kierownica drży w moich dłoniach, a ja drę się sam na siebie: głupcze, głupcze, głupcze. Powinienem był jej powiedzieć. Dlaczego jej nie powiedziałem? Powinienem był przekazać jej wszystko to, co usłyszałem od Alison: Derek od samego początku ją okłamywał, tak naprawdę związał się z tajnym stowarzyszeniem głupków wierzących w teorie spiskowe, przez co został uznany za terrorystę, niebezpiecznego przestępcę, więc jeśli moja siostra spróbuje do niego dołączyć, rząd przypnie jej identyczną etykietkę.

Zaciskam dłoń w pięść, walę nią w kierownicę. Powinienem był jej powiedzieć, jak bezsensowna jest próba poświęcenia się dla kogoś takiego.

Dzwonię do biura Alison Koechner, ale oczywiście nikt nie odbiera. Próbuję jeszcze raz, lecz tym razem telefon zawodzi, więc ciskam go z furią na tylne siedzenie.

- A niech to szlag!

Nico zaraz popełni jakieś głupstwo, da się zastrzelić żandar-mom albo trafi do paki, z której nie wyjdzie aż do samego końca, podobnie jak ten debil.

Hamuję z piskiem opon przed bramą bazy Gwardii Narodowej i bełkoczę jak jakiś dureń do wartownika:

- Ej! Bardzo przepraszam. Nazywam się Henry Palace. Jestem detektywem, chyba złapaliście moją siostrę. - Żołnierz nie odpowiada. To nie ten, który mnie wpuszczał poprzednim razem. - Jej mąż siedzi u was w więzieniu, więc przyjechała tutaj za nim. Muszę ją znaleźć.

Wartownik przy bramie zachowuje kamienną twarz.

- W chwili obecnej nie mamy żadnych więźniów.

- Co? Tak... och. Ej! Cześć!

Macham gwałtownie obiema rękami, unosząc je wysoko nad głowę, ponieważ dostrzegam znajomą twarz. To ta twarda rezerwistka, która pilnowała ancla, gdy przyjechałem na widzenie z Derekiem; wtedy stała spokojnie w korytarzu, podczas gdy ja usiłowałem przemówić temu kretynowi do rozumu.

- Ej! - wołam do niej. - Muszę się zobaczyć z więźniem.

Rezerwistka maszeruje w naszą stronę, prosto do miejsca, w którym stoję z jedną nogą na ziemi, a drugą w aucie zaparkowanym pod dziwnym kątem nieopodal bramy wjazdowej.

- Przepraszam. Witam. Muszę się ponownie zobaczyć z tym więźniem. Wiem, nie mam zezwolenia. Ale to pilna sprawa. Jestem policjantem.

- Z jakim więźniem?

- Jestem detektywem... - Milknę, by zaczerpnąć oddechu. - Co pani powiedziała?

Musiała zauważyć, że przyjechałem, musiała zobaczyć samochód na monitoringu i wyszła sprawdzić, co się dzieje przy bramie. Dziwnie się poczułem na tę myśl.

- Pytałam, z jakim więźniem.

Nie odzywam się, przenoszę wzrok z rezerwistki na wartownika i z powrotem. Oboje gapią się na mnie, trzymając dłonie na kolbach przewieszonych przez kark karabinów maszynowych. Co tu się wyrabia, myślę nerwowo. Nico tu nie ma. Nie słyszę wycia syren, żadnych dzwonek alarmowych. Jedyne dźwięki, jakie do mnie dociera - poza mruczeniem wciąż pracu-

jącego silnika chevroleta – to huk wirników helikoptera, który podchodzi do lądowania bądź startuje gdzieś na terenie tej wielkiej bazy.

– Z chłopakiem. Waszym więźniem. Tym, z którym poprzednio się widziałem. Dredy, te sprawy, siedział tam... – Wskazuję budynek mieszczący areszt. – W celi.

– Nie wiem, o kim pan mówi – odpowiada wartownik.

– Tak, ale pani wie – rzucam, zwracając tępe spojrzenie na rezerwistkę. – Przecież była pani obecna...

Ani na moment nie odrywając ode mnie wzroku, kobieta unosi powoli broń na wysokość pasa. Wartownik pilnujący bramy także przesuwa AK-47 i tak znajduję się nagle przed dwojgiem żołnierzy, którzy mierzą mi prosto w pierś.

Mają gdzieś, że jestem gliniarzem, a oni służą w armii Stanów Zjednoczonych. Nie interesuje ich, że wszyscy powinniśmy bronić praworządności. Wątpię, by cokolwiek mogło ich powstrzymać przed zastrzeleniem mnie na miejscu.

– Nie ma tu żadnych więźniów.

* * *

Ledwie wsiadam do samochodu, słyszę dzwonek komórki. Zaczynam więc gorączkowo obmacywać tylne siedzenie, aby ją jak najszybciej znaleźć.

– Nico? Halo!

– Ejże, spokojnie. To ja, Culverson.

Wypuszczam powietrze z płuc.

– Słuchaj, chyba wspomniałeś o jakiejś kobiecie nazwiskiem Naomi Eddes. Tej od sprawy wisielca.

Serce szamocze mi się pod żebrami jak ryba złowiona w sieć.

– Tak?

– McConnell właśnie ją znalazła w Water West Building. W tej firmie ubezpieczeniowej.

– Co znaczy, że McConnell ją tam znalazła?

- To znaczy, że ona nie żyje. Chcesz się przekonać na własne oczy?

CZĘŚĆ CZWARTA

Niedługo to się zmieni

Środa, 28 marca

Rektascensja 19 12 57,9

Deklinacja -34 40 37

Elongacja 83,7

Delta 2,999 j.a.

1.

Muszę się skoncentrować na faktach. To najlepsze, co mogę zrobić w tym ciasnym pomieszczeniu z podwieszonym sufitem i trzema rzędami stalowych szaf na akta. Czy nie tym właśnie powinien się zajmować młody detektyw przez grzeczność wezwany na miejsce zbrodni przez starszego kolegę?

To nie moje morderstwo, sprawę prowadzi Culverson, więc stoję tylko tuż za drzwiami pogrążonego w półmroku pokoju, starając się nie wchodzić w drogę ani Culversonowi, ani posterunkowej McConnell. Wprawdzie ofiarą jest mój świadek, ale sprawę prowadzą oni.

A zatem: ofiarą jest mniej więcej dwudziestopięcioletnia kobieta, ubrana w brązową bawełnianą spódnicę w pepitkę, czarne rajstopy i śnieżnobiałą bluzkę z podwiniętymi rękawami. Na ciele zauważam szereg znaków szczególnych. Wokół nadgarstków ma wytatuowane róże w stylu art déco, w obu małżowinach liczne kolczyki, jedno nozdrze ozdobione złotym ćwiekiem, jej głowa została niedawno ogolona, jasne włosy zaczynają dopiero odrastać. Ciało leży w północno-wschodnim narożniku pomieszczenia. Nie widać żadnych śladów przemocy fizycznej czy napastowania seksualnego, rzecz jasna poza raną postrzałową, która z całą pewnością musiała być przyczyną śmierci.

Pojedynczy strzał w niemal sam środek czoła pozostawił poszarpany otwór tuż ponad prawym kącikiem lewego oka ofiary.

- Cóż, tym razem na pewno nie mamy do czynienia z samobójstwem przez powieszenie - rechocze Denny Dotseth, poja-

wiając się za mną. Wąs, szeroki uśmiech, kawa w papierowym kubku. – To pokrzepiające, nieprawdaż?

– Dzieńdoberek, Denny – odzywa się rażno Culverson. – Wchodź śmiało.

Dotseth mnie wymija. W maleńkim pomieszczeniu robi się ciasniej, tłoczniej. Czuję zapach kawy Dotsetha i aromat tytoniu z fajki Culversona, w powietrzu widzę unoszące się włókienka wykładziny. Żołądek wywraca mi się na nice.

Skup się, Henry. Zachowaj spokój.

Pozbawiony ozdób pokój ma kształt prostokąta, wymiary dwa na trzy metry. Brak w nim jakichkolwiek mebli poza trzema szafami na akta. Światło mruga, dwie długie jarzeniówki ciągną się pod przykurzoną, wiszącą nisko oprawą. Ofiara leży, opierając się plecami o jedną z półotwartych szafek, zginęła na kolanach, głowę ma odchyłoną do tyłu, powieki rozwarte, co sugeruje, że była zwrócona twarzą do zabójcy, być może błagała o życie.

To przeze mnie. Nie rozumiem jeszcze wszystkiego, ale to moja wina.

Zachowaj spokój, Henry. Skup się.

Culverson szepce do Dotsetha, ten przytakuje ruchem głowy, rechocząc w najlepsze. McConnell zapisuje coś w notesie.

Rozbryzg krwi, odwrócony półksiężyc na tynkowanej ścianie za zwłokami, mrowie różowych i czerwonych kropek tworzących wzór przypominający z grubsza muszlę. Culverson i Dotseth przypatrują mu się uważnie, potem odchylają głowę ofiary, by znaleźć ranę wylotową. Kula przebiła kruchą porcelaną czaszki pomiędzy oczami, przewierciła się przez mózg i wyprysnęła potylicą. Tak to przynajmniej wygląda. Doktor Fenton powie nam, jak było naprawdę. Odwracam się, wychodzę na korytarz. Na przeciwległym krańcu holu widzę troje zbitych w ciasną grupkę pracowników towarzystwa ubezpieczeniowego, stoją przed zakretem, za którym znajdują się drzwi wej-

ściowe do biura. Zauważają, że na nich patrzą, odpowiadają spojrzeniami, po czym milkną i rozchodzą się do swoich pokoi.

- Okay - mówi Culverson. - Zabójca wchodzi tędy, ofiara znajduje się tutaj.

Prostuje się, robi kilka kroków w moją stronę, a potem wraca do zwłok powoli, głęboko zamyślony.

- Może czegoś szukała w jednej z tych szafek? - podpowiada McConnell, co Culverson kwituje zdawkowym skinieniem, a ja myślę: „Oczywiście, że tak”.

Dotseth upija kawy, mruczy z satysfakcją, a Culverson kontuuje:

- Zabójca hałasuje, być może celowo. Ofiara się odwraca.

Odtwarza tę scenę, odgrywając obie role. Przechyla głowę to w jedną, to w drugą stronę, zastanawia się, powtarza sekwencje ruchu, by lepiej pasowały do układu. McConnell spisuje to wszystko, bazgrząc szybko w służbowym notesie. Kiedyś będzie z niej niezły detektyw.

- Zabójca przykuca, ofiara cofa się w sam róg, broń wypala...

- Culverson staje w drzwiach, układa palce w pistolet, imituje oddanie strzału, a potem wyprostowanym palcem wskazującym śledzi tor lotu pocisku aż pod przeciwległą ścianę, zatrzymując się tuż przy ranie wlotowej. - Hm... - mruczy.

McConnell w tym czasie zagląda do szafki na akta.

- Ta szuflada jest pusta - stwierdza.

Culverson zerka jej przez ramię, ja nie ruszam się z miejsca.

- No więc? - rzuca Dotseth z łagodnym uśmiechem. - Chodzi o jeden z tych zadawnionych urazów? „Muszą ją zabić, zanim zginie?” Słyszeliście o facecie, który powiesił się w swojej dawnej klasie?

- Tak, tak - odburkuje Culverson, rozglądając się po pomieszczeniu.

Ja skupiam uwagę na ofierze. Otwór wlotowy wygląda jak krater wybity w półkuli jej czaszki. Opieram się o framugę, z trudem łapię oddech.

- McConnell... - odzywa się nagle Culverson.
- Słucham - odpowiada natychmiast posterunkowa.
- Porozmawiaj z tymi ćwokami - wskazuje kciukiem na biuro.
- Potem sprawdź resztę budynku, stąd aż do parteru.
- Tak jest.
- Przesłuchaj też tego dziadka z recepcji. Ktoś musiał widzieć wchodzącego zabójcę.
- Tak jest.
- Ho, ho, ho! - Dotseth tłumi ziewnięcie. - Mamy prawdziwe dochodzenie. Zostało nam... ile jeszcze? Pół roku? Jestem pod wrażeniem.
- Wszystko dzięki młodemu - rzuca Culverson. Nie od razu do mnie dociera, że mówi o mnie, ponieważ klęczy teraz i przeczesuje palcami wykładzinę w poszukiwaniu łuski. - Przypomniał nam, do czego zostaliśmy powołani.

Oczami wyobraźni oglądam niemy film: kobieta szuka akt, smukłe palce muskają kolejne teczki, nagle rozlega się trzask otwieranego za jej plecami zamka. Odwraca się - wybałusza oczy - bum!

- Odpuść sobie szefa, McConnell. Tego faceta, który nas powiadomił. Ja z nim pogadam - decyduje Culverson, przeglądając własny notatnik.

- Nazywa się Gompers - podpowiadam.
- Właśnie, Gompers - powtarza. - Pójdiesz ze mną?
- Tak... - Milknę, zaciskam zęby. - Nie.
- Henry?

Słabo mi, przerażenie kielkuje we mnie, nie mogę oddychać, czuję się tak, jakbym miał w płucach balon, który ktoś napełnia gazem albo trucizną. Serce łomocze mi o żebra niczym więzień, który próbuje wyważyć drzwi celi.

- Nie, dzięki.

- Wszystko w porządku, synu? - Dotseth cofa się o krok, jakby się bał, że zwymiotuję mu na buty.

McConnell sięga za plecy Naomi, przesuwa palcami po ścianie.

- Musisz... - Ocieram dłonią czoło, odkrywam, że jest całe mokre. Rana pod okiem zaczyna znów boleć. - Zapytaj Gompersa, jakie akta trzymali w tej szafce.

- Zapytam - obiecuje Culverson.

- Musimy mieć kopię każdego papierka, jaki się w niej znajdował.

- Jasne.

- Musimy ustalić, czego brakuje.

- Ej, patrzcie! - woła McConnell.

Znalazła kulę. Wydłubała ją ze ściany za głową Naomi. Nie wytrzymuję, odwracam się i uciekam. Zataczam się po korytarzu, cudem znajduję wyjście na schody, zbiegam po nich, pokonując po dwa, trzy stopnie naraz, i w końcu kopnięciem otwieram drzwi.

Wypadam do holu, potem na chodnik i tam dopiero łapię oddech.

Bum!

* * *

Ale się porobiło... Co ja sobie myślałem? Włazisz do gabinetu luster, ganasz za poszlakami - pasek, zaczęty list, zwłoki, otarcie kostki, akta - jedno po drugim, oszałamiająca gra, wystarczy raz wejść i człowiek utyka na wieczność pomiędzy kolejnymi zwierciadłami. Siedzę dzisiaj przy kontuarze, nie tam gdzie zawsze, w loży, ponieważ nie zniósłbym widoku miejsca, w którym Naomi Eddes wyjawiała mi podczas lunchu sekret Petera Zella: że był uzależniony i fantazjował o odebraniu sobie życia w McDonalddie przy Main Street.

Nie rozpoznaję nagrania, które sączy się teraz z kuchni, w dodatku to coś zupełnie nie w moim guście. Elektroniczny łomot na keyboardach, pełen ostrych pisków, gwizdów i skrzeków.

Przed sobą mam równo poukładane bruliony, sześć błękitnych prostokątów w równiutkim rzędzie niczym karty tarota. Gapię się na ich okładki już od godziny, apatycznie, niezdolny się przemóc, by je otworzyć i przeczytać historię swojej porażki. To silniejsze ode mnie, myśli kłębią mi się w głowie, błędzą niczym ponurzy, obładowani tobołami uchodźcy.

Peter Zell nie popełnił samobójstwa. Został zamordowany. Doktor Fenton to potwierdziła.

Naomi również padła ofiarą morderstwa. Ktoś strzelił jej w głowę, gdy szukała akt ubezpieczeniowych, tych, o których rozmawialiśmy poprzedniego wieczora.

Przed wyjściem przysiadła w nogach mojego łóżka. Chciała mi coś jeszcze wyznać, ale ugryzła się w język i poszła do domu.

Peter powiedział jej o McDonalddie: gdyby miał odebrać sobie życie, zrobiłby to właśnie tam. Siostrze też o tym wspomniał. Ciekawe, komu jeszcze.

Buteleczki z kapsułkami morfiny owinięte reklamówką i ukryte w psiej budzie.

Nie zwracam uwagi na kubek stygnącej kawy, który mam przed sobą na kontuarze. Nie zwracam uwagi na lewitujący gdzieś nad moją głową telewizor. Reporter stoi przed czymś, co wygląda na pałac, i podniesionym głosem mówi o „pomniejszej konfrontacji, która przybiera rozmiary kryzysu”.

Peter Zell i J.T. Toussaint, Andreas, Naomi Eddes.

- Już jestem, słoneczko - rzuca Ruth-Ann, ma na sobie fartuch, w jednym ręku trzyma bloczek zamówień, w drugim dzierży uchwyt dzbanka z kawą.

- Co to za muzyka? - pytam. - Gdzie Maurice?

- Odszedł - odpowiada kelnerka. - Strasznie dziś wyglądasz.
- Wiem, dolej mi kawy, proszę.

A do tego jeszcze moja młodsza siostra. Zaginiona, być może martwa albo zamknięta w więzieniu. Kolejna katastrofa, której nie umiałem przewidzieć ani zapobiec.

Telewizja pokazuje materiał, na którym widać szereg Pakistańczyków siedzących za stołem, zielone mundury wojskowe, złote epolety, jeden z nich przemawia z powagą do mikrofonu. Facet siedzący dwa miejsca ode mnie prychnął pogardliwie. Skupiłem na nim uwagę, gość w średnim wieku, nosi kurtkę harleyowców, ma sumiaste wąsy i solidną brodę.

- Mogę? - pyta, na co wzruszam ramionami, a on wdrapuje się niezręcznie na ladę i balansując na klęczkach, wyciąga rękę, by zmienić kanał.

Moja komórka zaczyna wibrować.

Culverson.

- Cześć.

- Jak się czujesz, Henry?

- Dobrze - odpowiadam. - Dzięki za troskę.

Pakistańczycy zniknęli z ekranu telewizora, zastąpił ich prezynter stojący na tle piramidy puszkowanego żarcia z przyklejonym do twarzy obscenicznym uśmiechem.

Culverson streszcza mi dotychczasowe ustalenia. Około czternastej piętnaście Theodore Gompers, siedzący we własnym gabinecie w towarzystwie flaszki, usłyszał strzał, ale że był zbyt pijany, by zrozumieć, co się dzieje, dopiero po dłuższej chwili poszedł szukać źródła hałasu. Kolejne ileś minut stracił na to, by dotrzeć do właściwego pomieszczenia, czyli ciasnego archiwum, w którym znalazł ciało Naomi. Na policję zadzwonił o czternastej dwadzieścia sześć.

- A co z resztą pracowników?

- W czasie zabójstwa na miejscu był tylko Gompers. Obecnie ma trzech podwładnych, ale wszyscy rozkoszowali się długim

lunchem w Barley House.

- A to pech.

- Owszem.

Zbieram błękitne bruliony, robię z nich stosik, potem znów je rozkładam, tworząc tym razem kwadrat, coś w rodzaju fortyfikacji otaczających kubek z kawą. Culverson zamierza przeprowadzić badanie znalezionego pocisku, istnieje bowiem szansa, choć niewielka, że pistolet, z którego oddano strzał, został nabyty legalnie, jeszcze przed pojawieniem się asteroidy, a co za tym idzie, będziemy mogli go namierzyć. Kątem oka obserwuję, jak facet obok zbiera z talerza rozlane żółtko kawałkiem pieczywa. Prezenter telewizyjny z niesmakiem ciska puszkę do śmietnika i prezentuje widzom fikuśne urządzenie do pakowania próżniowego. Właśnie wsypuje do stalowego lejka miseczkę truskawek. Culverson referuje, że McConnell przeczesła całą resztę Water West Building, cztery piętra pomieszczeń biurowych, z których połowa świeci już pustkami. Oczywiście nikt nie widział ani nie słyszał niczego niezwykłego. Ludzie mają wszystko gdzieś. Staruszek z dolnego holu stwierdził, że do budynku nie wszedł ani z niego nie wyszedł nikt, kogo by nie znał, lecz poza głównym są jeszcze dwa tylne wejścia, z których jedno prowadzi prosto na rzadko używaną klatkę schodową, a wszystkie kamery monitoringu już dawno zostały rozkradzione.

Więcej poszlak. Więcej zagadek. Więcej faktów.

Patrzę na telewizor, gdzie prezenter wrzuca do lejka karton jagód i włącza urządzenie. Mój sąsiad przy ladzie komentuje to gwizdem pełnym aprobaty.

- A co... - zaczynam.

Nagle zamieram w bezruchu, siedzę tam, trzymając się obiema rękami za głowę. Znienacka muszę podjąć decyzję, czy opuszczę to miasto i pojedę na północ do Maine, gdzie wynajmę dom nad zatoką Casco i będę tam siedział przy oknie z pi-

stoletem na podorędziu i czekał na koniec, czy zostanie tutaj i dokończę tę sprawę. I wszystkie następne też.

- Henry? - odzywa się Culverson.

- ...z aktami? - dokańczam pytanie i chrząkam. Siadam prościej na stołku, wtykam palec w jedno ucho, by zagłuszyć prezentera i koszmarną muzykę. Sięgam po bruliony. - Co z aktami?

- A, tak, akta - rzuca Culverson. - Cholernie pomocny pan Gompers stwierdził, cytuję, że jeśli o nie chodzi, jesteśmy w kropce.

- Aha.

- Rzucił okiem na archiwum i oszacował, że może brakować kilkudziesięciu teczek, ale nie jest w stanie określić, których roszczeń one dotyczyły, kto nad nimi pracował i tak dalej. Odpuścili sobie pracę na komputerach w styczniu, a nikt nie pomyślał o tym, aby robić kopie zapasowe papierowych dokumentów.

- A to pech - podsumowuję, wyjmując długopis, by to wszystko zanotować.

- Jutro spróbuję namierzyć kogoś z bliskich albo przyjaciół ofiary, przekażę im złe wieści i sprawdzę przy okazji, co wiedzą.

- Ja to zrobię - oferuję.

- Serio?

- Jak najbardziej.

- Jesteś pewien?

- Zajmę się wszystkim.

Chowam komórkę, zbieram bruliony. Pytanie pozostaje to samo: dlaczego? Dlaczego ktoś miałby to robić? Dlaczego teraz? Morderstwo z zimną krwią. Z jakiego powodu, w jakim celu?

Siedzący dwa miejsca dalej wąsacz znów wydaje to dziwne prychnięcie, ponieważ program został przerwany wiadomo-

ściami. Jakieś kobiety w abajach uciekają w panice we wszystkich kierunkach, w tle opuszczone brudne targowisko.

Facet spogląda na mnie smutno, potrząsa głową, jakby chciał powiedzieć: „No popatrz tylko, chłopie”, czuję, że za chwilę mnie zagadnie, tak po ludzku, żeby ulżyć sercu, na co zupełnie nie mam czasu ani sił. Czeka mnie robota do wykonania.

* * *

W domu zdejmuję rzeczy, w których ganiałem cały dzień – do kostnicy, do bazy Gwardii Narodowej, na miejsce zbrodni – a potem zamieram na środku sypialni i rozglądam się uważnie.

Minionej nocy, tuż po dwunastej, obudziłem się w tym pokoju w podobnym mroku i dostrzegłem Naomi w drzwiach. Podświetlona blaskiem wkładała przez głowę czerwoną sukienkę.

Pogrążony w myślach, przechadzam się nerwowo.

Włożyła sukienkę, potem przysiadła na skraju materaca i zaczęła mówić – chciała mi coś wyznać – ale powstrzymała się z jakiegoś powodu. „Nieważne”, rzuciła.

Krążę wolnym krokiem po własnej sypialni. Houdini zatrzymuje się w progu, jest niespokojny.

Naomi zaczęła coś mówić, zamilkła, zmieniła zdanie i dodała: „Było cudownie. Nigdy tego nie zapomnę. Bez względu na to, jak to wszystko się skończy”.

Krążę nadal, pstrykając palcami, przygryzając końcówkę wąsa. Choć powiedziała właśnie to, zamierzała wyznać coś zupełnie innego.

Kładę się i zapadam w niespokojny sen. Pocisk, który przeżył czaszkę Naomi, zmienia się w ognistą kulę uderzającą w kruchą powierzchnię naszej planety, rozoruje połacie lądu, wyrzuca w niebo głązy i ziemię, opada na dno oceanu, pniąc go i zamieniając wodę w parę. Brnie coraz głębiej, niszczy wszystko po drodze, uwalnia zmagazynowaną energię kinetyczną, po czym znów jako pocisk przeszywa mózg, rozpruwa

szarą masę, rozdziera nerwy, tworzy ciemność, wysysa życie zewsząd, dokąd dotrze.

Budzi mnie blask słońca sączący się do wnętrza sypialni. W głowie mam już plan następnych kroków dochodzenia.

Trop, którym podążę, jest tak niewyraźny, że niemal nieuchwytny.

2.

To nie moje morderstwo, tylko Culversona, mimo to jadę znów do centrum, do Water West Building, jak zwierzę, które było świadkiem pożarcia pobratymca i od tamtej pory wraca w to miejsce nieustannie, by zaspokoić niezdrową fascynację.

Po Eagle Square krąży jakiś drab – ubrany w przydużą parkę i futrzaną czapę, nosi z przodu i z tyłu tablicę z napisem wymalowanym wielkimi koślawymi literami: CZY ONI MAJĄ NAS ZA GŁUPKÓW? Łazi tak, potrząsając bez chwili wytchnienia dzwonkiem, jakby był Świętym Mikołajem z Armii Zbawienia.

– Ej – woła w moim kierunku. – Wiesz może, która godzina?

Pochylam głowę, ignoruję go, otwieram drzwi.

W holu nie ma staruszka. Idę schodami na drugie piętro, nie obwieszczam swojego przybycia, jak wypada, lecz mijam sekretariat i znajduję pana Gompersa tam, gdzie się go spodziewam, za biurkiem z orzecha.

– Och – bąka zaskoczony, próbując wstać, by mnie powitać. – Ja już wczoraj powiedziałem pańskiemu koledze wszystko, co wiedziałem o biednej Naomi.

– Wiem – potakuję, zauważając, że przerzucił się ze szklaneczek na kufle. – Powiedział pan, ale nie wszystko.

– Słucham?

Czuję w trzewiach taki chłód, jakby mi ktoś wyciął kolejno wszystkie organy, a potem powkładał je ponownie na chybił trafił. Uderzam dłońmi o blat biurka Gompersa i pochylam się mocno. On cofa się, próbuje uniknąć miażdżącego spojrzenia. Wiem, jak wyglądam. Nieogolony, wymizerowany, z sinofioletową opuchlizną otaczającą śnieżnobiały opatrunek na oku.

- Gdy rozmawialiśmy w zeszłym tygodniu, wspomniał mi pan, że wasza macierzysta firma z Omahy ma fioła na punkcie zapobiegania wyłudzeniom odszkodowań.

- Co? Nic nie pamiętam - bełkocze.

- Naprawdę? Proszę spojrzeć - warczę, a on wzdryga się, gdy rzucam przed niego błękitny brulion. - Proszę czytać.

Gompers nawet nie drgnie, więc mówię mu, co zapisałem:

- Stwierdził pan, że firmie zależy wyłącznie na ochronie zysku. Wczoraj jednak zapewnił pan detektywa Culversona, że nie dysponujecie kopiami zaginionych akt.

- No bo widzi pan, odkąd przeszliśmy całkowicie na papier... - mamrocze. - Serwery... - Nie patrzy na mnie, utkwił spojrzenie w zdjęciu stojącym na blacie, przedstawia ono córkę, która wyjechała do Nowego Orleanu.

- Wszyscy pańscy pracownicy sprawdzają roszczenia, nie korzystając ze wsparcia komputerów, ale żaden z nich nie zabezpiecza się, kopiując najważniejsze dokumenty? To chce mi pan powiedzieć?

- Cóż. Ja... - Gompers spogląda w kierunku okna, a potem skupia wzrok na mnie. Po jego oczach widzę, że uraczy mnie tym samym tekstem. - Naprawdę bardzo mi przykro, ale...

Wyrywam Gompersowi kufel z dłoni i ciskam nim w okno. Rozbija się, zasypując wykładzinę gradem odłamków szkła, lodu i kropel rozlanego dżinu. Gompers gapi się na mnie, łapiąc powietrze niczym wyjęta z wody ryba. Wyobrażam sobie Naomi - wszystko, czego chciała, to napisać idealną villanelle - noszącą mu butelki alkoholu ze sklepu na rogu, a potem chwytam drania za klapy i unoszę z fotela. Czuję, jak jego sieniejące cielsko drży pod naciskiem moich dłoni.

- Czyś pan oszalał?

- Gdzie są kopie tych akt?

- W Bostonie. W biurze regionalnym. Przy State Street. - Połóżniam uchwyt, ale tylko odrobinę. - Każdego wieczora archi-

wizujemy wyniki postępowań i wysyłamy je do Bostonu – informuje mnie płaczącym tonem. – Tam je deponujemy, okay?

Puszczam go, więc opada na biurko i ześlizguje się jak robal na siedzisko fotela.

– Proszę mnie posłuchać, panie władzo... – zaczyna, ale wchodzi mu w słowo.

– Jestem detektywem.

– Detektywie. Oni zamykają biura jedno po drugim. Szukają pretekstów. Stamford. Montpelier. Nie wiem, co pocznę, jeśli i nas zlikwidują. Nie mamy żadnych oszczędności. To znaczy moja żona i ja. – Głos zaczyna mu drżeć. – Nie przetrwamy. – Spoglądam na niego ostro. – Jeśli zadzwonię do nich i poproszę o zwrot depozytów, zapytają, do czego mi są potrzebne, a ja... – Traci dech, próbuje wziąć się w garść, ja nie spuszcza jednak wzroku. – Co mam im powiedzieć, że ukradziono mi dokumentację, że... że paru moich pracowników nie żyje? – Spogląda na mnie, oczy ma załzawione, wielkie jak spodki, skamle jak dzieciak. – Ja tylko chcę tu pracować. Proszę mi pozwolić dotrzeć do końca. Bardzo proszę.

Łka, ukrywa twarz w dłoniach. Mam tego dość. Asteroida jest idealną wymówką dla wielu osób, nieuchronnym zderzeniem tłumaczą wszystkie wredne, samolubne zachowania, kryją się za jej ogonem jak dzieci za matczyną spódnicą.

– Przykro mi – prostuję plecy – ale musi mi pan dostarczyć kopie tych akt. Chcę mieć dostęp do każdego kwitka, który zniknął, a pan wskaże mi ponadto, nad którymi pracował Peter Zell. Rozumiemy się?

– Ja... – Bierze się w garść, siada prościej, wydmuchuje nos w chusteczkę. – Spróbuję.

– Proszę nie próbować – rzucam, odwracając się na pięcie. – Proszę to zrobić. Ma pan czas do jutra rana.

* * *

Schodzę na parter powoli, cały rozedrgany, wykończony, pozabawiony energii. Gdy przyciskałem Gompersa, niebo uznało, że czas na zesłanie nam kolejnej porcji tej okropnej marznącej mżawki, tak więc teraz czuję ją na twarzy, przemierzając ponownie Eagle Square w drodze do auta.

Facet z tablicą wciąż kręci się przed budynkiem, widzę znajomą parkę i nastroszoną futrzaną czapę, słyszę ponownie, jak woła: „Wie pan, która godzina?”. Ignoruję go, ale zastępuje mi drogę. Chroni się za tablicą z napisem CZY ONI MAJĄ NAS ZA GŁUPKÓW? jak centurion za tarczą, rzucam więc półgłosem: „Przepraszam pana”, na co on nie reaguje, a do mnie dociera w tym momencie, że mam przed sobą faceta spotkanego minionej nocy w Somerset Diner. Nie ma teraz na sobie kurtki harleyowca, ale rozpoznaję sumiasty wąs, czerwone policzki i te smutne oczy.

- Ty jesteś Henry Palace, nie? - zagaduje.

- Tak - potwierdzam, za późno uświadamiając sobie, co zaraz nastąpi.

Sięgam do kabury pod pachą, ale facet mnie uprzedza, puszcza tablicę i dźga mnie czymś pod żebro. Zerkam w dół. To pistolet, krótki, czarny, paskudny.

- Nie ruszaj się.

- Okay - odpowiadam.

Nieruchomiejemy pośrodku placu, równo moknąc. Chodnikiem przechodzą jacyś ludzie, mijają nas w odległości paru metrów, ale przecież leje i jest tak potwornie zimno, że każdy rozsądny człowiek kuli się i spuszcza wzrok. Nikt nas nie zauważa. Zresztą i tak wszyscy są zobojętniali.

- Nie odzywaj się.

- Dobrze.

- Okay.

Dyszy ciężko. Wąsy i brodę ma upstrzone żółtawymi plamami jak po nikotynie z papierosów. W oddechu wyczuwam woń

dymu.

- Gdzie ona jest? - syczy.

Skierowana ku górze lufa wrzyna mi się boleśnie w ciało, wiem, gdzie dotrze kula, jeśli zostanie wystrzelona: przebije skórę, potem mięśnie i trafi prosto w serce.

- Kto? - pytam.

Przypomina mi się atak popielniczką w wykonaniu Toussainta. Aby porwać się na coś takiego, musiał być naprawdę zdesperowany, tak przynajmniej twierdziła Alison. Teraz mam przed sobą faceta, który w biały dzień zaatakował funkcjonariusza policji, w dodatku używając broni palnej, co jest poważnym przestępstwem. To desperat. Czuję, jak lufa wrzyna mi się mocniej w bok.

- Gdzie ona jest? - pyta ponownie.

- Ale kto?

- Nico.

O Boże. Nico. Pada na nas coraz mocniej, ale nadal się nie ruszamy. Nie mam na sobie nawet płaszcza przeciwdeszczowego, tylko szarą marynarkę i niebieski krawat. Zza kontenera na śmieci wybiega szczur i mknie przez plac w kierunku Main Street. Śledzę go wzrokiem, podczas gdy napastnik oblizuje nerwowo wargi.

- Nie wiem, gdzie jest Nico - zapewniam go.

- Wiesz, dobrze to wiesz.

Wciska lufę głębiej w bok osłonięty cienką bawełnianą koszulką, czuję, że palce go świerzbią, by pociągnąć za spust, ta gotowość do działania rozgrzewa nawet lodowaty metal lufy. Oczami wyobraźni widzę otwór wlotowy na czole Naomi, tuż nad prawym kącikiem lewego oka. Tak mi jej brakuje. Zimno tu, twarz mam całą mokrą. Czapkę zostawiłem w samochodzie, tam gdzie psa.

- Proszę mnie posłuchać - mówię, podnosząc głos, by przekrzyczeć bębnienie deszczu. - Nie wiem, gdzie ona jest. Sam

próbowałem ją znaleźć.

- Pieprzenie.

- Mówię prawdę.

- Pieprzenie.

- Kim pan jest?

- To nie powinno cię interesować.

- Okay.

- Jestem jej przyjacielem, rozumiesz? Jestem przyjacielem Dereka.

- Okay - powtarzam, próbując sobie przypomnieć wszystko, co Alison mówiła na temat Skeve'a i jego niedorzecznej organizacji: raport Mary Catchman, tajne bazy na Księżycu. Brednie i bzdury, a mimo to znalazłem się w tej sytuacji: jeśli facet naciśnie spust odrobinę mocnej, zginę na miejscu.

- Gdzie jest Derek? - pytam, ale mój prześladowca prychnął tylko gniewnie, po czym warczy: „Ty dupku”, cofa rękę, tę, w której nie trzyma broni, i uderza mnie pięścią w skroń. Świat zaczyna mi wirować przed oczami, tracę ostrość widzenia, zginam się w pół, a on uderza mnie jeszcze raz, tym razem sierpem od dołu, w szczękę, więc lecę do tyłu, walę potylicą w ceglaną ścianę budynku. Niemal natychmiast czuję ponownie nacisk lufy, pistolet znów wbija mi się pod żebra. Stoję chwiejnie, czekając, aż świat przestanie się kręcić jak oszalały, czuję krew sączącą się z rozciętej wargi do ust, puls łomocze mi w głowie, opatrunek na oku nasiąka deszczem.

Prześladowca przysuwa się bliżej, syczy mi prosto w ucho:

- Derek Skeve nie żyje, o czym doskonale wiesz, ponieważ to ty go zabiłeś.

- To nie... - usta mam pełne krwi, muszę ją najpierw wypluć - ...ja.

- No tak, ty go tylko kazałeś zabić, to naprawdę żadna różnica.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

To zabawne, myślę sobie.

Gdy świat przestaje wirować, w polu widzenia znów się pojawia twarz rozwścieczonego wążacza i zimowy pejzaż znajdującego się za nim placu. W pewnym sensie domyślałem się tego. Gdyby ktoś mnie zapytał, powiedziałbym, że Skeve pewnie nie żyje. Nie zdążyłem jednak zastanowić się nad tym głębiej. Boże, któregoś ranka obudzę się i wszyscy wokół będą martwi. Odwracam głowę, spluwam kolejną strugą czarnej krwi.

- Proszę posłuchać - rzucam najspokojniej jak umiem. - Daję słowo... Nie, proszę na mnie spojrzeć. Proszę patrzeć mi w oczy. - Prześladowca podnosi głowę, na jego obliczu maluje się strach, usta drgają pod gęstym zarostem; przez moment wyglądamy jak para groteskowych kochanków, którzy spoglądają sobie w oczy na pustym zmrożonym placu, mimo że dzieli ich pistolet. - Nie mam pojęcia, gdzie jest teraz Nico. Nie wiem też, gdzie podział się Skeve. Jednakże mogę panu pomóc, jeśli tylko powie mi pan wszystko, co wie na ten temat.

Prześladowca zastanawia się nad tą propozycją. Widzę wewnętrzne rozdarcie w jego wielkich smętnych oczach. W pewnym momencie otwiera usta, dyszy ciężko. Potem niespodziewanie rzuca podniesionym głosem:

- Kłamiesz. Wiesz, gdzie są. Nico mówiła, że jej brat ma plan, jakiś tajny policyjny plan...

- Co takiego?

- Że wyciągnie Dereka...

- Co?

- Nico powiedziała, że jej brat ma plan, że zdobędzie dla niej wóz...

- Zaraz... chwileczkę...

Leje jak z cebra.

- Potem oni zabijają Dereka, a mnie cudem udaje się uciec. Wychodzę na zewnątrz, ale jej nigdzie nie ma.

- Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

- Owszem, masz.

Słyszę ostre metaliczne kliknięcie, gdy odbezpiecza broń. Krzyczę dwukrotnie, potem składam dłonie jak do klaśnięcia. Wąsacz rzuca: „Ejże!”, ale zagłusza go warczenie dobiegające od strony chodnika. Gość obraca głowę w kierunku źródła hałasu, a ja walę go w twarz obiema rękami, tak że leci do tyłu i pada na plecy.

- Cholera! - jęczy, leżąc na chodniku, a ja dobywam służbowej broni i mierzę w niego, prosto w tors, ale tracę równowagę, ponieważ ten ruch okazał się zbyt gwałtowny, w dodatku jest bardzo ciemno, twarz mam zalaną deszczem, jak na złość znów zaczynam widzieć podwójnie i chyba celuję nie w tego faceta co trzeba, gdyż nagle ktoś mnie kopie. Wąsacz zerwał się z ziemi i przyłożył mi z półobrotu, więc walę się na ziemię jak obalony pomnik dyktatora. Przetaczam się szybko, rozglądam po placu. Nic. Cisza. Deszcz.

- A niech to - mruczę, siadając.

Wyciągam chusteczkę i przyciskam ją do rozciętej wargi. Houdini podbiega, staje przede mną, podskakuje, popiskuje, więc wyciągam do niego rękę, pozwalam mu ją obwąchać.

- On kłamie - zapewniam psa.

Dlaczego Nico miałyby komuś opowiadać, że mam plan wydośtania Dereka z więzienia? Skąd mogłaby wytrzasnąć samochód?

Problem w tym, że faceci pokroju wąsacza są zazwyczaj zbyt głupi, by kłamać. Człowiek wierzący w to, że nasz rząd zdołał w ciągu ostatnich kilku lat zbudować w sekrecie cały system baz na ciemnej stronie Księżyca - że wydaliśmy gigantyczne pieniądze na wypadek potencjalnego, zgoła nieprawdopodobnego zagrożenia - musi być skończonym durniem.

To dziwne, myślę sobie, z trudem wstając z chodnika. Moja siostra jest zbyt mądra, by uwierzyć w takie bzdury.

Ocieram usta rękawem i ruszam chwiejnym krokiem do samochodu.

Ona naprawdę jest mądra. Zdecydowanie za mądra na coś równie durnego.

- Hm - mruczę. - Hmm...

* * *

Godzinę później znów jestem w Cambridge, na zalanym deszczem placu naprzeciw Harvard Yard. Nieopodal przycupnął krąg obdartej bezdomnej młodzieży, dalej tańczy para hipisów, jakiś człowiek sprzedaje książki z wózka na zakupy, za nim kobieta w bluzce bez ramiączek balansuje na monocyklu, zonglując kręglami i śpiewając: *Que Sera, Sera*. Staruszka w srebrnym spodnium pali skręta z marihuany na przemian z czarnoskórym mężczyzną noszącym mundur z demobilu. Rozciągnięty na schodach pijak chrapie głośno, spodnie ma przemoczone uryną. Wszystko to dzieje się pod czujnym okiem policjanta stanowego z Massachusetts. Lustrzane okulary przeciwsłoneczne połyskują z jego rangerskiego kapelusza. Kiwam mu głową, krótko, jak gliniarz gliniarzowi, ale nie reaguje.

Przechodzę na drugą stronę Mt. Auburn Street i znajduję kiosk z zaczernionymi oknami. Nadal nie mam pojęcia, gdzie pracuje Alison Koechner, a pod jej dawnym numerem nikt nie odbiera telefonów, zostało mi więc tylko to miejsce, które zwykła często odwiedzać.

- No, no - rzuca na mój widok Doktor Kawa. - Czyżby moje nemezis?

- Słucham? - Mrużę powieki, rozglądając się po ciemnym pomieszczeniu, ale prócz tego dzieciaka i mnie nie ma nikogo. Doktor Kawa unosi ręce, uśmiecha się szeroko.

- Żartowałem, człowieku. Tak tylko gadam. - Wskazuje mnie obiema rękami, jakby mierzył z pistoletów. - Wyglądasz mi, przyjacielu, na kogoś, komu przydałoby się porządne latte.

- Nie, dziękuję, bardziej przydałaby mi się informacja.

- Nie sprzedaję informacji, tylko kawę.

Krząta się za kontuarem, zwinnie i szybko, wstawia lejkowaty filtr do ekspresu, po chwili wyjmuje go ponownie, odmierza zmieloną kawę i ugniata.

- Byłem tutaj kilka dni temu.

- Skoro tak mówisz - rzuca obojętnie chłopak, nie odrywając wzroku od ekspresu.

Papierowe kubki wciąż stoją rzędem na ladzie, każdy przydzielony do innego kontynentu, wystarczy podejść i obstawić. Ten z napisem Ameryka Północna mieści tylko dwa ziarenka, w Azji znajduje się cała garść, podobnie jak w Afryce. Prowadzi jednak Antarktyda, kawa zaczyna się z niej wysypywać. Pożożne życzenia. Jakby to cholerstwo mogło zaryć w lód i zgasać jak świeczka.

- Przyszedłem w towarzystwie kobiety. Mniej więcej tego wzrostu, krótkie rude włosy. Ładna.

Kiwa głową, nalewając mleka z kartonu do niewielkiego stalowego dzbanuszka.

- Jasne. - Podtyka naczynko pod parownik, przekręca włącznik i zaczyna spieniać. - Doktor Kawa pamięta wszystko.

- Znasz ją?

- Nie znam, ale często widuję.

- Okay.

Tracę na moment koncentrację, zauroczony przyglądam się dzbanuszkowi Doktora Kawy, a potem wzdrygam się, gdy zabiera go raptownym ruchem spod parownika, tuż przed tym, nim spienione mleko przeleje się przez krawędź.

- Ta-dam!

- Chciałbym zostawić jej wiadomość.

- Naprawdę?

Doktor Kawa unosi brew. Ja masuję się po boku, na którym lufa pistoletu wąsacza zostawiła spory siniec, tuż pod linią że-

ber.

- Przekaż jej, że był tutaj Henry.

- To mogę zrobić.

- I dodaj, że muszę się z nią jeszcze raz zobaczyć.

- To też mogę zrobić. - Zdejmuje z haczyka niewielką ceramiczną filiżankę i najpierw napełnia ją odrobiną espresso, a potem na wierzch nakłada grubą warstwę spienionego mleka. Ta sztuka wymaga odrobiny geniuszu, nie mówiąc już o niesamowitym wyczuciu.

- Nie zawsze się tym zajmowałeś - stwierdzam. - Mówię o parzeniu kawy.

- Nie - przyznaje, nie odrywając wzroku od swego dzieła. Chwyta filiżankę w dłonie i zaczyna nią delikatnie kołysać, wycharowując ciemny wzór na spienionej bieli. - Studiowałem matematykę stosowaną - wyjaśnia, wskazując ledwie zauważalnym skinieniem głowy stojący po drugiej stronie ulicy budynek Uniwersytetu Harvarda. Moment później spogląda na mnie z promiennym uśmiechem. - Ale wiesz, co mówią ludzie - kwituje, podając mi latte z niemal idealnym liściem dębu wyrysowanym na piance. - Matematyka stosowana nie ma przyszłości.

Patrzy na mnie wyczekująco, wiem, że spodziewa się po mnie śmiechu, ale ja pozostaję poważny. Oko mnie boli. Wargę piecze w miejscu pęknięcia.

- Dasz jej znać, że Henry tu był?

- Tak, koleś. Powiem jej.

- Przekaż jej też... - Właśnie, w sumie dlaczego by nie? - Przekaż jej, że Henry Palace chce wiedzieć, co się kryje za tą Verne'owską księżycową ściemą. Zdaję sobie sprawę, że coś jest na rzeczy, i chcę się dowiedzieć, kto i po co to robi.

- Wow. Człowieku, to dopiero treściwa wiadomość.

Wyciągam portfel z kieszeni, ale Doktor Kawa powstrzymuje mnie przed jego otwarciem.

- Nie, nie - rzuca. - To na koszt firmy. Będę szczery, przyjacielu. Nie wyglądasz za dobrze.

3.

Detektywi rozważają wszystkie możliwości, biorą pod uwagę każdy splot wydarzeń, który mógł doprowadzić do zbrodni, ustalają najprawdopodobniejsze z nich, typują właściwe.

Naomi została zamordowana, gdy przeglądała akta ubezpieczeniowe, nad którymi pracował Peter. A robiła to, ponieważ wiedziała, że uważam je za ważny trop, i chciała mi pomóc w dochodzeniu.

Naomi została zamordowana, gdy przeglądała akta, by zdecydować, których nie powinienem zobaczyć.

Ktoś ją zastrzelił. Nieznajomy? Wspólnik? Przyjaciel?

Powrót z Cambridge do Concord zajmuje mi godzinę. Godzina jazdy wymarłą autostradą, od jednego zniszczonego drogowskazu przy zjeździe do kolejnego; po drodze mijam wyłączone jelenie, które zatrzymują się bojaźliwie na poboczu północnej nitki dziewięćdziesiątki trójki. Myślę o Naomi stojącej w drzwiach mojej sypialni. Noc z poniedziałku na wtorek. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że to, co zamierzała mi powiedzieć – to, co zaczęła mówić, ale zrezygnowała w pół słowa – nie dotyczyło warstwy uczuciowej, lecz prowadzonego przeze mnie śledztwa.

Kto jednak stałby półnagi, skąpany blaskiem księżyca i mówił drugiej osobie o szczegółach dotyczących spornych umów i kwot ubezpieczeń?

Tu musiało chodzić o coś innego, ale nie dowiem się już nigdy o co, mimo że naprawdę bardzo tego chcę.

Zazwyczaj gdy podjeżdżam pod komendę miejską, zostawiam wóz na wolnym powietrzu i wchodzę tylnymi drzwiami prowadzącymi na kryty parking. Tego popołudnia z jakiegoś powodu

wybieram dłuższą drogę, obchodzę budynek i korzystam z frontowego wejścia, tego samego, którym dostałem się na komendę po raz pierwszy, gdy miałem cztery czy pięć lat. Witam się z Miriam, która pracuje na dawnym stanowisku mojej mamy, i wchodzę szybko na piętro, by zadzwonić do rodziny Naomi.

Problem jednak w tym, że stacjonarne linie nie działają.

Nie słyszę charakterystycznych dźwięków wybierania ani nawet szumu w tle. Aparat jest martwy. Sprawdzam przewód od biurka do gniazdka i z powrotem, potem naciskam kilkakrotnie widełki. Rozglądam się po pokoju, przygryzając wargę. Wszystko wygląda normalnie: biurka, stosy dokumentów, szafki na akta, papierki po kanapkach, puszki po napojach, blade słońce prześwitujące przez brudne szyby jedyne okna. Przechodzę na drugi kraniec pomieszczenia, do biurka Culversona, podnoszę słuchawkę jego aparatu. To samo: cisza absolutna. Odkładam słuchawkę ostrożnie na widełki.

- Coś się spieprzyło - stwierdza McGully, stając w progu z rękami skrzyżowanymi na piersi. Rękawy bluzy ma podwinięte, cygaro sterczy mu z kącika ust. - Dobrze mówię?

- Owszem - przyznaję. - Nie mogę zadzwonić.

- Czubek pieprzonej góry lodowej - warczy, gmerając w kieszeniach spodni od dresu w poszukiwaniu zapalek. - Coś się kroi, Nowy.

- Ta... - rzucam, ale on chyba mówi poważnie, od czasu gdy go poznałem, nigdy jeszcze nie miał takiej miny.

Podchodzę do biurka Andreasa, odsuwam krzesło i sprawdzam jego telefon. Nic. Słyszę, że w pokoju socjalnym dwa pomieszczenia dalej rozmawia paru Jeżyków. Jeden się śmieje, drugi mówi: „Więc ja mu na to: słuchaj, czekaj”. Gdzieś trzaskają drzwi, ktoś biegnie korytarzem.

- Wpadłem z samego rana na komendanta - informuje mnie McGully, wchodząc do pokoju i opierając się o ścianę przy

grzejniku. – No to mówię mu: „Cześć, dupku”, jak co dzień, a on mija mnie bez słowa. Jakbym był jakimś cholernym duchem.

– No, no.

– A teraz mają tam jakąś naradę. W gabinecie Ordlera. Komendant, zastępcy komendanta. Do tego banda palantów, których nie znam. – Próbuje zapalić cygaro. – W panoramicznych okularach przeciwsłonecznych.

– W okularach przeciwsłonecznych?

– Tak.

Powtarza „w okularach przeciwsłonecznych” takim tonem, jakby te słowa miały ukryte znaczenie, ale cokolwiek chce przemycić, ja tego nie łapię. I tak słucham go tylko jednym uchem. Na potylicy mam pulsującego guza, nabiłem go sobie tego ranka, waląc o ceglaną ścianę na Eagle Square.

– Zapamiętaj moje słowa, młody... – Celuje we mnie niezapałonym cygarem, macha nim na wszystkie strony jak Duch Przyszłych Świąt. – Coś się, kurwa, kroi.

* * *

Hol głównego oddziału miejskiej biblioteki publicznej wypełnia klasyka, największe hity zachodniego kanonu tworzą sporą piramidę. *Odyseja*, *Iliada*, Ajschylos i Wergiliusz to jej podstawa. Szekspir i Chaucer drugi poziom, potem są nowsze utwory, a całość wieńczy *Słońce też wschodzi* Hemingwaya. Nikomu nie chciało się zatytułować tej wystawy, ale jej przesłanie wydaje się aż nazbyt oczywiste: „Książki, które warto przeczytać przed śmiercią”. Jakiś żartowniś, być może nawet ten sam, który zapętlił nagranie R.E.M. w szafie grającej u Pannuciego, dodał do stosu książek *Ostatni brzeg*, wciskając go między *Miasteczko Middlemarch* a *Olivera Twista*. Wyjmuję ten tomik i przed zejściem do piwnicy, gdzie znajduje się księgozbiór podręczny, odnoszę na regał z fantastyką.

Dochodzę do wniosku, że tak musiało wyglądać życie policjanta w epoce przedcyfrowej. Dziwną przyjemność sprawia mi wertowanie grubej jak cegła książki telefonicznej Marylandu, przesuwanie palcem wskazującym po kolejnych kolumnach drobnego druku, wreszcie wyszukiwanie pożądanego nazwiska. Czy po tym wszystkim będą jeszcze policjanci, tego nie wiem. Nie, raczej ich nie będzie, a w każdym razie na pewno nie pojawią się od razu.

W Gaithesburgu znajduję trzy numery należące do kogoś noszącego nazwisko Eddes. Przepisuję je uważnie do błękitnego brulionu, po czym wracam na górę i mijając Szekspira i Johna Milтона, docieram do staromodnej budki telefonicznej stojącej przy głównym wejściu. Jest kolejka, muszę więc odczekać prawie dziesięć minut, gapiąc się przez wysokie zdobne okno na wątle bezlistne gałęzie mikrego grabu rosnącego przed biblioteką. W końcu nadchodzi moja kolej, nabieram tchu i wystukuję pierwszy numer.

Ron i Emily Eddes mieszkający na Maryland Avenue. Nie odbierają, nie mają też automatycznej sekretarki.

Maria Eddes, zamieszkała przy Autumn Hill Place. Odbiera, ale po pierwsze sprawia wrażenie osoby bardzo młodej, a po drugie mówi wyłącznie po hiszpańsku. Udaje mi się jednak zapytać łamańcem, czy zna Naomi Eddes, na co odpowiada, że nie. Przepraszam ją za kłopot i odwieszam słuchawkę.

Na zewnątrz znów pada. Wybieram ostatni numer. Wsłuchując się w sygnał, obserwuję samotny owalny liść trzymający się jednej z gałęzi, który kołysze się pod uderzeniami kropel deszczu.

- Halo.

- William Eddes?

- Tak, tu Bill. Kto mówi?

Zaciskam zęby. Przykładam dłoń do czoła. Żołądek zwija mi się w supeł.

- Czy jest pan krewnym kobiety o nazwisku Naomi Eddes?
Moment ciszy, która następuje po moich słowach, jest trudny do zniesienia, bolesny. Rozmawiam z ojcem Naomi.
- Proszę pana? - zagaduję w końcu.
- Kto mówi? - powtarza chłodnym, formalnym tonem.
- Detektyw Henry Palace - odpowiadam. - Jestem policjantem w Concord w stanie New Hampshire.

Odwiesza słuchawkę.

Liść grabu, ten ostatni, który jeszcze przed momentem chwiał się pod naporem deszczu, zniknął. Rozglądam się i mam wrażenie, że widzę miejsce, gdzie wylądował, czarną plamkę na połaci pokrytego siną breją trawnika. Wybieram ponownie numer Billa Eddesa, ale tym razem nikt nie odbiera.

Obok budki zatrzymuje się jakaś staruszka, stoi oparta o wózek na zakupy, jaki można znaleźć przed każdym supermarketem. Wpatruje się we mnie, więc unoszę rękę w przeproszającym geście i po raz trzeci próbuję dodzwonić się do Billa Eddesa. Nie dziwi mnie, że znów nie odbiera ani że sygnał milknie nagle jak nożem ucięty. Ojciec Naomi, stojąc w salonie albo w kuchni, wyrwał przewód z gniazdka, a teraz owija go metodycznie wokół aparatu i odkłada wszystko na półkę albo do szafy, jak coś, o czym woli się nie pamiętać.

- Przepraszam panią - mówię, otwierając drzwi staruszce z wózkiem, a ona pyta:

- Co ci się stało w twarz, chłopcze?

Nie odpowiadam. Wychodzę z biblioteki, ssąc koniec wąsa, jedną dłoń trzymam na piersi, czuję bicie serca... Cholera... To jest to... Cholera... Zaczynam biec, pędzę przez pokryty mazią trawnik w kierunku zaparkowanego samochodu.

* * *

Concord to niewielka miejscowość, razem z przedmieściami zajmuje jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych, ile

więc może zająć dojazd z centrum do szpitala, zwłaszcza że na ulicach nie ma ani jednego samochodu? Dziesięć minut to zbyt mało, by rozgryźć problem, ale wystarcza, bym zyskał pewność, że dam sobie z tym radę, że rozwiążę sprawę tego morderstwa – a nawet tych morderstw – ponieważ oba popełnił ten sam sprawca.

Jestem właśnie na skrzyżowaniu Langley Parkway z drogą numer dziewięć, patrzę na szpital miejski, który wygląda z tej perspektywy jak dziecięcy zamek ustawiony na pagórku; otaczają go inne zabudowania i parkingi, biura i kliniki. Nowe skrzydło, które nie zostało i nie zostanie już ukończony, stosy drewna, tafle szkła, rusztowania ukryte pod plandekami.

Zatrzymuję się na parkingu, nie wysiadam, bębnię palcami o kierownicę.

Bill Eddes zareagował tak nie bez powodu, a ja wiem, jaki to powód.

Z tego faktu wynika następny, który prowadzi mnie do kolejnego.

Czuję się, jakbym wszedł do ciemnego pokoju i zauważył jedyną źródło światła, jakim jest ledwie widoczna szczelina pod drzwiami znajdującymi się na przeciwległym krańcu. Gdy otworzę te drzwi, trafię do kolejnego pomieszczenia, nieco tylko jaśniejszego od poprzedniego, i dostrzegę następne drzwi naprzeciw, a pod nimi odrobinę jaśniejszy blask.

Muszę przemierzać te pokoje jeden po drugim, każdy z nich będzie lepiej oświetlony.

Nad wejściem znajduje się rząd sferycznych lamp, wszystkie świeciły, gdy byłem tutaj ostatnim razem, a teraz dwie są przepalone i nikt się tym nie przejmuje. Nasz świat rozpada się kawałek po kawałku, wszystko drży i sypie się w gruzy na samą myśl o nadchodzącej zagładzie, a każdy taki niewielki ubytek ma swoje konsekwencje.

Za podkowiastą ladą recepcji nie ma dzisiaj żadnej wolontariuszki, widzę tylko zbitą w ciasną grupkę rodzinę siedzącą na jednej z rozstawionych pod ścianami kanap. Matka, ojciec i dzieciak, gdy przechodzę, wszyscy spoglądają na mnie wylężnionym wzrokiem, jakbym był posłańcem przynoszącym im złe wieści, na które czekają. Odpowiadam przepaszającym gestem, po czym zatrzymuję się pośrodku holu, rozglądam na wszystkie strony, próbując znaleźć korytarz prowadzący do windy B.

Mija mnie pielęgniarka w szpitalnym stroju, zatrzymuje się w drzwiach, przeklina pod nosem, po czym zawraca.

Chyba wiem, w którą stronę powinienem się udać, robię więc dwa kroki i niemal natychmiast doświadczam przenikliwego bólu w zabandażowanym oku. Syczę, przyciskam dłoń do opatrunku, ale to tyle, nie mam czasu na rozczulanie się nad sobą.

Odczuwam ból, ponieważ... jak to zwięźle ujęła doktor Wilton, opatrując mi ranę... panuje niedobór środków uśmierzających.

Fakty łączą się same, odzywają w mojej pamięci, po czym same ustawiają się we właściwej kolejności, jeden za drugim, tworząc coś na kształt konstelacji. Nie czuję jednak zadowolenia, nic mnie nie cieszy, gdyż ból jest naprawdę nieznośny. I na twarzy, i w boku potraktowanym lufą pistoletu, i na potylicy, którą przywaliłem w ścianę. Myślę za to: „Henry, ty durniu”. Tak, durniu, ponieważ gdybym umiał cofnąć się w czasie i spojrzeć na fakty trzeźwo, już dawno doszedłbym do prawdy i rozwiązał sprawę zabójstwa Petera Zella, a sprawy Naomi Eddes w ogóle by nie było. Moja łysa przyjaciółka nadal by żyła.

Drzwi windy rozsuwają się, więc wchodzę do kabiny.

Jestem jedynym pasażerem, wysoki milczący jednooki policjant przesuwający palcami po panelu z guzikami niczym ślepiec czytający brajla, próbujący znaleźć odpowiedzi.

Jeżdżę dłuższą chwilę to w górę, to w dół.

- Gdzie? - mruczę do siebie. - Gdzie byś to trzymał?

Wiem, że w tym budynku musi być gdzieś kryjówka podobna do psiej budy J.T. Toussainta, miejsce, w którym składowany jest towar do sprzedaży i utarg. Każdy szpital jednak to ogromna budowla, pełna kątów nadających się na skrytki - wszelkich magazynków, gabinetów, biur i korytarzyków - a zwłaszcza taki szpital, pogrążony w chaosie nigdy nie ukończonej przebudowy. Tutaj są setki idealnych schowków.

W końcu decyduję się opuścić windę, wysiadam z kabiny w podziemiach i znajduję doktor Fenton w jej gabinecie, na końcu krótkiego łącznika opodal kostnicy. Pomieszczenie jest małe, ale zadbane, ozdobione świeżo ściętymi kwiatami, rodzinnymi zdjęciami i plakatem reklamującym występ Michaiła Barysznikowa i baletu Bolszoi z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku.

Doktor Fenton wygląda na zaskoczoną i niezadowoloną z tej wizyty. Minę ma taką, jakby właśnie zauważyła w ogrodzie jakiegoś szkodnika, na przykład szopa, którego - jak sądziła - pozbyła się na dobre.

- Czego?

Mówię więc, czego potrzebuję, i pytam, ile czasu to zajmie w normalnych okolicznościach.

Krzywi się i rzuca takim tonem, jakby to wyrażenie dawno już zmieniło znaczenie:

- W normalnych okolicznościach?

- Tak. W normalnych okolicznościach.

- Od dziesięciu do dwudziestu jeden dni - stwierdza - aczkolwiek przy obecnym stanie zatrudnienia na Hazen Drive będzie to raczej od czterech do sześciu tygodni.

- Dobrze, rozumiem, ale czy może to pani dla mnie zrobić na jutro rano? - pytam, spodziewając się wybuchu wzgardliwego śmiechu i od razu układając sobie w myślach treść bardziej błagalnej prośby.

Doktor Fenton jednak zdejmuje okulary, wstaje z krzesła i przygląda mi się uważnie.

- Dlaczego tak bardzo chce pan doprowadzić do rozwiązania tej sprawy?

- Dlatego, że... - Rozkładał ręce. - Dlatego, że trzeba ją rozwiązać.

- Okay - rzuca, po czym obiecuje, że zrobi, o co proszę, jeśli obiecuję, że już nigdy, przenigdy, pod żadnym pozorem nie zajrzę ani nie zadzwonię do jej biura.

Wracając do windy, znajduję miejsce, którego szukałem. Aż się zachłystuję. Szczeka mi opada, po czym mówię: „O mój Boże!”. Mój głos odbija się wielokrotnym echem od ścian korytarza. Nim na powrót zapadnie cisza, pędzę w kierunku biura doktor Fenton, aby poprosić ją o jeszcze jedną przysługę.

* * *

Moja komórka nie działa. Nie ma zasięgu. Usługa niedostępna. Robi się coraz gorzej.

Mogę je sobie z łatwością wyobrazić: zaniedbane maszyny przekaźników, chylące się z wolna, a potem przewracające. Kable pozrywane, bezużyteczne.

Jadę ponownie do biblioteki, wrzucam ćwierćdolarówki do parkometru. Czekam w długim ogonku do budki telefonicznej, a gdy przychodzi w końcu moja kolej, łapię posterunkową McConnell w domu.

- O, cześć, Henry - wita mnie. - Pracujesz teraz na piętrze. Możesz mi powiedzieć, co się tam u was na górze dzieje? Co szefowie kombinują?

- Nie mam pojęcia. - Tajemniczy faceci w okularach przeciwsłonecznych. Słowa McGully'ego: „Coś się, kurwa, kroi”. - Potrzebuję twojej pomocy. Masz jakieś ciuchy poza spodniami?

- Słucham?

McConnell zapisuje, dokąd ma się udać i kiedy, by spotkać się z doktor Fenton nazajutrz rano. Przed budką ustawia się znów kolejka. Pojawia się znajoma staruszka z wózkiem na zakupy. Macha do mnie obiema rękami, jakby chciała się przywitać, za nią staje biznesmen w brązowym garniturze, z nieodłącznym neseserem, i matka z dwiema bliźniaczkami. Przystawiam policyjną odznakę do szyby, po czym przykucam, starając się przyjąć jak najwygodniejszą pozycję w tej niewielkiej, otoczonej drewnem przestrzeni.

Dobijam się do detektywa Culversona przez jego CB i mówię, że rozwiązałem sprawę.

- Chodzi o tego wisielca?

- Tak. A przy okazji sprawę zabójstwa Naomi Eddes.

- Co?

- Twoją sprawę też rozwiązałem - uściślam. - To ten sam zabójca.

Wyłuszczam mu wszystko dokładnie, po kolei, potem na dłuższą chwilę zapada cisza, przerywana tylko trzaskami w eterze, i w końcu słyszę pochwałę. Odwaliłem kawał doskonałej policyjnej roboty.

- Owszem.

Mówi mi to samo, co ja powiedziałem tydzień wcześniej McConnell.

- Będzie z ciebie kiedyś znakomity detektyw.

- Tak - odpowiadam. - Na pewno.

- Wracasz na komendę?

- Nie. Nie dzisiaj.

- Dobrze - popiera mnie. - Nie rób tego.

4.

Nawet w najspokojniejszej dzielnicy dochodzi z rzadka do poważniejszych przestępstw, ktoś zostaje zabity w biały dzień bez powodu, na przykład na ulicy albo na parkingu.

Cała komenda stawiała się na pogrzebie mojej mamy, wszyscy stanęli na baczność, gdy wnoszono trumnę – czternastu pracowników i osiemdziesięciu sześciu funkcjonariuszy w granatowych mundurach, wszyscy nieruchomi jak posągi, salutujący. Rebecca Forman, księgowa komendy, korpulentna siedemdziesięcioczworoletnia kobieta o przyprószonych siwizną włosach, tak się rozkleiła, że trzeba ją było wyprowadzić. Jediną osobą, która nie wstała, był profesor Palace, mój ojciec. Siedział skulony w ławce do końca krótkiej ceremonii, patrzył gdzieś w przestrzeń niewidzącymi oczyma, wyglądał przy tym jak głęboko zamyślony człowiek czekający na autobus. Po obu stronach miał wylęknione zapłakane dzieci, dwunastoletniego syna i sześcioletnią córkę. Siedział tam zgarbiony, opierając się o moje biodro, sprawiał wrażenie skonsternowanego raczej niż zrozpaczonego. Już wtedy dało się przewidzieć – co też zrobiłem – że nie przetrzyma tego wszystkiego.

Teraz, patrząc wstecz, jestem pewien, że dla mojego ojca, profesora anglistyki, najtrudniejszy do zaakceptowania był nie sam fakt śmierci żony, lecz ironia wynikająca z tego, że kobieta zasiadająca od poniedziałku do piątku za kuloodporną szybą na komendzie została zastrzelona przez złodzieja w sobotnie popołudnie na samym środku parkingu przed marketem.

Aby uzmysłowić wam, jak spokojnym miasteczkiem w roku dziewięćdziesiątym siódmym było Concord i jak niski panował wtedy poziom przestępczości, powiem tylko, że zdaniem FBI

moja matka była jedyną ofiarą strzelaniny owego roku. Inaczej mówiąc, szanse na to, że zginie w ten sposób, wynosiły mniej więcej jeden do czterdziestu tysięcy.

Tak to jednak działa: bez względu na to, jak małe są szanse na wystąpienie określonego zdarzenia, ten jeden na ileś tam przypadków kiedyś następuje, ponieważ w przeciwnym razie prawdopodobieństwo byłoby równe zeru.

Po stypie ojciec rozejrzał się po kuchni przez te swoje grube okulary i powiedział tak:

- To co będziemy jeść na obiad?

Nie miał jednak na myśli tego konkretnego dnia, tylko całą przyszłość. Uśmiechnąłem się niepewnie do Nico. Zegar tykał. Ojciec nie miał żadnych szans na przetrwanie tego.

Profesor Palace zaczął sypiać na sofie, nie będąc w stanie wejść na piętro i zmierzyć się z nieobecnością żony w łóżku. Ani myślał też uporządkować jej garderobę. Pakowanie mami-nych sukienek przypadło w udziale mnie. Ja musiałem zająć się wszystkim.

Poza tym kręciłem się często przy komendzie, zaczepiałem młodych detektywów, prosząc ich, by informowali mnie, gdy coś ustalą. I Culverson to robił: zadzwonił do mnie, gdy zbadano odciski stóp zebrane na żwirowej powierzchni parkingu, zadzwonił, gdy zlokalizowano pojazd opisany przez świadków, srebrną toyotę porzuconą w Montpellier. Gdy zatrzymano podejrzanego, Culverson przyjechał do nas, rozłożył przede mną akta sprawy na kuchennym stole i opowiedział mi o wszystkim po kolei, abym mógł prześledzić działania policji. Pozwolił mi obejrzeć wszystko prócz zdjęć zwłok.

- Dziękuję panu - powiedziałem do Culversona, a ojciec, błady jak trup, stojąc w progu kuchni, wymamrotał to samo. Wydaje mi się, że Culverson odpowiedział coś w stylu: „Na tym polega moja robota”, ale szczerze powiedziawszy, nie sądzę,

by rzucał aż tak wyświechtanymi formułkami. Nie pamiętam zbyt dobrze tamtego okresu, to były naprawdę trudne chwile.

Dziesiątego czerwca tego samego roku znaleziono ciało mojego ojca w jego gabinecie, gdzie powiesił się na sznurze od kotary.

Powinienem był powiedzieć Naomi całą prawdę o moich rodzicach, ale tego nie zrobiłem, a teraz, gdy i ona nie żyje, nie zdołam już naprawić tego błędu.

5.

Poranek wydaje się przepiękny, ale mimo wszystko jest coś irytującego w tym, że zima tak szybko odpuściła, ustępując miejsca wiosnie – za oknem kuchennym widzę potoki wody z roztopów, splachetki zieleni wyłaniające się spod coraz cieńszej pokrywy śniegu. Będą z tym problemy, oceniam z punktu widzenia policjanta. Zmiana pogody zadziała na ludzi jak czarna magia, to przecież ostatnia wiosna, jaką zobaczymy. Spodziewam się wzrostu desperacji, świeżej fali lęków, terroru i poprzedzającego koniec przygnębienia.

Doktor Fenton powiedziała, że jeśli zdoła wszystko załatwić, zadzwoni do mnie przed dziewiątą. Jest ósma pięćdziesiąt cztery.

Tak naprawdę nie potrzebuję jej raportu. To znaczy nie trzeba mi potwierdzenia. Mam rację i wiem o tym. Wiem, że rozgryzłem sprawę. Ale taka pomoc nie zaszkodzi. Przyda się w sądzie.

Obserwuję idealnie biały obłoczek sunący po błękitnie nieba, gdy nagle dzwoni telefon – dzięki ci, Panie! – chwytam więc słuchawkę i mówię:

- Halo!

Żadnej odpowiedzi.

- Pani doktor?

Znów przeciągająca się cisza, a potem słyszę jakiś dźwięk, chyba dyszenie, więc sam wstrzymuję oddech. To on. To morderca. Już wie. Igra ze mną.

Cholera.

- Halo! – powtarzam.

- Mam nadzieję, że jest pan zadowolony, panie władzo, przepraszam, detektywie. - Ze słuchawki dobiega głośne kasznięcie, potem brzęk, jakby lodu w szklance wypełnionej dżinem, unoszę więc wzrok ku niebu, wzdychając głośno. Gompers.

- To nie najlepsza pora...

- Mam te akta - rzuca, jakby mnie nie słyszał. - Owe tajemnicze roszczenia, których pan szukał. Mam je.

- Proszę pana... - On jednak nie zamierza zamilknąć, dałem mu przecież dwadzieścia cztery godziny na załatwienie tej sprawy, i oto jest, melduje wykonanie zadania, biedny drań. Nie mogę ot tak odwieść słuchawki. - Dobrze - mówię więc.

- Pojechałem do depozytu i wyszukałem akta z brakującymi numerami. Tylko na jednej teczce znalazłem nazwisko Zella. To chciał pan wiedzieć, zgadza się?

- Zgadza się.

Jego głos ocieka pijackim sarkazmem.

- Mam nadzieję. Ponieważ drogo za to zapłacę. Będzie, jak mówiłem. Dokładnie tak, jak powiedziałem.

Zerkam na zegarek. Jest za minutę dziewiąta. Nieważne, co Gompers ma mi do powiedzenia. Ta sprawa nie wiąże się z żadnym wyłudzeniem.

- Siedzę sobie w sali konferencyjnej biura regionalnego w Bostonie, przeglądam akta i kto mnie nakrywa? Powiem panu: Marvin Kessel. Wie pan, kim on jest?

- Nie, proszę pana. Ale bardzo dziękuję za pomoc.

Ta sprawa nie ma nic wspólnego z ubezpieczeniami.

- Marvin Kessel, dla pana informacji, jest zastępcą szefa regionu Środkowoatlantyckiego i Północnowschodniego, który bardzo się interesował tym, co dzieje się w naszym lokalnym oddziale. No i teraz już wie, podobnie jak Omaha, że skradziono nam akta, a ludzie popełniają samobójstwa. U nas nigdy nie jest nudno! - Mówi zupełnie jak mój ojciec. „Bo to Concord, u licha!” - Z tego powodu stracę robotę, podobnie jak wszyscy

w naszym oddziale. Znajdziemy się na ulicy. Dlatego mam nadzieję, że ma pan pod ręką długopis, bo zdobyłem dla pana te informacje.

Mam długopis, więc Gompers przekazuje mi co trzeba. Umowa, nad którą Peter Zell pracował w chwili śmierci, została podpisana w połowie listopada przez niejaką panią V.R. Jones, dyrektorke Open Vista Institute, organizacji non profit zarejestrowanej w stanie New Hampshire. Jej siedziba mieści się w New Castle, czyli na wybrzeżu, opodal Portsmouth. Chodziło o pełne ubezpieczenie na życie prezesa, pana Bernarda Talleya, który popełnił samobójstwo w marcu. Towarzystwo ubezpieczeniowe Merrimack Life & Fire skorzystało więc z uprawnień i zarządziło kontrolę tego przypadku.

Zapisuję to wszystko odruchowo, doskonale wiedząc, że informacje te nie mają i nigdy nie miały najmniejszego znaczenia.

Kiedy Gompers kończy, rzucam szybkie: „Dzięki”, ponownie zerkając na zegarek. Dwie minuty po dziewiątej, lada moment zadzwoni doktor Fenton, potwierdzi, co trzeba, i będę mógł wsiąść do samochodu, by schwytać mordercę.

- Proszę pana, wiem, ile musiał pan poświęcić, ale tu chodzi o morderstwo. To ważna sprawa.

- Nie masz pojęcia, młody człowieku - rzuca posępnym tonem. - Nie masz bladego pojęcia, co naprawdę jest ważne.

Odwiesza słuchawkę, a ja zwalczam pokusę, by do niego odzwonić. Przysięgam na Boga, że mam ogromną chęć rzucić wszystko i pojechać do niego, ponieważ wiem jedno: on tego też nie przetrzyma.

W tym momencie telefon dzwoni ponownie, więc chwytam za słuchawkę. Tym razem to doktor Fenton, która mówi:

- Skąd pan to wiedział? - Nabieram tchu. Zamykam oczy. Wsłuchuję się w bicie własnego serca. Upływa sekunda, dwie sekundy. - Henry? Jest pan tam?

- Jestem - odpowiadam powoli. - Proszę mi powiedzieć, co dokładnie pani znalazła.

- Z przyjemnością, ale proszę pamiętać, że jest mi pan winny kolację, i to nie byle co, tylko porządny stek.

- Jasne - rzucam, otwierając oczy. Za kuchennym oknem rozciąga się idealnie błękitne niebo. - Proszę mi tylko powiedzieć, co pani odkryła.

- Wariat z pana - stwierdza doktor Fenton. - Badanie krwi Naomi Eddes potwierdziło obecność siarczanu morfiny.

- Aha - mruczę pod nosem.

- Widzę, że ta wiadomość pana nie zaskoczyła.

- Nie, pani doktor - odpowiadam. Nie mogła mnie zaskoczyć.

- Przyczyna zgonu nie uległa zmianie. To nadal rozległe obrażenia tkanki mózgowej po postrzale w czoło. Wiemy już jednak, że ofiara zażyła pochodne morfiny na sześć do ośmiu godzin przed śmiercią.

To także zupełnie mnie nie zaskakuje.

Przymykam ponownie oczy i wyobrażam sobie Naomi opuszczającą mój dom w środku nocy i wracającą do siebie, by się naćpać. Jej zapasy musiały się już kończyć, bała się więc tego, co teraz będzie, skoro jej diler umarł. McGully go zastrzelił. Przeze mnie.

Och, Naomi, mogłaś mi powiedzieć.

Wyjmuję sig-sauera P229 z kabury i kładę go na blacie kuchennego stołu, wysuwam magazynek, opróżniam, zliczając w sumie dwanaście pocisków kalibru .357.

W Somerset Diner, tydzień wcześniej, Naomi jadła frytki i opowiadała mi o tym, że to ona pomagała Peterowi Zellowi, ponieważ widziała, jak cierpi z powodu syndromu odstawienia. Odwracając wzrok, twierdziła, że musiała mu pomóc.

Już wtedy mogłem się wszystkiego domyślić, gdybym tylko chciał.

- Żałuję, że nie mogę powiedzieć panu nic więcej - dodaje doktor Fenton. - Gdyby ta dziewczyna miała na głowie włosy, wtedy mogłabym stwierdzić, czy brała morfinę od dłuższego czasu.

- Naprawdę?

Słucham jej jednym uchem. Oto dziewczyna, która uznała, że powinna pomóc przypadkowemu koledze z pracy, facetowi, którego ledwie знаła, ponieważ widziała, jak cierpi. Oto dziewczyna mająca spore doświadczenie w braniu narkotyków, która urządziła własnym rodzicom takie piekło, że jej rodzony ojciec odwiesił słuchawkę, gdy tylko usłyszał jej imię i słowo „policja”.

- Mając wystarczająco długą próbkę włosa, można pociąć go na półcentymetrowe odcinki i poddać kolejno badaniom - wyjaśnia tymczasem doktor Fenton - dzięki czemu da się dowiedzieć, jakie substancje były metabolizowane miesiąc po miesiącu. To fascynująca metoda, może mi pan wierzyć.

- Zobaczymy się na miejscu - odpowiadam. - A co do kolacji, może być pani spokojna. Postawię pani ten stek.

- Na to liczę, Henry - rzuca. - Może być w okolicach Bożego Narodzenia?

Wiem, co wykazałoby badanie włosa. Tym razem Naomi zażywała narkotyki od równo trzech miesięcy. Od wtorku trzeciego stycznia, czyli od dnia, w którym profesor Leonard Tolkin z Laboratorium Napędu Odrzutowego NASA wystąpił w telewizji, by przekazać jej tę samą złą wiadomość co wszystkim innym ludziom. Zgaduję jednak, że nie wróciła do nałogu jeszcze tej samej nocy, lecz następnego dnia albo nawet dwa dni później.

Ładuję ponownie naboje do magazynka, umieszczam go na miejscu, zabezpieczam broń i chowam ją do kabury. Robię to wszystko po raz kolejny - wyciągam magazynek, przeliczam

naboje, składam wszystko ponownie – od chwili gdy obudziłem się o wpół do ósmej.

Peter Zell dokonał oceny ryzyka i zdecydował się na zażywanie narkotyków wiele miesięcy wcześniej, przeszedł przez cały cykl zauroczenia, eksperymentowania, uzależnienia i odwyku, podczas gdy szanse na zderzenie rosły nieubłaganie. Naomi jednak, podobnie jak masa innych osób, dokonała wyboru dopiero wtedy, gdy wszystko zostało oficjalnie potwierdzone, gdy szanse na zderzenie skoczyły do stu procent. Miliony ludzi na całym świecie uznały nagle, że najlepiej będzie się naćpać i pozostać naćpanym, za wszelką cenę, zaczęli więc brać co popadnie, od heroiny przez pseudoefedrynę po kradzione szpitalne środki uśmierzające ból – byle zanurzyć się w błogości, uciec od strachu w świecie, w którym takie pojęcia, jak długoterminowe skutki, zniknęły ze słownika.

Cofam się w czasie do tamtego wieczora w Somerset Diner, ujmuję dłoń Naomi w obie ręce i proszę, aby się nie krępowała i wyznała mi prawdę, opowiedziała o swoich słabościach, po czym zapewniam ją, że nie dbam o nic i nie zmienię o niej zdania. Że rozumiem.

Ale czy naprawdę bym zrozumiał?

Ojciec wytłumaczył mi, czym jest ironia. W tym wypadku polega ona na tym, że wtedy, w październiku, gdy wszystko się jeszcze ważyło, Naomi Eddes pomogła Peterowi Zellowi zerwać z nałogiem – i to tak skutecznie, że pozostał czysty nawet wtedy, gdy ogłoszono nieuchronność zagłady. Ale ona sama nie umiała się wyzwolić, ponieważ jej uzależnienie było głębsze i trwało dłużej, a nade wszystko nie wynikało z chłodnych kalkulacji... Naomi okazała się za słaba.

Ironia polega również na tym: w początkach stycznia nie było łatwo dotrzeć do narkotyków, zwłaszcza takich, jakich potrzebowała Naomi. Nowe prawo, nowi gliniarze, niebotycznie zwiększone zapotrzebowanie, wąskie gardło uszczuplonych

dostaw na każdym niemal szczeblu. Naomi jednak wiedziała, dokąd się udać. Z nocnych rozmów z Peterem wiedziała o trawiącej go wciąż pokusie, o jego dawnym kumplu J.T. Toussaintcie, wciąż handlującym zdobywaną pokątnie morfiną. I tak trafiła do podniszczonego domu przy Bow Bog Road, zaczęła kupować, zaczęła brać, nie mówiąc o tym Peterowi ani nikomu innemu. O jej uzależnieniu wiedział tylko Toussaint i jego nowy dostawca.

Właśnie ten dostawca jest mordercą.

Wtedy, w środku nocy, stojąc w progu mojej sypialni, omal nie wyjawiała mi prawdy. Nie tylko o uzależnieniu, lecz także o wyłudzeniach. „Przypomniałam sobie o czymś, co może pomóc w pana dochodzeniu”, powiedziała raz wcześniej. Gdybym zerwał się z łóżka, chwycił ją za nadgarstki i zaciągnął na powrót do łóżka, nadal by żyła.

Gdybyśmy nigdy się nie spotkali, nadal by żyła.

Czuję ciężar broni w kaburze, ale nie wyjmuję jej ponownie. Jest gotowa do użycia, naładowana. Ja też jestem gotów.

* * *

Chevrolet toczy się wolno po gigantycznym parkingu, po czarnym asfalcie poznaczonym strużkami roztopów. Jest dziewięta dwadzieścia trzy.

Jednego tylko jeszcze nie rozgryzłem: powodu. Dlaczego do tego wszystkiego doszło? Dlaczego ktoś zrobił coś takiego?

Wysiadam z wozu i bez pośpiechu ruszam w kierunku szpitala.

Muszę aresztować podejrzanego, ale co ważniejsze, muszę poznać prawdę.

W zatłoczonym holu stoję za filarem, garbię się, żeby wyglądać na niższego niż w rzeczywistości, obandażowaną twarz kryję za „Monitorem” jak jakiś szpieg. Po kilku minutach zauważam zbliżającego się mordercę, idzie pewnym krokiem,

punktualnie. Ma ważną pilną robotę do wykonania w podziemiach budynku.

Kulę się jeszcze bardziej, drżę nerwowo, gotów do działania.

Motyw wydaje się oczywisty: pieniądze. To dla nich ludzie kradną, a potem sprzedają zakazane substancje i popełniają morderstwa, by zatrzeć ślady swojej działalności. Zwłaszcza teraz, gdy popyt jest gigantyczny, a źródła dostaw powysychały, ceny rosną nieustannie. Analiza ryzyka jest zaburzona, ktoś mógłby postawić wszystko na jedną kartę, aby dorobić się szybko sporej fortuny.

Coś mi tu jednak nie pasuje. Zarówno w postawie mordercy, jak i w jego zbrodniach. Najpierw jedno, potem drugie zabójstwo, nawet coś gorszego od odebrania człowiekowi życia, i to wszystko tylko dla zarobienia dodatkowych pieniędzy? Ryzyko utraty wolności, egzekucji, odebrania tej niewielkiej ilości czasu, jaka nam jeszcze została? Tylko dla pieniędzy?

Wkrótce poznam wszystkie odpowiedzi. Zejdę na dół, wszystko przebiegnie zgodnie z planem i będzie po ptakach. Sama myśl o tym, że już niedługo będą miał to wszystko za sobą, sprawia, że czuję się dziwnie, ogarnia mnie smutek, jakiś chłód, zaciskam mocniej palce na gazecie. Zabójca Petera – i Naomi – wsiada do windy, a ja kilka sekund później wbiegam na wiodące w dół schody.

* * *

W kostnicy panuje przenikliwy chłód. Lampy nad stołem autopsyjnym są zgaszone, jest więc równie ciemno jak cicho. Ściany wydają się szare, mam takie wrażenie, jakbym znalazł się we wnętrzu lodówki albo trumny. Wkraczam w tę przejmującą ciszę na moment przed tym, nim doktor Fenton uściśnie dłoń Erika Littlejohna i wymieni z nim zdawkowe koleżeńskie powitanie.

- Witam.

- Dzień dobry, pani doktor. Jak już wspomniałem, mam spotkanie umówione na dziesiątą, ale do tego czasu chętnie służę pomocą.

- Oczywiście - odpowiada doktor Fenton. - Dziękuję.

Littlejohn mówi uprzejmym zniżonym tonem, jak wypada. Jest w końcu dyrektorem Oddziału Usług Duchowych. Złotawa broda, wielkie oczy, aura szacunku. Ładna, wyglądająca na nową skórzana kurtka barwy mahoni, złoty zegarek.

Pieniądze to za mało, by dopuścić się tego, co uczynił, zbrodni, które popełnił. Za mało. Przynajmniej z mojego punktu widzenia. Mam gdzieś, czym poczęstuje nas wkrótce niebo.

Przywieram do ściany w odległym zakątku korytarza, w pobliżu drzwi prowadzących do windy.

Littlejohn odwraca się, by ukłonić się nisko, z szacunkiem, posterunkowej McConnell, która w założeniu ma wyglądać na pogrążoną w żałobie, lecz wydaje się raczej poirytowana niż smutna, może dlatego, że wykonała moje polecenie i włożyła spódnice i bluzkę, dobrała do tego czarną kopertową torebkę i rozpuściła włosy, rezygnując z charakterystycznego kucyka.

- Dzień dobry pani - mówi zabójca Petera Zella. - Mam na imię Erik. Doktor Fenton zaprosiła mnie, bym zajrzał do niej z rana. Jak rozumiem, prośba wyszła od pani.

McConnell kiwa głową z powagą i wygłasza krótką przemowę, którą dla niej przygotowałem.

- Mój mąż Dale zastrzelił się z własnej starej fuzji - mówi. - Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobił. To znaczy wiem, ale myślałam... - Tu udaje, że nie jest w stanie kontynuować, głos jej drży, zacina się, a ja zacieram mentalnie ręce: „Dobra jesteś, pięknie to zagrałaś, McConnell”. - Myślałam, że dotrzemy do końca. Że będziemy razem.

- Rana jest rozległa - wtrąca doktor Fenton - więc pani Taylor i ja doszliśmy do porozumienia, że dobrze by było, gdyby towarzyszył jej pan przy oględzinach zwłok.

- Oczywiście - odpowiada Littlejohn, zniżając głos niemal do szeptu.

Obrzucam go uważnym spojrzeniem, szukając charakterystycznego wybrzuszenia sugerującego obecność broni. Jeśli ma przy sobie pistolet, dobrze go ukrył. Moim zdaniem tym razem nie wziął go ze sobą.

Littlejohn uśmiecha się współczująco do McConnell, pociesza ją, kładąc jej dłoń na ramieniu, odwraca się do doktor Fenton.

- Gdzie znajduje się teraz mąż pani Taylor? - pyta równie delikatnym tonem.

Czuję ucisk na dnie żołądka. Zasłaniam usta dłonią, by stłumić odgłosy wydawane przy oddychaniu, próbuję wziąć się w garść.

- Tędy, proszę - odpowiada doktor Fenton i tak wreszcie docieramy do punktu zwrotnego, ponieważ prowadzi oboje, Littlejohna podtrzymującego troskliwie McConnell, fałszywą wdowę, na drugi koniec sali, w kierunku miejsca, gdzie czekam na korytarzu.

- Złożyliśmy ciało - wyjaśnia doktor Fenton - w dawnej kaplicy.

- Co?

Littlejohn waha się, gubi krok, w jego oczach pojawia się obawa i dezorientacja, a mnie serce podchodzi do gardła, ponieważ wiem już, że miałem rację... Zyskuję pewność, ale nadal trudno mi w to uwierzyć. Gapię się na niego, wyobraźnia podsuwa mi wizję tych delikatnych palców zakładających pasek na szyi Petera Zella, zaciskających go powoli, wizję pistoletu trzymanego w drżącej ręce, dużych czarnych oczu Naomi. Jeszcze chwila, Henry. Jeszcze tylko chwila.

- Chyba zaszło nieporozumienie, pani doktor. - Littlejohn odzywa się półgłosem do doktor Fenton.

- Ależ skąd - odpowiada śmiało lekarka, uśmiechając się współczująco do McConnell. Podoba jej się ta gra.

Littlejohn naciska, nic więcej mu przecież nie zostało.

- Myli się pani. To pomieszczenie zostało wyłączone z użytku. Jest zamknięte.

- Zgadza się - mówię, a on podskakuje, naraz dociera do niego, co tu się dzieje. Rozgląda się po kostnicy, więc wychodzę z ukrycia, mierząc do niego z pistoletu. - A pan ma klucz. Może mi go pan podać?

Gapi się na mnie oniemiały.

- Gdzie jest klucz? - powtarzam.

- Jest... - Przymyka oczy, otwiera je ponownie, krew odplywa mu z twarzy, nadzieja kona w oczach. - Jest w moim biurze.

- Przejdźmy tam zatem.

McConnell także wyjmuje broń z czarnej torebki. Doktor Fenton cofa się, oczy lśnią jej za okrągłymi okularami, widać, że raduje ją każda sekunda tego spektaklu.

- Detektywie Palace. - Littlejohn robi krok w moją stronę, próbuje ratować sytuację, głos mu drży, ale nadal stara się coś zrobić. - Detektywie, naprawdę nie rozumiem...

- Cicho - ucinam. - Milcz pan.

- Dobrze. Nie wiem, o co panu chodzi, ale jeśli pan... jeśli pan uważa...

Udawane zdziwienie burzy porządek jego miłej skądinąd twarzy. Dzięki temu dostrzegam prawdę, widzę ją jak na dłoni, nawet w tym, że tak łatwo przypomniał sobie moje nazwisko: wiedział doskonale, kim jestem, od chwili gdy zająłem się tą sprawą, od momentu gdy zadzwoniłem do jego żony, by ją przesłuchać. Cały czas miałem go na ogonie, śledził mnie, starał się utrudnić mi dochodzenie. Zachęcał na przykład Sophie, by nie odpowiadała na moje pytania, sugerując, że to mogłoby źle wpłynąć na jej ojca. Mnie z kolei wmawiał, że jego szwagier cierpiał na poważną depresję. Czaił się przed domem, gdy przesłuchiwałem J.T. Toussainta. To on rozpiął łańcuchy śniegowe w moim wozie.

Później pojawił się raz jeszcze w domu Toussainta, zapewne w poszukiwaniu reszty towaru, zapisanych numerów telefonu, sporządzonych list klientów. Chciał tego samego co ja, z tą różnicą, że wiedział, czego szuka, lecz udało mi się go przepłóścić, zanim zdołał przeszukać budę dla psa.

Ale został mu jeszcze jeden sposób na zmylenie tropu. Jeszcze jedna brudna sztuczka, która omal nie zadziałała.

Posterunkowa McConnell robi krok do przodu, wyciąga z torebki kajdanki, ale powstrzymuję ją.

- Czekaaj!

- Dlaczego? - pyta zdziwiona.

- Najpierw chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia - wyjaśniam, nie przestając mierzyć z pistoletu do Littlejohna.

- Przykro mi - słyszę w odpowiedzi z jej ust - ale naprawdę nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

Odbezpieczam broń. Myślę, że chyba go zabiję, jeśli nadal będzie kłamał. Mogę to zrobić, bez dwóch zdań.

Na szczęście zaczyna mówić. Powoli, nie podnosząc głosu, beznamiętnym tonem, nie patrząc na mnie, tylko na wylot lufy pistoletu, opowiada, jak było. Raczy mnie historią, którą już znam, której sam się domyśliłem.

Po październiku, gdy Sophie odkryła, że jej brat ukradł bloczek recept, by wykupywać na nie morfinę - po tym, jak się postawiła i odcięła go od leków, po tym, jak zaczął cierpieć z powodu syndromu odstawienia, a ona uznała, że to już koniec tej sprawy - po tym wszystkim Erik Littlejohn udał się do J.T. Toussainta, by złożyć mu propozycję.

W tamtym okresie, gdy zderzenie z Mają nadal nie było przesądzone, w szpitalu pracowała połowa personelu. Farmaceuci odchodzili stadami, a na ich miejsce zatrudniano nowe osoby zwabione zarobkiem gwarantowanym przez rząd. Z zabezpieczeniami różnie bywało. Jednego dnia leków pilnowali uzbrojeni w broń maszynową strażnicy, następnego wzmocnione

drzwi do magazynków stały otworem. Automaty do wydawania leków przestały funkcjonować już około września, a po techniku oddelegowanym przez producenta do szpitala miejskiego w Concord wszelki słuch zaginął.

Dyrektor Oddziału Usług Duchowych pozostał na swoim stanowisku pomimo otaczającego go chaosu. Niewzruszony jak skała, był ostoją dla słabszych. I – poczynając od listopada – zaczął kraść leki z przyszpitalnej apteki, z gabinetów pielęgniarskich, a nawet z szafek pacjentów. Brał wszystko, siarczany morfiny, oksykodon, hydromorfon, opróżnione do połowy woreczki z morfiną.

Przez cały czas celuję prosto w jego pozbawioną wyrazu twarz, w te na wpół przymknięte złociste oczy i zacięte usta.

- Obiecałem Toussaintowi, że będę go zaopatrywał – kontynuuje Erik. - Powiedziałem, że wezmę na siebie ryzyko załatwiania towaru, jeśli on zgodzi się zaryzykować jego rozprawianie. Dzieliliśmy się ryzykiem, podobnie jak zyskami.

Czyli jednak pieniądze, myślę, durne pieniądze. To takie niskie, podłe, głupie. Dwa zabójstwa, dwa pogrzebane ciała, całe to ludzkie cierpienie spowodowane zmniejszonymi dawkami zażywanych środków przeciwbólowych, i to przed samym końcem świata. Spoglądam na mordercę, mierzę go wzrokiem od stóp do głów. Zrobił to wszystko dla zysku? Dla złotego zegarka i skórzanej kurtki?

- Ale Peter dowiedział się o wszystkim – wtrącam.

- Tak – wyznaje szeptem Littlejohn. - Dowiedział się. - Pochyliła głowę, kręci nią powoli, ze smutkiem, jakby wspominał wszystkie te złe rzeczy, które przydarzają się z woli Boga. Wyłewy, upadki ze schodów. - Pewnego... pewnej soboty... pojawił się w domu Toussainta. Było późno. Ja zawsze chodziłem tam późno.

Robię wydech, zaciskam zęby. Nie umyka mi to, że jeśli Peter udał się tam wspomnianej sobotniej nocy – o czym J.T. nie ra-

czył mi wspomnieć – musiało chodzić o zakup narkotyków. Zadzwoił jak co dzień do Naomi, która go wspierała w walce z nałogiem, choć sama zażywała w sekrecie morfinę, a potem poszedł do Toussainta, by się naćpać, i tam nadział się na ostatnią osobę, jakiej mógłby się spodziewać, czyli na szwagra, który w tajemnicy przed wszystkimi zaopatrywał teraz Toussainta.

Każdy z nich miał skrywane przed pozostałymi tajemnice.

- Zobaczył mnie z torbą w ręku, a ja zacząłem go błagać: proszę, proszę, nie mów nic siostrze. Ale wiedziałem... wiedziałem, że on... - Milknie, zasłania twarz dłońmi.

- Wiedziałeś, że musisz go zabić.

Porusza głową, ledwie zauważalnie, w górę i w dół.

Miał rację: Peter wygadałby Sophie. Właściwie zadzwonił do niej w tej sprawie już następnego dnia, w niedzielę osiemnastego marca, a potem jeszcze raz, w poniedziałek, ale nie odebrała. Usiadł więc, by napisać do niej list, lecz nie umiał dobrać odpowiednich słów.

W poniedziałek Erik Littlejohn poszedł na seans *Distant Pale Glimmers* do Red River, ponieważ wiedział, że tam właśnie zastanie swojego szwagra, cichego agenta ubezpieczeniowego. I zastał go w towarzystwie ich wspólnego znajomego J.T. Toussainta, którego Peter po seansie pożegnał, gdyż chciał wracać do domu pieszo – w tym momencie Littlejohn robi pauzę, bo ofiara została w końcu sama. No i staje przed Peterem jak szwagier przed szwagrem, proponuje piwo, chce się dogadać. Trzeba się przecież pogodzić, zanim nadejdzie kres wszystkiego.

Piją więc razem piwo, do którego Erik niepostrzeżenie dosypuje jakiś środek, a gdy Peter już jest oszołomiony, wyciąga go z Red River, niezauważony przez nikogo, ponieważ wszyscy mają wszystko to gdzieś, i prowadzi do McDonalda, by tam powiesić go w toalecie.

* * *

McConnell zakuwa podejrzanego w kajdanki, a ja prowadzę go do windy. Doktor Fenton idzie za nami. Wjeżdżamy na górę w milczeniu. Patolożka, morderca, policjantka, policjant.

- A niech mnie - mruczy w końcu doktor Fenton.

- Tak, wiem - wzdycha McConnell.

Ja nic nie mówię. Littlejohn także milczy.

Winda staje na parterze, drzwi rozsuwają się, ukazując zatłoczony hol, jednym z czekających jest chłopiec siedzący na kanapie. Erik sztywnieje na jego widok, podobnie jak ja.

Wcześniej wspomniał, że przyszedł do kostnicy na dziewiątą trzydzieści, ale o dziesiątej ma spotkanie.

Kyle spogląda w stronę windy, wstaje zdziwiony, lekko wystraszony, ma przed sobą ojca w kajdankach. Littlejohn nie wytrzymuje, wyskakuje z windy, lecz ja trzymam go mocno za rękę, pociąga mnie za sobą, jakbyśmy byli nierozzerwalną całością. Lądujemy na podłodze, przetaczamy się kilka razy.

Posterunkowa McConnell i doktor Fenton także wypadają z windy. Hol jest pełen ludzi, lekarzy, wolontariuszy, wszyscy uskakują, przeklinając, gdy Littlejohn i ja walczymy w zwarcu. Erik uderza mnie czołem w twarz, gdy sięgam po pistolet. Cios jest tak silny, że czuję eksplozję bólu w zranionym oku, drugim widzę chyba wszystkie gwiazdy, jakie istnieją we wszechświecie. Padam na niego, ale on próbuje się spode mnie wydostać węzowym ruchem. McConnell krzyczy: „Stój!”, dołącza do niej inny, cieńszy głos wołający: „Stać! Stać!”. Podnoszę głowę, ostrość widzenia wraca mi powoli, ale w końcu obraz się stabilizuje.

- Okay - rzucam.

On trzyma moją broń. Chłopak podniósł pistolet, mojego służbowego sig-sauera P229. Celuje prosto w moją głowę.

- Synu - odzywa się McConnell, która też wyciągnęła broń, ale nie bardzo wie, co ma teraz zrobić. Mierzy niezbyt pewnie

w Kyle'a, zerka na nas, wciąż splecionych na podłodze, potem wraca wzrokiem do dzieciaka.

- Puśćcie... - Kyle pociąga nosem, płacze, a ja widzę w nim siebie, gdy miałem jedenaście lat, i nic na to nie poradzę. - Puśćcie go.

Boże.

Henry, ty durniu.

Miałem motyw cały czas tuż przed oczami, tu nie chodziło o pieniądze, lecz o to, co można za nie zdobyć. Nawet teraz. Patrzę na tego zabawnie wyglądającego chłopaka, istne ksiąŜątko, którego zobaczyłem zaledwie drugiego dnia śledztwa, gdy szedł przez zasypany dziewiczym śniegiem trawnik.

Zobaczyłem to w oczach Littlejohna, gdy wołał z czułością w górę schodów, ponaglając chłopaka, by się szykował, a potem chwającego się tym, jaki z małego demon na lodzie.

Załóżmy, że w obecnych niezbyt radosnych czasach byłbym ojcem. Czego bym nie zrobił, żeby chronić własne dziecko? Do czego bym się posunął, wiedząc, co wszystkim nam grozi w najbliższej przyszłości? W zależności od tego, gdzie spadnie asteroida, świat albo ulegnie zagładzie, albo pogrąży się w mroku, a ja mam przed sobą człowieka, który robi wszystko - który dopuścił się wielu strasznych rzeczy - żeby zapewnić synowi możliwość przetrwania, zakładając ten drugi wariant. Żeby dać mu szansę na przeżycie kataklizmu i złagodzić skutki tego, co po nim może nastąpić.

Nie, Sophie nie zadzwoniłaby na policję, gdyby odkryła jego tajemnicę, prędzej spakowałaby siebie i syna i wyjechała jak najdalej, a przynajmniej tego Erik Littlejohn obawiał się najbardziej: że matka nie zrozumie, co ojciec robi dla ich wspólnego dziecka, nie pojmie wagi jego zachowania i zamiast zostać, ucieknie z synem. A jaki los czekałby ich oboje?

Łzy płyną z oczu dziecka, tak samo jak z oczu Littlejohna. Chciałbym powiedzieć, że ja, jako profesjonalista, jako detek-

tyw w trakcie niezwykle trudnego aresztowania, zachowuję się jak trzeba, jestem skupiony i czujny, ale to nieprawda. Po moich policzkach również płyną strumienie łez.

- Oddaj mi broń, młodzieńcze - mówię. - Musisz mi oddać broń. Jestem policjantem.

Robi to. Podchodzi do mnie i wkłada mi pistolet do ręki.

* * *

Kaplica w piwnicy jest wypełniona kartonami.

Napisy głoszą, że znajduje się w nich sprzęt medyczny, i to się zgadza w kilku przypadkach. Trzy kartony zawierają strzykawki, dwa wypełniono maseczkami ochronnymi, jest też pudełko z tabletkami jodu i roztworu soli fizjologicznej. Woreczki do kroplówki i pokrętła. Opaski uciskowe i termometry.

Jest też sporo tabletek, takie same, jak te, które znalazłem w psiej budzie. Gromadził jej tutaj, by wynieść za jednym zamachem i przekazać Toussaintowi.

Odkrywam także żywność. Pięć kartonów puszkowanych smakołyków: suszonej wołowiny w plasterkach, gotowanej fasoli i zupy na mięsie. Tego typu żarcie zniknęło z półek supermarketów już wiele miesięcy temu, można je jednak zdobyć na czarnym rynku, jeśli posiada się odpowiednio dużo pieniędzy, tyle że dzisiaj wszystkim ich brakuje. Nawet gliniarzom. Podnoszę puszkę ananasów w zalewie, czuję w dłoni znajomy, budzący nostalgię ciężar.

W większości kartonów tkwi broń.

Trzy myśliwskie mossbergi 817 z dwudziestojednocalowymi lufami.

Samotny thompson M1 z dziesięcioma pudełkami naboju kaliber .45, po pięćdziesiąt kul w każdym.

Do tego marlin kaliber .30-06 z lunetą.

Jedenaście rugerów LCP kaliber .380, niewielkich, ważących po niecałe trzydzieści deko pistoletów automatycznych, i całe

wiadro amunicji do nich.

Broń warta wiele tysięcy dolarów.

Facet przygotowywał się na najgorsze. Na to, co ma nastąpić po kataklizmie. Choć gdy tak patrzę na to zagracone pomieszczenie z krzyżem na drzwiach, pełne kartonów zawierających broń, puszkowane żarcie i leki, zaczyna do mnie docierać, że kataklizm już nastąpił.

W jednym z większych płaskich pudeł, w jakich zazwyczaj wysyła się obrazy albo lustra, spoczywa spora kusza razem z dziesięcioma równo ułożonymi na dnie aluminiowymi bełtami.

* * *

Siedzimy w radiowozie, podejrzany oczywiście na tylnej kanapie. Wracamy na komendę. Od celu dzieli nas tylko dziesięć minut jazdy, ale to wystarczy, bym dowiedział się, że rozpracowałem wszystko poprawnie.

Zamiast czekać, aż się odezwie, sam zaczynam mówić, zerkając co rusz w lusterko wsteczne, by sprawdzić w oczach Erika Littlejohna, czy mam rację.

Wiem jednak, że tak właśnie jest.

„Czy mogę mówić z panią Naomi Eddes?”

Tak właśnie do niej zagadał, tym melodyjnym, łagodnym głosem, którego nie rozpoznała.

Musiała się poczuć dziwnie, pewnie tak samo jak wtedy, gdy ja zadzwoniłem do niej z telefonu Petera Zella. Tym razem ktoś obcy dobijał się do niej z numeru należącego do J.T. Tous-sainta, który znała na pamięć, ponieważ wydzwaniała tam od wielu miesięcy, ilekroć chciała odlecieć albo zapomnieć się.

A teraz, niespodziewanie, obcy głos w telefonie zaczął wydawać jej polecenia.

Zadzwoń do tego gliniarza, zadzwoń do swojego nowego przyjaciela detektywa. Przypomnij mu dyskretnie, co prze-

oczył. Zasugeruj, że to ohydne morderstwo na tle narkotykowym jest czymś zupełnie innym.

I wiecie co? To zadziałało. Cholera. Twarz pali mnie żywym ogniem na samą myśl. Wargi wykrzywiają mi się z obrzydzenia.

Wyłudzenie odszkodowania. Fałszywe roszczenie. To wydało mi się bardzo prawdopodobne, w końcu ludzie ginęli z tego typu powodów. Byłem ślepy jak rozbrykany szczeniak, bezmyślny, gotowy ganiać za rzucaną na niby piłeczką. Przygłupi gliniarz, dziecko we mgle, po prostu dureń. Wyłudzenie odszkodowania! Aha! To musi być to. Trzeba sprawdzić, nad czym facet pracował...

Littlejohn milczy. Zaciął się. Żyje już w przyszłości. Otoczony przez śmierć. Ale ja wiem, że się nie mylę.

Kyle został w szpitalu, siedzi w holu z doktor Fenton, czekając na pojawienie się matki, która wysłucha wieści i zda sobie sprawę, że ma przed sobą najtrudniejsze miesiące życia.

Jak my wszyscy tutaj, a jednak jej sytuacja jest jeszcze gorsza.

Nie muszę o nic więcej pytać, mam pełny obraz sytuacji, ale nie potrafię się powstrzymać.

- Następnego ranka poszedł pan do siedziby ubezpieczalni i tam pan czekał, zgadza się? - Zatrzymuję się na czerwonym świetle przy Warren Street. Mógłbym je przełączyć, mam przecież w wozie niebezpiecznego przestępcę, mordercę, lecz stoję spokojnie, trzymając dłonie na dziesiątej i drugiej. - Proszę odpowiadać na pytania. Następnego dnia zaczął się pan w jej biurze?

- Tak - szepcze.

- Głośniej, proszę.

- Tak.

- Czekał pan w korytarzu przed jej boksem.

- W magazynku.

Zaciskam dłonie na kierownicy, aż kostki stają się tak białe, że niemal zaczynają błyszczeć. McConnell mierzy mnie wzrokiem z siedzenia pasażera. Wygląda na zaniepokojoną.

- W magazynku. A potem, gdy została sama, ponieważ Gompers zajął się piciem, a reszta pracowników wyszła na lunch do Barley House, wyjął pan broń i zmusił Naomi, aby przeszła do archiwum. Chciał pan, abyśmy pomyśleli, że przeglądała akta, bo... no właśnie: dlaczego? Chciał pan zaciemnić obraz jeszcze bardziej, abym na pewno połknął nowy haczyk?

- Tak. I...

- Słucham.

Czuję, że McConnell kładzie mi rękę na dłoni, abym przypadkiem nie zjechał z drogi.

- Wygadałaby się przed panem prędzej czy później - mówi Littlejohn.

„Hej, Henry”, powiedziała, przysiadając na krawędzi materaca. „Jest coś jeszcze”.

- Musiałem to zrobić - jęczy Littlejohn, świeże łzy napływają mu do oczu. - Musiałem ją zabić.

- Nikt nie musi nikogo zabijać.

- Niedługo - rzuca, odwracając się do okna. - Niedługo to się zmieni.

* * *

- A nie mówiłem, że coś się spieprzyło?

McGully siedzi na podłodze naszego pokoju oparty plecami o ścianę. Culversona zastaję w podobnej pozycji, aczkolwiek on zachowuje odrobinę godności, mimo że ma skrzyżowane nogi i podciągnięte nogawki spodni.

- Gdzie są nasze meble? - pytam.

Biurka zniknęły. Komputery zniknęły, telefony, nawet kosze na śmieci. Nie ma też wysokich szafek na akta, które stały obok okna, zostały po nich tylko charakterystyczne prostokąt-

ne wgniecenia w podłodze. Niedopałki papierosów spoczywają na wyblakłej niebieskiej wykładzinie jak martwe owady.

- A nie mówiłem?... - powtarza McGully, jego głos odbija się echem od ścian opróżnionego pokoju.

Littlejohn czeka na zewnątrz, siedzi na tylnej kanapie chevrolleta niańczony przez posterunkową McConnell wspomaganą, dość niechętnie zresztą, przez Ritchiego Michelsona. Muszę go tam przetrzymać do chwili oficjalnego zarejestrowania. Wszedłem na komendę sam, wbiegłem na piętro, by pogadać z Culversonem. Chciałem, byśmy załatwili to razem - to w końcu dwa morderstwa: jego i moje. Jesteśmy partnerami.

McGully kończy papierosa, pstryka nim na wykładzinę, by niedopałek wylądował na samym środku pokoju, między braćmi.

- Ktoś już wie - stwierdza Culverson.

- Ale co? - pyta McGully.

Nasz kolega nie odpowiada, ponieważ w progu staje komendant Ordler.

- Witam panów - rzuca.

Ma na sobie zwykłe cywilne ciuchy, wygląda na zmęczonego. McGully i Culverson spoglądają na niego nieufnie, nie podnosząc się z podłogi. Ja prostuję plecy, łączę obcasy i staję w wyczekującej pozycji. Jestem świadom, że mam na dole podejrzanego o dokonanie dwóch zabójstw, ale dziwnym zbiegiem okoliczności odnoszę wrażenie, że to jest w tym momencie nieistotne.

- Panowie, dzisiaj rano wydział kryminalny policji w Concord został włączony do struktur federalnych.

Wszyscy milczymy jak głązy. Ordler trzyma pod pachą skoroszyt, na okładce widnieje pieczęć Departamentu Sprawiedliwości.

- Włączony do struktur federalnych? Co to w ogóle znaczy? - pytam.

Culverson kręci wolno głową, podnosi się ociężale, uspokajającym ruchem kładzie mi dłoń na ramieniu. McGully nie zmienia pozycji, sięga tylko po kolejnego papierosa i zapala go.

- Co to znaczy? - powtarzam pytanie.

Ordler, wbijając wzrok w podłogę, odpowiada:

- To znaczy, że wszystko się zmieni. Mamy posłać na ulice jeszcze więcej szczeniaków. Obiecali mi, że mogę zatrzymać większość funkcjonariuszy, jeśli będę chciał, a im będzie to pasować, jednakże wszyscy przechodzimy pod jurysdykcję Departamentu Sprawiedliwości.

- Ale co to znaczy? - dopytuję się po raz trzeci. Chcę wiedzieć, jak to się odbije na nas. Odpowiedź wydaje się oczywista. Stoję przecież w pustym pokoju.

- Zamknęli wszystkie wydziały dochodzeniowe. Generalnie...

Strząsam dłoń Culversona z ramienia, ukrywam twarz w dłoniach, podnoszę wzrok i kręcąc głową, spoglądam na komendanta, który kończy:

- Generalnie zapadła decyzja, że w zaistniałej sytuacji prowadzenie dochodzeń nie ma większego sensu.

Mówi coś jeszcze, ale ja już tego nie słyszę, chociaż wiem, że z jego ust padają następne słowa. Milknie dopiero po chwili, jakby czekał na pytania. Patrzymy tylko na niego, więc mamrocze coś pod nosem, odwraca się i wychodzi.

W tym momencie dociera do mnie, że grzejnik został wyłączony, przez co w pokoju panuje straszny ziąb.

- Ktoś już wie - powtarza Culverson.

Obaj z McGullym spoglądamy w jego kierunku, jakbyśmy byli marionetkami i jakby ktoś pociągnął właśnie za sznurki.

- Nie powinni wiedzieć jeszcze przez tydzień - mówię. - Do dziewiątego kwietnia.

Culverson potrząsa głową.

- A jednak ktoś dowiedział się wcześniej.

- Ale o czym? - pyta zdezorientowany McGully.

- Ktoś już wie, gdzie uderzy ta pieprzona asteroida.

* * *

Gdy otwieram drzwi pasażera, na widok mojej miny McConnell pyta:

- Co się stało?

Milczę przez dłuższą chwilę. Stoję tam, z jedną ręką opartą o dach samochodu, patrzę na nią, później pochylam się i wyciągając szyję, spoglądam na skulonego więźnia. Michelson przysiadł na masce, pali papierosa, zupełnie jak wcześniej moja siostra, tam, na parkingu.

- Co się dzieje, Henry?

- Nic - odpowiadam. - Nic. Zabieramy więźnia na komendę.

We trójkę wyciągamy aresztowanego z chevroleta. Littlejohn wyłania się w kajdankach i tej śliczniutkiej skórzanej kurtce. Obserwuje nas sporo ludzi: Jeżyki, kilku weteranów, Halburton, stary mechanik, który wciąż pałęta się po naszym parkingu. Betonowe schody prowadzą stąd prosto do piwnicy, gdzie załatwia się właśnie takie sprawy. Przywieziony w radiowozie przestępca przechodzi w ręce oficera dyżurnego, by trafić potem do aresztu.

- Rewir? - zagaduje Michelson. - Co jest grane?

Stoję tam, trzymając jedną dłoń na ramieniu podejrzanego. Ktoś gwizdże za McConnell, która wciąż jest w spódnicy i bluzce, więc nie pozostaje mu dłużna i odkrzykuje:

- Wal się, złamasie!

Prowadziłem tymi schodami kieszonkowców, gościa podejrzanego o podpalenie i niezliczonych pijaków. Nigdy wcześniej nie szedłem tędy z mordercą.

I to podwójnym.

Nic jednak nie czuję. Jestem jakiś odrętwiały. Matka byłaby ze mnie dumna, myślę. Naomi pewnie też. Ale żadnej z nich

nie ma tu teraz. A za pół roku nie będzie tutaj nikogo z nas, pozostanie tylko przysypany popiołem krater.

Ruszam dalej, wiodąc naszą małą grupkę w stronę schodów. Detektyw prowadzi aresztowanego draba. Głowa mi pęka.

W normalnych okolicznościach byłoby tak: oficer dyżurny przyjąłby od nas zatrzymanego i odprowadził go na dół, by pobrać jego odciski palców i odczytać mu prawa. Następnie aresztowany zostałby zrewidowany i sfotografowany, kazano by mu opróżnić kieszenie, a ich zawartość trafiłaby do zaplombowanego worka. W końcu zostałby pouczony o możliwości uzyskania porady prawnej. Kogoś takiego jak Erik Littlejohn byłoby z pewnością stać na prywatnego adwokata, umożliwiono by mu więc kontakt ze wskazaną kancelarią.

Te strome betonowe stopnie są, inaczej mówiąc, kolejnym etapem długiej i skomplikowanej procedury, której początkiem było odkrycie ciała w brudnej ubikacji, a końcem będzie sala sądowa. W normalnych okolicznościach.

Ponieważ zatrzymaliśmy się kilka kroków od klatki schodowej, Michelson znów się odzywa.

- Rewir? - rzuca.

- Henry? - wtóruje mu McConnell.

Nie wiem, co będzie z Littlejohnem, jeśli przekażę go w ręce siedemnasto-, może osiemnastoletnich szczyli, którzy czekają już z tępym wzrokiem i wyprostowanymi rękoma na przekazanie podejrzanego.

Ostatnimi czasy przepisy zmieniono już tylokrotnie, że nie mam pojęcia, jak wyglądają aktualnie obowiązujące. Nie wiem, co kryje skoroszyt Ordlera ani co jeszcze uległo zmianie prócz zawieszenia dochodzeń w sprawach kryminalnych.

Do tej pory nie zadawałem sobie pytania, co dzieje się z oskarżonym o zabójstwo, gdy już zostanie schwytany. Prawdę mówiąc, nie przypuszczałem, że kiedykolwiek dokonam zatrzymania i znajdę się w tym położeniu.

Tymczasem stoję tutaj i zastanawiam się, jakie mam opcje. Oto jest pytanie.

Spoglądam na Erika, który nie spuszcza ze mnie wzroku, a potem rzucam zdawkowe „Wybacz” i przekazuję go Jeżykom.

Epilog

Środa, 11 kwietnia

Rektascensja 19 27 43,9

Deklinacja -35 32 16

Elongacja 92,4

Delta 2,705 j.a.

Jadę rowerem z dziesięciobiegową przerzutką po chodniku zalanego wiosennym blaskiem New Castle w stanie New Hampshire, szukając Salamander Street. Słońce nad moją głową co rusz chowa się, by zaraz znów się wyłonić zza pierzastych chmur, lekka bryza jest ciepła, ma słonawy zapach, więc myślę sobie: a co mi tam, i skręcam w prawo, by boczną uliczką dotrzeć na samo wybrzeże.

New Castle jest niewielkim uroczym letnim kurortem, obecnie po sezonie, z charakterystycznymi ciągami sklepów pańkarskich, cukiernio-lodziarniami, pocztą i muzeum. Mają tutaj nawet promenadę biegnącą przez prawie kilometr wzdłuż plaży, widzę też garstkę zagorzałych plażowiczów na pobliskich wydmach. Para staruszków trzyma się za ręce, mama rzuca piłkę synowi, nastolatek próbuje oderwać od ziemi pękaty latawiec.

Dróżka na końcu plaży prowadzi na rynek, gdzie soczyście zielony trawnik otacza zbudowaną z pięknego ciemnego drewna altanę ozdobioną chorągiewkami i amerykańskimi flagami. Najwyraźniej minionej nocy odbył się tu miejski festyn, a kolejny przygotowano na ten wieczór. Po placu kręci się kilkoro miejscowych, rozpakowują instrumenty, rozmawiają, ściskają sobie ręce. Przypinam rower do przepełnionego kontenera na śmieci wylaniającego się z łachy papierowych tacek i niedojezdzonych kawałków ciasta, pokrytych radosną mozaiką mrówek.

W Concord też mieliśmy wczoraj paradę, po zmroku z barki zakotwiczonej na rzece odpalono sztuczne ognie, które rozświetliły niebo nad kopułą stanowego parlamentu majestatyczną wielobarwną łuną. Teraz już wiemy, że Maja wyląduje gdzieś w Indonezji. Władze nie chcą bądź nie potrafią podać dokładnej lokalizacji punktu zero, wiemy jednak, że chodzi o rejon archipelagu indonezyjskiego, na wschód od zatoki Bone. Pakistan, znajdujący się zaledwie cztery tysiące kilome-

trów na zachód od miejsca zderzenia, ponowił groźby zniszczenia asteroidy, na co rząd Stanów Zjednoczonych odpowiedział jak poprzednio obiekcjami.

Tymczasem Ameryka świętuje, urządza parady, pokazy sztucznych ogni, festyny. Na jednym z przedmieść Dallas, w lokalnym centrum handlowym, doszło do grabieży, która zakończyła się strzelaniną, późniejszymi zamieszkami i utratą życia przez sześć osób. Podobne incydenty miały miejsce w Jacksonville na Florydzie i w Richmond w stanie Indiana. Dziewiętnaście osób zginęło, rabując market budowlany w Green Bay w stanie Wisconsin.

* * *

Budynek mieszczący się pod numerem cztery przy Salamander Street nie wygląda na główną siedzibę jakiejś instytucji. To domek jednorodzinny utrzymany w stylu popularnym na półwyspie Cape Cod, drewniany, pomalowany na pastelowy błękit, stojący tak blisko brzegu morza, że na jego werandzie bez trudu wyczuwam charakterystyczny zapach soli.

- Dzień dobry pani - rzucam na widok okrutnie wiekowej kobiety, która otwiera mi drzwi. - Jestem detektyw Henry Palace. - Nie, już nie detektyw. - Przepraszam, nazywam się Henry Palace. Czy to Open Vista Institute?

Staruszka odwraca się bez słowa i rusza w głąb domu, a ja podążam za nią, mówiąc, czego potrzebuję. W końcu otrzymuję odpowiedź.

- Był strasznym dziwakiem, nieprawdaż? - podsumowuje Petera Zella. Głos ma donośny i zaskakująco czysty.

- Szczerze powiedziawszy, nigdy go nie spotkałem.

- Ale taki był.

- Okay.

Właśnie wpadłem na to, że nie zaszkodziłoby dowiedzieć się nieco więcej o ostatniej sprawie, którą mój agent ubezpiecze-

niowy prowadził przed śmiercią. Musiałem zdać służbowego chevroleta, więc przyjechałem tutaj na rowerze, na zdezelowanej damce mojej mamy. Zajęło mi to ponad pięć godzin, wliczając postój w opuszczonym lokalu Dunkin' Donuts, gdzie zjadłem przywieziony z domu lunch.

- Straszny dziwak. Wcale nie musiał się tutaj fatygować.

- Dlaczego?

- Dlatego. - Wskazuje akta, które przywiozłem, leżące teraz na stoliku pomiędzy nami. Trzy kartki w kartonowej teczce: polisa, roszczenie i zestawienie załączników. - Pytał mnie o to, co równie dobrze mogłam mu powiedzieć przez telefon.

Nazywa się Veronica Talley, jej podpisy widnieją na dokumentach, jej i nieżyjącego już męża Bernarda. Oczy pani Talley są małe i czarne, wyglądają jak paciorkowate ślepka lalki. Salon, w którym siedzimy, też jest mały, ale ładny, ściany zdobią obrazki z muszlami i algami. W dalszym ciągu nie widzę choćby jednego dowodu na to, że znalazłem się w siedzibie jakiejś instytucji.

- Szanowna pani, jeśli dobrze rozumiem, pani mąż popełnił samobójstwo.

- Tak. Powiesił się. W łazience. Na tym, no.... - Porusza się nerwowo. - Na tym czymś, z czego cieknie woda.

- Na deszczownicy?

- Tak. Pan wybaczy, jestem stara.

- Proszę przyjąć moje kondolencje. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Niepotrzebnie. Bernard uprzedził mnie, że to zrobi. Kazał mi iść na długi spacer, porozmawiać z krabami pustelnikami, i zapowiedział, że kiedy wrócę, będzie wisiał martwy w łazience. Tak też było.

Pociąga nosem, mierzy mnie ostrym spojrzeniem maleńkich oczu. Śmierć Bernarda Talleya, co wiem z lektury dokumentów, przyniosła jej osobiście milion dolarów i dodatkowe trzy

dla Open Vista Institute, jeśli takowy istniał naprawdę. Zell za-
twierdził to roszczenie i odblokował wypłatę pieniędzy po tym,
jak trzy tygodnie temu złożył wizytę w tym miejscu – jednakże
nie odłożył akt sprawy do archiwum, być może chciał do niej
jeszcze wrócić.

- Pan jest w pewnym sensie taki jak on, nieprawdaż?

- Słucham?

- Jest pan podobny do swojego przyjaciela, tego, który był tu
przed panem. Siedział na tym samym miejscu co pan.

- Jak już wspomniałem, szanowna pani, nie znałem pana Zel-
la.

- Mimo to jest pan do niego bardzo podobny.

Za kuchennym oknem wiszą dzwoneczki poruszane przez
wiatr, siedzę przez moment nieruchomo, wsłuchując się w ich
delikatne krystaliczne dźwięki.

- Czy może mi pani opowiedzieć o Open Vista Institute?
Chciałbym wiedzieć, na co zostaną przeznaczone te pieniądze.

- Pana przyjaciel też o to pytał.

- Tak?

- Prowadzimy legalną działalność. Jesteśmy zarejestrowaną
organizacją non profit.

- Nie wątpię.

Na tym kończy odpowiedź. Wiatr znowu porusza dzwonecz-
kami, potem od strony rynku dobiegają dźwięki rozgrzewki or-
kiestry: tub i trąbek.

- Szanowna pani, dowiem się wszystkiego w inny sposób, jeśli
będę musiał, wolałbym jednak, abyśmy po prostu to sobie wy-
jaśnili.

Wzdycha, następnie wstaje i człapie do drzwi, a ja ruszam za
nią, mając nadzieję, że pokaże mi coś konkretnego, ponieważ
to był czysty bluff, nie mam już żadnych możliwości sprawdze-
nia czegokolwiek.

* * *

Pieniądże zostały wydane w większości na tytan.

- Nie znam się na tym - zapewnia mnie pani Talley. - Ale Bernard był inżynierem. On wszystko zaprojektował, choć zawartość wybieraliśmy razem i wspólnie gromadziliśmy materiały. Zaczęliśmy w maju, zaraz po tym, jak ogłoszono, że czeka nas najgorsze.

Na stole w garażu spoczywa gładka metalowa kula sporej wielkości. Pani Talley informuje mnie, że zewnętrzna powłoka została wykonana z tytanu, lecz pod nią znajduje się jeszcze kilka warstw aluminium stanowiących izolację termiczną zaprojektowaną przez jej męża, który przez wiele lat pracował jako inżynier lotniczy. Stąd wynikała jego pewność, że sfera będzie odporna na promieniowanie kosmiczne i zderzenia z wszelkim śmieciem, gdy znajdzie się na orbicie Ziemi.

- Jak długo miałyby tam przetrwać?

Staruszka uśmiecha się ciepło po raz pierwszy w mojej obecności.

- Do chwili, gdy ludzkość zdoła ją odzyskać. - Wewnątrz sfery upakowano pudełka z płytami DVD, rysunki, zrolowane gazety w tubach z pleksi, próbki rozmaitych tworzyw. - Słona woda, kawałek gliny, ludzka krew - pokazuje pani Talley. - Mój mąż był szczywanym lisem. Naprawdę szczywanym lisem.

Przeglądałam zawartość niewielkiego satelity przez kilka minut, przekładając ten dziwaczny zbiór przedmiotów, trzymając każdy z nich w dłoni, kiwając głową z aprobatą. Oto historia rasy ludzkiej w pigułce. Gromadząc tę kolekcję, państwo Talley skontaktowali się z prywatną firmą wynoszącą ładunki na orbitę i ustalili datę wystrzelenia na czerwiec, ale skończyły im się pieniądze. Właśnie dlatego potrzebne im było odszkodowanie z ubezpieczalni. Właśnie dlatego Bernard musiał popełnić samobójstwo.

- Dzięki temu wystrzelenie satelity odbędzie się zgodnie

z planem – zapewnia mnie pani Talley spokojnie. – Co chciałby pan dołożyć do naszej kapsuły?

– Nic – odpowiadam. – Dlaczego pani pyta?

– Pański przyjaciel chciał to zrobić.

– Peter Zell? Chciał coś dołożyć?

– Nie tylko chciał, ale faktycznie dołożył. – Sięga ku zgromadzonym przedmiotom, grzebie w nich przez chwilę i w końcu wyciąga niewinnie wyglądającą kopertę, cienką, małą, złożoną wpół. Nie zauważyłem jej wcześniej. – Wydaje mi się, że właśnie po to tutaj przyjechał. Udawał, że musi zająć się naszym roszczeniem osobiście, choć ja przecież zdążyłam poinformować go o wszystkim. Mimo to pojawił się w moim domu. Miał przy sobie tę kopertę. Poprosił, w dość nieskładny sposób, abym pozwoliła mu ją dołożyć do naszych rzeczy.

– Nie będzie pani mieć nic przeciwko, jeśli...?

– To był przecież pański przyjaciel. – Staruszka wzrusza ramionami.

Podnoszę kopertę i wytrząsam z niej zawartość: to mikrokaśta magnetofonowa, jedna z tych, których używano w automatycznych sekretarkach albo w dyktafonach.

– Wie pani, co na niej jest?

– Nie.

Stoję tam, przyglądając się kasecie ze wszystkich stron. Wiem, że znalezienie sprzętu, na którym będę mógł odtworzyć to nagranie, może być trudne, ale przecież nie ma rzeczy niemożliwych. W jednym z magazynów naszej komendy przechowywano stare aparaty telefoniczne z automatycznymi sekretarkami. Jeśli nadal tam są, posterunkowa McConnell może zdobyć dla mnie jeden z nich. Albo znajdę jakiś w lombardzie czy na jarmarku, który odbywa się co tydzień w Manchesterze. Tam znajdę sprzęt, odtworzę tę taśmę. Ciekawie byłoby usłyszeć głos Petera, ciekawie byłoby...

Pani Talley czeka, obserwuje mnie z przechyloną głową, zupełnie jak ptak. Mała taśma wygląda tak, jakby spoczywała na dłoni giganta.

- Okay - mówię, wrzucając kasetę do koperty, która trafia natychmiast na stos innych drobiazgów. - Dziękuję za poświęcony mi czas.

- Proszę. - Odprowadza mnie do drzwi, macha na pożegnanie. - Proszę uważać na schody. Pański przyjaciel poślizgnął się na nich i rozkwasił sobie paskudnie twarz.

* * *

Odpinam rower od kontenera na śmieci stojącego na rynku New Castle, gdzie teraz krąży rozbawiony tłum, i ruszam w podróż powrotną do domu. Dźwięki zabawy cichną za moimi plecami, wkrótce słyszę już tylko dudnienie muzyki, a w końcu zapada kompletna cisza.

Jadę skrajem autostrady numer dziewięćdziesiąt, czuję wiatr w nogawkach spodni i rękawach płaszcza rozwiewanego od czasu do czasu przez ciężarówkę albo radiowóz federalnych. W miniony piątek zawieszono działanie poczty, czemu towarzyszyła dość wystawna ceremonia w Białym Domu, jednakże prywatne firmy kurierskie nadal dostarczają paczki, z tym że kierowcom towarzyszą teraz uzbrojeni po zęby ochroniarze. Przyjąłem zaproponowaną mi przedwczesną emeryturę, dostaję osiemdziesiąt pięć procent kwoty, którą zarabiałem podczas pełnienia służby. W sumie odsłużyłem rok, trzy miesiące i dziesięć dni w patrolówce oraz trzy miesiące i dwadzieścia dni jako detektyw wydziału kryminalnego.

Nie przejmując się, zjeżdżam na sam środek jezdni i sunę po podwójnej żółtej linii. Nie da się myśleć za dużo o tym, co będzie, po prostu się nie da.

* * *

Do domu wracam dopiero późną nocą, ale ona czeka na mnie, siedzi na odwróconej dnem do góry skrzynce na mleko, która służy mi za krzesło na ganku. Moja młodsza siostra w długiej spódnicy i dzinsowej bluzie, czuję od niej gorzką woń papierosów. Houdini łypie na nią groźnie z za drugiej skrzynki, zęby ma obnażone, drży cała, pewnie wydaje mu się, że jest teraz niewidzialny.

- Na litość boską - rzucam, biegnąc w jej kierunku. Zostawiam rower na ziemi pod schodami, a moment później już się ściskamy, śmiejemy. Przytulam jej głowę do swojej piersi. - Ty wariatko - dodaję, gdy się w końcu rozdzielamy.

- Wybacz, Hen. Naprawdę mi przykro.

Nie musi mówić nic więcej, to wszystko, co potrzebuję od niej usłyszeć w charakterze spowiedzi. Od samego początku wiedziała, co robi, gdy cała we łzach prosiła o odnalezienie męża.

- Nic się nie stało. Szczerze mówiąc, teraz, po fakcie, muszę przyznać, że zadziwiłaś mnie swoją przebiegłością. Zagrałaś mi na uczuciach... Jak tata zwykł mówić przy takich okazjach? Jak na oboju? Zgadza się?

- Nie wiem, Henry.

- Tak, to na pewno był obój, do tego bonobo i...

- Miałam wtedy tylko sześć lat, Henry, nie pamiętam niczego, co do nas mówił.

Pstryka niedopałkiem za balustradę ganku i sięga po nowego papierosa. Krzywię się odruchowo na to odpalanie jednej fajki od drugiej, a ona równie odruchowo przewraca oczami na moje protekcyjne zachowanie - ot, stare nawyki. Houdini wystawia nos z za skrzynki i szczeka, raz, krótko i niezbyt głośno. Posterunkowa McConnell twierdzi, że to bichon frisé, lecz dla mnie już zawsze będzie pudlem.

- Już po wszystkim, ale musisz mi coś wyjaśnić. Czego chciałaś się dowiedzieć? Jakiej informacji dostarczyłem ci nieświadomie, udając się do bazy Gwardii Narodowej?

- Gdzieś na terenie kraju wdrażany jest tajny projekt - zaczyna Nico, wolno cedząc słowa i odwracając ode mnie wzrok. - Na pewno nie w jakimś oczywistym miejscu. Zawężaliśmy więc krąg poszukiwań, a teraz naszym celem jest znalezienie z pozoru niewinnie wyglądającej bazy, która należy do tego projektu.

- Jacy my?

- Tego nie mogę powiedzieć. Ale mamy informacje...

- Skąd je macie?

- Nie mogę ci tego zdradzić.

- Daj spokój, Nico.

Czuję się tak, jakbym trafił do *Strefy mroku*. Sprzeczam się z siostrą tak samo jak kiedyś o ostatniego lizaka czy o to, że znów podprowadziła samochód dziadka, tyle że tym razem chodzi o jakąś idiotyczną teorię spiskową.

- Takie miejsce musi mieć określony system zabezpieczeń.

- Ustalmy jedno: ty chyba nie wierzysz, że ktoś przerzuca ludzi na Księżyc?

- Cóż - odpowiada Nico, zaciągając się dymem. - Niektórzy z nas w to wierzą.

Szczęka mi opada, pełne implikacje tego wszystkiego - co zrobiła, co robi tutaj, dlaczego przeprasza - dopiero teraz zaczynają do mnie docierać. Spoglądam na nią ponownie i nagle wydaje mi się inna, podobna do mamy znacznie mniej niż dotąd. Jest szczuplejsza niż przedtem, oczy ma zapadnięte, bardzo poważne, w ostrych rysach twarzy nie dostrzegam nawet śladu dziecięcych krągłości.

Nico, Peter, Naomi, Erik - wszyscy mieli sekrety, wszyscy się zmienili. Oddalona o czterysta pięćdziesiąt milionów kilometrów Maja oddziałuje na nas wszystkich.

- Derek był jednym z nich, tak? Oboje w tym tkwiliście, ale twój mąż naprawdę wierzył, że co poniektórzy próbują się schronić na Księżycu?

- Tak. Musiał wierzyć, że ten wypad quadem do bazy ma sens, ale nie znał prawdziwego celu. Nie mogliśmy mu zaufać. Był zbyt...

- ...głupi.

Nie odpowiada. Minę ma zaciętą, w jej oczach dostrzegam znajomy błysk, znajomy chłód. Przypomina mi w tym momencie agresywnych fanatyków religijnych z placu przed katedrą, Jeżyków czepiających się pijaków dla samej zadymy. Pewni ludzie zrobiliby wszystko, byle nie stawić czoła rzeczywistości.

- Wspominałaś o systemie zabezpieczeń. Gdyby to była ta baza, której szukaliście, znalazłbym go, powiedzmy, w kajdaniach?

- Nie. Zobaczyłbyś jego zwłoki.

Mówi to ostrym, brutalnym tonem. A ja czuję się tak, jakbym rozmawiał z kimś obcym.

- Wiedziałaś, czym ryzykuje. On nie miał bladego pojęcia, ale ty wiedziałaś.

- Henry, wiedziałam o tym już w chwili, gdy za niego wychodziłam.

Nico patrzy gdzieś w przestrzeń, dopalając papierosa, a ja stoję przed nią, drżąc na całym ciele nie z powodu tego, co stało się z Derekiem, nie z powodu afery rodem z science fiction, w którą wplątała się moja siostra, nawet nie dlatego, że sam dałem się w to niechcący wplątać. Jestem zdenerwowany, ponieważ moja młodsza siostra za chwilę wyjdzie i zniknie - nigdy więcej już jej nie zobaczę. I będę tutaj czekał razem z psem.

- Mogę ci tylko powiedzieć, że to wszystko było tego warte.

- Jak możesz tak mówić? - Przypominam sobie ostatnią część tej historii. Nieudaną próbę sforsowania miejsca uwięzienia, pozostawienie Dereka na pewną śmierć. Jakby można go było

spisać na straty, złożyć w ofierze. Podnoszę rower, zarzucam go sobie na ramię i idę do drzwi, mijając Nico.

- Czekał... Nie chcesz wiedzieć, czego szukaliśmy? - pyta mnie siostra.

- Nie. Dziękuję.

- Naprawdę warto było.

Mam dość. Nie jestem nawet wściekły, jeśli już, raczej wyścieńczony. Pedalowałam cały dzień. Nogi bolą mnie po tej jeździe. Nie jestem pewien, co zrobię jutro, ale jest już naprawdę późno. Ziemia nadal się obraca.

- Możesz mi zaufać - rzuca Nico za moimi plecami, ponieważ stoję już przy otwartych drzwiach z Houdinim przy nodze. - Naprawdę było warto. - Zatrzymuję się, odwracam, patrzę na nią. - Jest jeszcze nadzieja - stwierdza.

- Aha - mówię. - Jest jeszcze nadzieja. Okay.

Zamykam drzwi.

PODZIĘKOWANIA

Podziękowania niechaj przyjmą:

doktor Tim Spahr, dyrektor Minor Planet Center przy Harvard-Smithsonian Center for Astrophysics; doktor Cynthia Gardner, patolog kryminalna; Komenda policji w Concord, zwłaszcza posterunkowi Joseph Wright i Craig Leveques; Andrew Winters; Jeff Strelzin, zastępca prokuratora generalnego stanu New Hampshire; Steve Walters z Uniwersytetu Loyola w stanie Maryland; Binyamin Applebaum z „New York Timesa”; doktor Judy Greene; David Belson z Akamai Technologies; doktor Nora Osman i doktor Mark Pomeranz; Jason, Jane, Doogie, Dave, Brett, Mary Ellen, Nicole, Eric i cała reszta z Quirk Books; Molly Lyons i Joelle Delbourgo; czytelnicy zero: Nick Tamarkin, Erik Jackson i Laura Gutin; Michael Hyman (i pies Wylie); a szczególnie: Diana, Rosalie, Isaac i Milly.

Rusty Schweickart, były astronauta NASA oraz ekspert od asteroid, namawiał mnie, bym nie pisał tej książki, i prosił, abym skupił się na znacznie bardziej prawdopodobnym scenariuszu, w którym zderzenie nie skutkuje apokalipsą, choć jest równie katastrofalne w skutkach. Mimo że nie spełniłem tej prośby, polecam wszystkim wizytę na jego stronie internetowej – www.B616Foundation.org